

373p123

KALENDARZ ROBOTNICZY NA ROK 1909

BIBLIOTEKA
UMCS
LWÓW

ZREDAGOWAŁ I WYDAŁ ZYGMUNT KLEMENSIEWICZ



Wojciech Gombosi

CENA WSZĘDZIE 80 HALERZY

KRAKÓW 1909

NAKŁADEM ADMINISTRACJI „NAPRZODU” I „PRAWA LUDU” W KRAKOWIE, „GŁOSU” WE LWOWIE, „ROBOTNIKA ŚLĄSKIEGO” W CIESZYNIE, ORAZ „GÓRNIKA” W MORAWSKIEJ OSTRAWIE.
Z Drukarni Ludowej w Krakowie (ul. Filipa 11).

8314278

Cms-4574/1909.

BIBLIOTHEK
UNCS
LUDWIG

K 643/55/53

JANUARIUS STYCZEŃ JÄNNER

MA DNI 31

Dnie	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżyc	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 P	Nowy Rok Imię Jezus	Nowy Rok	19 Wonyfatya m.	8 14	3 54	12 56 pld.	2 14 pld.
2 S	Makarego, Fulgenc.	Abla, Seta	20 Ihnatya ep.m.	8 13	3 55	1 17 "	3 33 "
3 N	1 po N.R. Gen., Izaak	Enocha	21 N. 4 Adw. Jul.	8 13	3 56	1 42 "	4 51 "
4 P	Tytusa, Izabeli, El.	Izabeli	22 Anastazyi m.	8 13	3 57	2 14 "	6 7 "
5 W	Telesfora, Seweryna	Symeona	23 Mucz. 10 w Kr.	8 13	3 58	3 56 "	7 15 "
6 S	Św. Trzech Króli	Trzech Króli	24 Wigil. do Roż.	8 12	4 0	4 48 "	8 13 "
7 C	Walentego, Lucyana	Izydora	25 Rożd. Chrysta	8 12	4 1	5 48 "	9 0 "
8 P	Seweryna, Fortun.	Erharda	26 Sobor Pr. Boh.	8 11	4 2	6 54 "	9 35 "
9 S	Marcyana, Juliana	Marcyala	27 Stefana mucz.	8 11	4 3	7 3 "	10 4 "
10 N	1 po 3 Kr. Agatona	Pawła P.	28 N. 1 po R.	8 10	4 5	8 12 "	10 26 "
11 P	Higinusza m., Mat.	Matyldy	29 14.000 SS. Mł.	8 10	4 7	9 21 "	10 44 "
12 W	Ernesta, Arkadyus.	Reinolda	30 Anysyi pr.	8 9	4 8	10 29 "	10 59 "
13 S	Weroniki, Hilaryus.	Hilarego	31 Melanyi Rym.	8 8	4 10	11 37 "	11 13 "
14 C	Feliksa z N., Eufroz.	Feliksa	1 Janwar 1909	8 7	4 11	—	11 27 "
15 P	Pawła P. i Mauryc.	Maura	2 Sylwestra p.	8 7	4 13	12 46 "	11 42 "
16 S	Marcela papieża	Marcelego	3 Matachyja P.	8 6	4 14	1 57 "	12 0 "
17 N	2 po 3 Kr. I. J., Ant.	Antoniego P.	4 N. 2 po R. S. 70	8 5	4 16	3 12 "	12 21 "
18 P	Katedry św. Piotra	Pryski	5 Fteotempta m.	8 4	4 18	4 29 "	12 49 "
19 W	Kanuta, Henryka	Sary	6 Bohoj Hospod.	8 3	4 19	5 45 "	1 27 "
20 S	Fabiana i Sebast.	Fabiana i Seb.	7 Sobor S. Joana	8 2	4 21	6 57 "	2 20 "
21 C	Agnieszki P. i m.	Agnieszki	8 Hryhorya pr.	8 0	4 23	7 57 "	3 28 "
22 P	Wincentego i Anast.	Wincentego	9 Heorhia prep.	7 59	4 25	8 44 "	4 50 "
23 S	Zaślub. NMP., Jana	Emerencyi	10 Polyjewkta m.	7 58	4 27	9 19 "	6 19 "
24 N	3 po 3 Kr. Prz. Rodz.	Tymoteusza	11 N. 1 po B. Fteod.	7 57	4 28	9 46 "	7 48 "
25 P	Nawróc. św. Pawła	Nawr. ś. Pawła	12 Tatyanny m.	7 55	4 30	10 7 "	9 15 "
26 W	Polikarpa bisk. i m.	Polikarpa	13 Jermyła mucz.	7 54	4 32	10 26 "	10 40 "
27 S	Jana Chryzostoma	Jana Chryzost.	14 S. S. Otec w S.	7 53	4 34	10 44 "	—
28 C	Karola, Walerego	Karola Wielk.	15 Pawła Ftew.	7 51	4 36	11 2 "	12 2 "
29 P	Franciszka Salez.	Waleryusza	16 Petra ap.	7 50	4 37	11 22 "	1 23 "
30 S	Martyny panny i m.	Adelgundy	17 Antonya Weł.	7 48	4 36	11 46 "	2 41 "
31 N	4 po 3 K. Piotra z N.	Wirgiliusza	18 N. 2 po B. Aft.	7 47	4 41	12 14 "	3 57 "

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

22 stycznia Rozchodesz, czyli 1 dzień mies. Szwat.

Zmiany powietrza:

Zimno dotrzyma do 11; od 12 do 18 posępne, łagodne powietrze; 19 znowu zimno, potem jasno i zimno aż do 24; w końcu deszcze i śnieg.

Zmiany księżyca:

Pełnia dnia 6 o godzinie 3 popołudniu.
Ostatnia kwadra dnia 14 o godzinie 7 wieczór.
Nów dnia 22 o godzinie 1 w nocy.
Pierwsza kwadra dnia 28 o godz. 4 po połudn.

Przypomnienia gospodarskie na styczeń:

Młócić zboże na podściół, tudzież konieczny na nasienie. Ścinać drzewo na budowie i sprzęty gospodarskie oraz zwozić je przy dobrej drodze. Wywozić obornik. Lodownie nabijać lodem. Zakładać inspekta. Pszczoł dopilnować, aby im nie brakło żywności i ułć od mrozu zabezpieczyć.

PĄCZKI à 6 h. znakomite, poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, **Poselska 15, Kraków**, prowadzona pod osobistym kierunkiem **Romualda Pieczarki**.

FEBRUARIUS **LUTY** FEBRUAR

MA DNI 28

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżycy	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 P	Ignacego b. i m., E.	Brygidy	19 Makarya prep.	7 45	4 43	12 53 ppłd.	5 7 pdpł.
2 W	NMP. Gromnicznej	Oczyszcz. M. P.	20 Jeuftymia W.	7 43	4 45	1 41	6 8
3 Ś	Błażeja bisk. i m.	Błażeja	21 Maksyma pr.	7 42	4 47	2 38	6 58
4 C	Andrzeja Kors., W.	Weroniki	22 Tymofteja Ap.	7 40	4 49	3 42	7 38
5 P	Agaty p. i m., Alb.	Agaty	23 Klymenta	7 38	4 51	4 50	8 7
6 S	Doroty p. i m., Tyt.	Doroty	24 Xenyi prepod.	7 37	4 52	6 0	8 30
7 N	Starozap. Romualda	Ryszarda	25 N. 3 po B. Hryh.	7 35	4 54	7 9	8 49
8 P	Jana z Malt wyzn.	Salomona	26 Ksenofonta pr.	7 33	4 56	8 17	9 5
9 W	Apolonii p. i męcz.	Apolonii	27 Joana Złotous.	7 31	4 58	9 25	9 19
10 Ś	Scholastyki p., Wil.	Gabryela	28 Jefrema prep.	7 29	5 0	10 33	9 33
11 C	Zjawienie MMP.	Eufrozyny	29 Ihnatya ep.	7 27	5 2	11 42	9 48
12 P	Eulalii p., Gauden.	Eulalii	30 Trech Swiat.	7 26	5 4	—	10 3
13 S	Katarzyny de R.	Kastora	31 Kyra i Joana	7 25	5 7	12 54	10 22
14 N	Mięsop. Walentego	Walentego	1 Fewral. Tryfon.	7 22	5 8	2 8	10 46
15 P	Faustyna m., Jow.	Faustyna	2 Strytene Hosp.	7 20	5 10	3 23	11 12
16 W	Julianny p. i m.	Julianny	3 Symeona Boh.	7 18	5 12	4 35	12 1
17 Ś	Donatusa, Salomona	Konstancyi	4 Isydora	7 16	5 14	5 40	1 8
18 C	Szymona K., Konst.	Guzanny	5 Ahaftyi mucz.	7 14	5 16	6 33	2 16
19 P	Zuzanny, Konrada	Gabina	6 Wukoła ep.	7 12	5 17	7 13	3 42
20 S	Eucharyusza, Ekh.	Euchazego	7 Parfienya pr.	7 10	5 19	7 44	5 13
21 N	Zapustna. Eleonory	Eleonory	8 Starop. Fteod.	7 7	5 21	8 8	6 45
22 P	Stolicy św. Piotra	Kat. ś. Piotra	9 Nykyfora m.	7 5	5 23	8 28	8 14
23 W	Piotra Dam., Fulg.	Seweryna	10 Charłamp. m.	7 3	5 25	8 46	9 41
24 Ś	Popielec. Macieja	Macieja op.	11 Post Welyki	7 1	5 27	9 5	11 6
25 C	Zygfryda b., Wiktora	Wiktora	12 Meletya arch.	7 59	5 29	9 25	—
26 P	Mechtydy, Dyoniz.	Gothilfa	13 Martyniana	7 57	5 30	9 48	12 28
27 S	Leandra b., Anast.	Leandra	14 Auxentya prep.	7 55	5 32	10 16	1 47
28 N	Wstępna. Romana	Romana	15 N. 1 P. Onysyma	6 52	5 34	10 52	3 0

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

20, 21 Rozchodesz czyli pierwsze dni mies. Ador.

Zmiany powietrza:

1-go wiatr; 2-go deszcz; od 4-go do 12-go posępnie i wiatr; 13-go śnieg; od 15-go do 19-go wiatr, śnieg i deszcz; od 20-go do końca pogoda.

Zmiany księżyca:

Pełnia dnia 5 o godzinie 9 przed południem. Ostatnia kwadra 13 o godzinie 2 po południu. Now dnia 20 o godzinie 12 w nocy. Pierwsza kwadra dnia 27 o godzinie 4 rano.

Przypomnienia gospodarskie na luty:

Młócić zboże na paszę i podściół. Kręcić powróta (przewiąsła) i pleść słomianki. Ścinać budulec i stawiać sęgi; sanna zwozić drzewo z lasu. Podczas odwilży spuszczać wodę z ozimin.

PĄCZKI à 6 h. znakomite, poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, Poselska 15, Kraków, prowadzona pod osobistym kierunkiem Romualda Pieczarki.

MARTIUS MARZEC MÄRZ

MA DNI 31.

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżyc	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 P	Albina bisk., Suitb.	Albina	16 Pamfyla mucz.	6 50	5 36	11 37 pdpl.	4 4 pppl.
2 W	Henryka Suza, Sym.	Symplifyusza	17 Fteodora	6 48	5 38	12 31	4 57
3 Ś	Kunegundy cesarz..	Kunegundy	18 † Lwa papy	6 46	5 40	1 33	5 39
4 C	Kazimierza królów.	Adryana	19 Archyppa ap.	6 43	5 42	2 40	6 11
5 P	Fryderyka	Fryderyka	20 † Lwa eppa.	6 41	5 43	3 49	6 26
6 S	Frydolina, Kolety p.	Frydolina	21 † Tymofteja pr.	6 39	5 45	4 58	6 44
7 N	Sucha. Tomasza z A.	Felicyty	22 N. 2 Posta. SS M.	6 36	5 47	6 7	7 12
8 P	Jana Bożego	Filomena	23 Polykarpa jep.	6 34	5 49	7 15	7 27
9 W	Cyryla i Metod., Fr.	Prudencyusza	24 Obr. Hoł. Joan.	6 32	5 51	8 23	7 40
10 Ś	40 Męcenników	Aleksandra	25 † Tarasia Arch.	6 30	5 53	9 32	7 54
11 C	Róży, Franciszki, P.	Rozyny	26 Porfiryra	6 27	5 54	10 43	8 9
12 P	Grzegorza Wielkiego	Grzegorza	27 Prokopia octa	6 24	5 56	11 56	8 26
13 S	Nicefora, Eufrozyny	Ernesta	28 Wasylja prep.	6 23	5 58	—	8 47
14 N	Głucha. Matyldy kr.	Zachariasza	1 Mart. N. 3 P. Jew.	6 20	6 0	1 9	9 14
15 P	Klemensa Dw., Lon.	Krzysztofa	2 Fteodota mucz.	6 18	6 1	2 21	9 52
16 W	Heriberta arcybisk.	Cyryaka	3 Jewtropia m.	6 16	6 3	3 27	10 42
17 Ś	Gertrudy wd., Patr.	Gertrudy	4 Harasyna prep.	6 13	6 5	4 23	11 48
18 C	Gabryela archan.	Anzelma	5 Konona mucz.	6 11	6 7	5 8	1 8
19 P	Józefa Oblubieńca	Józefa Obl.	6 SS. 32 Mucz.	6 9	6 9	5 42	2 36
20 S	Aniceta, Joachima	Ruprechta	7 Wasylja m.	6 6	6 10	6 8	4 7
21 N	Srodopost. Benedykt.	Benedykta	8 N. 4 P. Fteof.	6 4	6 12	6 29	5 38
22 P	Oktawiana, Mikołaj.	Kazimierza	9 SS. 40 Mucz.	6 1	6 14	6 48	7 8
23 W	Wiktora, Ottona, K.	Eberharda	10 Kodrota mucz.	5 59	6 16	7 7	8 36
24 Ś	Szymona	Gabryela	11 Sofronia mucz.	5 57	6 17	7 26	10 4
25 C	Zwiastowanie NMP.	Zwiast. NMP.	12 Fteofana prep.	5 54	6 19	7 47	11 28
26 P	Jana pustelnika, K.	Emanuela	13 Nikyfora patr.	5 52	6 21	8 14	—
27 S	Ruperta biskupa	Ruperta	14 Wenedykta pr.	5 50	6 23	8 47	12 47
28 N	Biała. Jana Kap., S.	Malchusa	15 N. 5 P. Ahapia	5 47	6 24	9 30	1 57
29 P	Eustachego, Kastul.	Eustazego	16 Sawyna mucz.	5 45	6 26	10 22	2 55
30 W	Kwiryna m., Ruperta	Gwidona	17 Aleksia prep.	5 43	6 28	11 23	3 41
31 Ś	Balbiny p. im., Guid.	Amosa	18 Kyrilla arch.	5 40	6 30	12 30	4 16

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

5 Post Estery; 6, 7 Purym (zapusty); 22 Rozchodesz czyli 1 dzień miesiąca Nisan.

Zmiany powietrza:

Od 1 do 5 powietrze ostre i zimne; od 6 do 10 ciepło; 11 deszcz; od 12 do 16 pogoda; od 17 do 19 codzień rano zimno i przykro; od 22 do końca miesiąca mróz.

Zmiany księżyc:

Pełnia dnia 7 o godzinie 4 rano.
Ostatnia kwadra dnia 16 o godzinie 5 rano.
Nów dnia 21 o godzinie 9 wieczorem.
Pierwsza kwadra 28 o godzinie 6 po południu.

Przypomnienia gospodarskie na marzec:

Wieprze dokarmiać i zabijać na szynki i słoninę. Przysposabiać wędliny na całe lato. Drzewka sadzić. Czyścić ogrody i sady, zasiewać owies, groch i jarkisz. Czyścić, skrudzić i nawodniać łąki. Bić i szlamować rowy.

CIASTA

à 6 h. Herbatniki, karmelki, pomadki mieszane poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, **Poselska 15, Kraków**, prowadzona pod osobistym kierunkiem **Romualda Pieczarki.**

APRILIS KWIECIEŃ APRIL

MA DNI 30

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżycy	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 C	Macierz. NMP., Hug.	Teodora	19 Chrysanfta m.	5 38	6 31	1 39 pdpl.	4 42 ppłd.
2 P	7 bol. NMP. Franc.	Amalii	20 Joana Prep. Ot.	5 36	6 33	2 48	5 3
3 S	Ryszarda bisk., Dar.	Daryusza	21 Jakowa	5 33	6 35	3 57	5 20
4 N	Palmowa. Izidora	Ambrożego	22 N. 6 P. Wasyl.	5 31	6 37	5 5	5 35
5 P	Wincentego, Emilii	Hozeasza	23 Nikona	5 29	6 38	6 14	5 48
6 W	Celestyna I., Sykst.	Ireneusza	24 Artemin., Zach.	5 26	6 40	7 23	6 2
7 Ś	Hermana, Józefa	Hegezypa	25 Błah. P. Bohor.	5 24	6 42	8 34	6 16
8 C	W. Czwartek, Dyon.	Apolonii	26 Czet. welykyj	5 22	6 43	9 47	6 32
9 P	Wielki Piątek, Mar.	Wielki Piątek	27 Piatok welykyj	5 19	6 45	11 0	7 51
10 S	Wielka Sobota, Ez.	Daniela	28 Sub. welyka	5 7	6 47	—	7 16
11 N	Wielkanoc. Leona p.	Wielkanoc	29 Woskr. Chrysta	5 15	6 49	12 13	7 49
12 P	Poniedziałek Wielk.	P. Wielkan.	30 Poned. śwityj	5 13	6 50	1 21	8 34
13 W	Hermenegilda m.	Justyna	31 Wtorek śwityj	5 10	6 52	2 19	9 33
14 S	Tyburcego, Waler.	Tyburcego	1 Apriel. Maryi	5 8	6 54	3 6	10 45
15 C	Krescentego	Olimpii	2 Tyta prepod.	5 6	6 56	3 42	13 8
16 P	Lamberta m., Zenona	Charyzysza	3 Nykyty prep.	5 4	6 57	4 10	1 35
17 S	Rudolfa, Aniceta	Rudolfa	4 Josyfa prep.	5 1	6 59	4 32	3 4
18 N	Przewodnia. Apolonii	Flawiana	5 N. 1 po W. Fteo.	4 59	7 1	4 51	4 33
19 P	Wernera, Hermog.	Wernera	6 Jewtych episk.	4 57	7 3	5 9	6 2
20 W	Sulpicyusza, Agn.	Sulpicyusza	7 Hrehorya prep.	4 55	7 4	5 27	7 31
21 Ś	Anzelma, Lotara, Al.	Adolara	8 Irodiona ap.	4 53	7 6	5 47	8 58
22 C	Sotera, Kajusa, Kaz.	Sotera i Kajet.	9 Jewpsychia j.	4 51	7 8	6 11	10 23
23 P	Wojciecha b., Fel.	Jerzego	10 Terentia	4 58	7 0	6 41	11 40
24 S	Jerzego rycer., Fid.	Albrechta	11 Antypy jepisk.	4 56	7 11	7 20	—
25 N	2 po W. Marka Ew.	Marka Ew.	12 N. 2 po W. Was.	4 44	7 13	8 10	12 46
26 P	NMP. Dobrej Rady	Kleta	13 Artemona jep.	4 42	7 15	9 9	1 39
27 W	Piotra Kaniz., Teof.	Anastazego	14 Martyna prep.	4 40	7 16	10 15	2 18
28 Ś	Witalisa, Waleryan.	Witalisa	15 Arystarcha ap.	4 38	7 18	11 25	2 47
29 C	Piotra m., Feliksa p.	Sybili	16 Ahapii, Iryny	4 36	7 20	12 35	3 10
30 P	Katarzyny Sen., P.	Eupropiusza	17 Symeona prep.	4 34	7 22	1 44	3 28

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

5, 6 Pesach (Wielkanoc); 7, 8, 9, 10 wolne święta; 11, 12 ostatnie dni Świąt Wielkanocnych uroczyste; dnie 20, 21 Rozchodesz czyli pierwsze dni miesiąca Ijar.

Zmiany powietrza:

Aż do 4 silny mróz, poczem do 9 zmienne powietrze; od 12 do 18 przenikliwy mróz, połączony z wiatrem; 23 ciepło i parno; 24 i 25 ciepły deszcz; od 26 do 28 dnie pogodne i ciepłe; 29 deszcz a następnie powietrze ciepłe.

Zmiany księżyca:

Pełnia dnia 5 o godzinie 9 wieczorem.
Ostatnia kwadra 13 o godzinie 4 po południu.
Nów dnia 20 o godzinie 6 rano.
Pierwsza kwadra 27 o godzinie 10 przed poł.

Przypomnienia gospodarskie na kwiecień:

Obsiewać ogrody. Sadzić i szczepić drzewka owocowe. Wychowywać młody drób. Kończyć siew owsa, grochu, jarki. Zasiawać wykę i len, niemniej koniczynę w oziminach i w jęczmieniu. Zasiawać rozsady. Jeśli można, rozpocząć wysad ziemniaków.

NA ŚWIĘTA WIELKANOCNE

przyjmuje zamówienia na torty, babki, serniki itd.
Wielki wybór pisanek. : Baranki od 10 hal. : Masa migdałowa i orzechowa. Fabryka wyrobów cukierniczych **Poselska 15, Kraków**, prowadzona pod osobistym kierunkiem **Romualda Pieczarki.**

MAIUS MAJ MAJ

MA DNI 31

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżycyca	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 S	Filipa i Jakóba ap.	Filipa i Jakóba	18 Joana prepod.	4 32	7 23	2 53 pđpł.	3 48 pđpł.
2 N	3 po W. Zygmunta	2 M. D. Zygmn.	19 N. 3 po W. Joan.	4 30	7 25	4 2 „	3 57 „
3 P	Znalezienie Krzyża	Zn. ś. Krzyża	20 Fteodota prep.	4 28	7 27	5 11 „	4 10 „
4 W	Floryana męcz.	Floryana	21 Januarja mucz.	4 26	7 28	6 22 „	4 23 „
5 Ś	Piusa V, Moniki wd.	Gotarda	22 Fteodora Syk.	4 24	7 30	7 35 „	4 38 „
6 C	NMP Matki Miłos.	Dytrycha	23 Heorchia mucz.	4 22	7 32	8 49 „	4 56 „
7 P	Domiceli panny	Gotfryda	24 Sawwy mucz.	4 21	7 33	10 4 „	5 19 „
8 S	Stanisława biskupa	Stanisława	25 Marka Ap.	4 19	7 35	11 15 „	5 48 „
9 N	4 po W. Grzegorza	3 Jub. Gord. H.	26 N. 4 po W. Was.	4 17	7 37	—	6 30 „
10 P	Antoniusza, Izydora	Wiktoryna	27 Symeona jep.	4 15	7 38	12 17 „	7 25 „
11 W	Franciszka de Hier.	Wojciecha	28 Jasona ap.	4 13	7 40	1 7 „	8 33 „
12 Ś	Pankracego, Nereus.	Pankracego	29 9 Muczennik.	4 12	7 41	1 45 „	9 51 „
13 C	Serwacego biskupa	Serwacego	30 Jakowa ap.	4 10	7 43	2 14 „	11 15 „
14 P	Bonifacego, Chryst.	Bonifacego	1 Maj. Jeremii	4 9	7 45	2 37 „	12 41 „
15 S	Zofii m. i 3 córek	Zofii	2 Aftanasya W.	4 7	7 46	2 56 „	2 7 „
16 N	5 po W. Jana Nep.	Peregryna	3 N. 5 po W. Tym.	4 5	7 48	3 14 „	3 33 „
17 P	Paschalisa	Torpeta	4 Pelahyi mucz.	4 4	7 49	3 31 „	5 0 „
18 W	Feliksa kap. krzy	Liboryusza	5 Iryny mucz.	4 3	7 51	3 49 „	6 27 „
19 Ś	Piotra Celest żowe	Potencyany	6 Jowa mnoh.	4 1	7 52	4 10 „	7 54 „
20 C	Wniebowstąp. Pańskie	Wniebowst. P.	7 Woznes Hospod.	4 0	7 54	4 37 „	9 16 „
21 P	Wenancjusza, Sek.	Prudensa	8 Joana Bohosł.	3 58	7 55	5 11 „	10 20 „
22 S	Heleny Król., Dom.	Heleny	9 Pren. M. Nyk.	3 58	7 57	5 56 „	11 29 „
23 N	6 po W. Andrzeja B.	Dezyderego	10 N. 6 po W. Sym.	3 56	7 58	6 53 „	—
24 P	M. Boskiej Wsp. W.	Zuzanny	11 Mokija	3 54	7 59	7 58 „	12 16 „
25 W	Grzegorza VII., Urb.	Urbana	12 Jepyfamia jep.	3 53	8 1	9 8 „	12 50 „
26 Ś	Filipa Nereusza	Bedy	13 Hlykeryi mucz.	3 52	8 2	10 19 „	1 15 „
27 C	Magdaleny de Pazzis	Lueyana	14 Isydora m. r.	4 51	8 4	11 30 „	1 34 „
28 P	Germana biskupa	Wilhelma	15 Pachomya Weł.	3 50	8 5	12 39 „	1 40 „
29 S	Wig. Teodozyi p., T.	Maksymiliana	16 Fteodora osw.	3 49	8 6	1 47 „	2 4 „
30 N	Zielone Świątki	Zielone Św.	17 Sosz. św. Duch.	3 48	8 7	2 56 „	2 17 „
31 P	Ponied. Ziel. Świątek	Pon. Ziel. Św.	18 Ponedłtok Sosz.	3 47	8 9	4 5 „	2 31 „

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

4 Pesach szeni; 8 Lag-B'omer (dni radosne); 20 Rozchodesz czyli 1 dzień mies. Sywan; 25 i 26 Szewuos (Zielone Świątki).

Zmiany powietrza:

3 przymrozek nad ranem, zresztą pięknie; 4 grzmoty połączone z deszczem; 5 powietrze niestałe; 6 przy niebie pogodnem dotkliwy mróz; od 7 do 26 chłodne noce, lecz dni ciepłe, suche; 27 powietrze ostre; od 28 do 30 dnie pochmurne; 31 znaczny szron, a wieczorem spadnie deszcz.

Zmiany księżycyca:

Pełnia dnia 5 o godzinie 5 po południu.
Ostatnia kwadra dnia 12 o godz. 11 w nocy.
Nów dnia 19 o godzinie 3 po południu.
Pierwsza kwadra dnia 27 o godz. 2 w nocy.

Przypomnienia gospodarskie na maj:

Kończyć siewy jare: jęczmienia, prosa, tatkli (breczki). Wykę zasiewać na nasienie. Mieszanki późniejsze zasiewać. Drugi posiew lnu. Sadzić ziemniaki, rozsądę kapusty i karpiele (brukwi). Kończyć naprawę dachów, płotów i mostów. Przystosować zapasy masła i sera. Zasiewać iniankę (rzyj), plewie pszenicę i buraki.

ZNAKOMITE LODY,

Pierniki, Owoce kandyzowane, Andruty; na majówki wielki wybór ciast a 6 h. poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, **Poselska 15**, Kraków, prowadzona pod osob. kierunkiem **Romualda Pieczarki**.

JUNIUS CZERWIEC JUNI

MA DNI 30.

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżyca	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 W	Bl. Jakuba Strepy	Nikodema	19 Patrykija jep.	3 46	8 10	5 19	ppdł. 2 45
2 S	(Such.) Marcelina	Efraima	20 † Ftałateja m.	3 45	8 11	6 33	4 1 "
3 C	Klotyldy, Erazma	Erazma	21 Konstantyna	3 44	8 12	7 49	" 3 22 "
4 P	(Such.) Kwiryna	Karpazyusza	22 † Wasylija	3 43	8 13	9 3	" 3 49 "
5 S	(Such.) Bonifacego	Bonifacego	23 † Michaiła pr.	3 43	6 14	10 10	" 4 27 "
6 N	1 po Świętej Trójcy	Benigna	24 N. 1 po S. Wsich.	3 42	8 15	11 5	" 5 18 "
7 P	Roberta opata	Lukrecyi	25 Obr. Hl. s. J.	3 42	8 16	11 48	" 6 23 "
8 W	Medarda biskupa	Medarda	26 Karpa ap.	3 41	8 17	—	" 7 39 "
9 S	Prymusa, Felicyana	Prym. i Fel.	27 Fteraponta jep.	3 41	8 18	12 20	" 9 2 "
10 C	Boże Ciało Małgorz.	Onufrego	28 Tiło Chrysta	3 40	8 18	12 44	" 10 27 "
11 P	Barnaby apost.	Barnaby	29 Fteodosyi m.	3 40	8 19	1 3	" 11 52 "
12 S	Jozuego, Onufrego	Bazyldesa	30 Izaakija prep.	3 39	8 20	1 21	" 1 16 "
13 N	2 po Sw. Antoniego	1 po Tr. Tobias.	31 N. 2 po S. Jer.	3 39	8 21	1 37	" 2 40 "
14 P	Bazylego biskupa	Antonii	1 Ijun. Justyna	3 39	8 21	1 54	" 4 4 "
15 W	Wita, Modesta, Kr.	Wita	2 Nykyfora P.	3 39	8 22	2 13	" 5 29 "
16 S	Jolanty, Jana Fr. R.	Justyny	3 Łukilyana m.	3 39	8 22	2 37	" 6 52 "
17 C	Adolfa b., Innocent.	Wolmara	4 Mytrofana	3 39	8 23	3 7	" 8 9 "
18 P	Serca Jezus. Marka	Gerwazego	5 Dorofteja	3 39	8 23	3 46	" 9 15 "
19 S	Gerwazego, Protaz.	Sylweryusza	6 Wasaryona pr.	3 39	8 23	4 37	" 10 8 "
20 N	3 po Sw. NMP. N. P.	2 po Tr. Sylasa	7 N. 3 po S. Fteod.	3 39	8 24	5 39	" 10 48 "
21 P	Alojzego Gonzagi	Albana	8 Fteodota jep.	3 39	8 24	6 49	" 11 17 "
22 W	Paulina biskupa	Achacyusza	9 Kyryla Arch.	3 39	8 24	8 1	" 11 39 "
23 S	Edeltrudy, Agryp.	Bazylego	10 Tymoftea jep.	3 36	8 24	9 13	" 11 53 "
24 C	Jana Chrzciela	Jana Chrz.	11 Warfłomeja	3 40	8 24	10 23	" — "
25 P	Febroni p. i męcz.	Elogiusza	12 Onurya prep.	3 40	8 24	11 32	" 12 11 "
26 S	Jana i Pawła	Jeremiasza	13 Akiłyny mucz.	3 49	8 24	12 40	" 12 24 "
27 N	4 po Sw. Władysł.	Filipiny	14 N. 4 po S. El.	3 41	8 24	1 49	" 12 37 "
28 P	Wig. Leona, Iren.	Leona i Józefa	15 Amosa pror.	3 41	8 24	3 0	" 12 51 "
29 W	Piotra i Pawła ap.	Piotra i Pawła	16 Tychona prep.	3 42	8 24	4 13	" 1 6 "
30 S	Wspom. św. Pawła	Wsp. s. Pawła	17 Manniła mucz.	3 42	8 24	5 29	" 1 25 "

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

18, 19 Rozchodesz czyli 1 dzień miesiąca Tamus.

Zmiany powietrza:

Do 4 pochmurno i chłodno; 5 zimny deszcz;
od 7 do 9 ciepłe deszcze; od 10 do 25 zmienne;
26 deszcz; 28 pogoda; 30 poasepnie.

Zmiany księżycy:

Pełnia dnia 4 o godzinie 2 w nocy.
Ostatnia kwadra dnia 11 o godzinie 4 rano.
Nów dnia 17 o godzinie 12 w nocy.
Pierwsza kwadra dnia 25 o godzinie 8 wieczór.

Przypomnienia gospodarskie na czerwiec.

Smażyć konfitury i galarety z agrestu, porzeczek, poziomki i truskawek. Gotować sok malinowy. Zbierać zioła lekaske i kwiat lipowy. Pokładać ugory, przestrzegać tego, by rola nie stwardniała.

ZLECENIA na wyroby cukiernicze dla wycieczkowców skutecznie
szybko odwrotną pocztą Fabryka wyrobów cukierniczych, **Poselska 15,**
Kraków, prowadzona pod osobistym kierunkiem **Romualda Pieczarki.**

JULIUS LIPIEC JULI

MA DNI 31

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżyc	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 C	Teobalda, Juliusza	Teobalda	18 Leontia, Ipatia	3 43	8 42	6 44 pdpt.	1 49 pppt.
2 P	Nawiedz. NMP., J.	Naw. NMP.	19 Judy Ftad. Ap.	3 44	8 23	7 55 "	2 22 "
3 S	Eulogiusza, Heliod.	Korneliusza	20 Mettodia jep.	3 44	8 23	8 57 "	3 7 "
4 N	5 po Sw. Naj. Kr.	3 po Tr. Uldar.	21 N. 5 po S. Juł.	3 45	8 22	9 46 "	4 8 "
5 P	Cyryla i Metodego	Karoliny	22 Jewsewya jep.	3 46	8 22	10 22 "	5 23 "
6 W	Izajasza pr., Kornel.	Goara	23 Ahrypiny m.	3 47	8 21	10 49 "	6 47 "
7 Ś	Wilibalda, Klaud.	Wilibalda	24 Rożd. ś. Joana	3 48	8 21	11 10 "	8 13 "
8 C	Kiliana, Elżbiety kr.	Kiliana	25 Fewronyi	3 49	8 20	11 28 "	9 39 "
9 P	NMP. Król. pokoju	Ludwiki	26 Dawyda sołuń.	3 50	8 20	11 44 "	11 4 "
10 S	Rufina, 7 braci śp.	Siedmiu Braci	27 † Samsona pr.	3 51	8 19	—	12 27 "
11 N	6 po Sw. Jana z D.	4 po Tr. Piusa	28 N. 6 po S. Kyr	3 52	8 18	12 1 "	1 50 "
12 P	Jana Gwalberta	Henryka	29 Petra i Pawła	3 53	8 17	12 19 "	3 14 "
13 W	Eugeniusza b., Mał.	Małgorzaty	30 Sob. SS. Ap.	3 54	8 16	12 40 "	4 37 "
14 S	Bonawentury pust.	Bonawentury	1 Jułyi Kosmy	3 55	8 15	1 7 "	5 54 "
15 C	Henryka cesarza	Rozesłanie Ap.	2 Pol. ryzy pr. B.	3 57	8 14	1 42 "	7 3 "
16 P	NMP. Szk., Andrzeja	Ruty	3 Jakynfta	3 58	8 13	2 28 "	8 1 "
17 S	Aleksego, Gebharda	Aleksego	4 Andreja arch.	3 59	8 12	3 25 "	8 45 "
18 N	7 po Sw. Szymona	5 po Tr. Matern.	5 N. 7 po S. Aft.	4 0	8 11	4 32 "	9 17 "
19 P	Jana, Wincentego	Rufiny	6 Łukiji i Łukija	4 1	8 10	5 44 "	9 42 "
20 W	Czesława W., Małg.	Eliasza	7 Ftomy prep.	4 3	8 9	6 56 "	10 1 "
21 Ś	Praksedy p., Daniel.	Pauliny	8 Prokopyja	4 4	8 7	8 7 "	10 17 "
22 C	Maryi Magdaleny	Maryi Magd.	9 Pankratya ep.	4 6	8 6	9 17 "	10 30 "
23 P	Liboryusza b., Apol.	Apolinarego	10 45 męczennik.	4 7	8 5	10 25 "	10 43 "
24 S	Krystyny panny	Krystyny	11 Jewtymyi m.	4 8	8 3	11 34 "	10 56 "
25 N	8 po Sw. Kunegundy	6 po Tr. Jakóba	12 N. 8 po S. Pr.	4 10	8 2	12 43 "	11 10 "
26 P	Anny, matki NMP.	Anny	13 Sobor. arch. H.	4 11	8 0	1 54 "	11 27 "
27 W	Pantaleona, Berty	Marty	14 Akiły Apost.	4 13	7 59	3 8 "	11 48 "
28 Ś	Nazaryusza, Botw.	Pantaleona	15 Kyrka arciep.	4 14	7 57	4 23 "	—
29 C	Marty p., Feliksa	Beatryksy	16 Aftynohena	4 16	7 56	5 36 "	12 50 "
30 P	Abdona, Zenona m.	Abdona	17 Martyny w. M.	4 17	7 54	6 42 "	12 66 "
31 S	Ignacego z Loyoli	Ernestyny	18 Emiliana m.	4 19	7 53	7 37 "	1 51 "

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

5 Szywe-usor betamuz (post na pamiątkę obłężenia Jerozolimy); 18 Rozchodesz czyli 1 dzień miesiąca Ab; 26 post Tysze-beaw (na pamiątkę zburzenia Jerozolimy).

Zmiany powietrza:

2 ponuro i dżdżysto; 3 deszcz; od 4 do 8 upały; od 10 do 11 burze; od 12 do 28 upały, następnie ulewę aż do końca miesiąca.

Zmiany księżyca:

Pełnia dnia 3 o godzinie 1 w południe.
Ostatnia kwadra dnia 10 o godzinie 8 rano.
Nów dnia 17 o godzinie 12 w południe.
Pierwsza kwadra 25 o godzinie 1 w południe.

Przypomnienia gospodarskie na lipiec:

Przysposabiać wozy, litry, grabie, widły, pawęże, łańcuchy: jednym słowem wszystko, co potrzebne na zwózkę. Stodoły wyprzątnąć i oczyścić. Młockarnie naprawić. Ostatnia orka pod siew rzepaku. Żniwo żyta i pszenicy. Zbiór owsa (rychliku), jęczmienia i mieszanek sianej w pognoju.

ZE ŚWIEŻYCH OWOCÓW ciastka, lody, karmelki, herbatniki poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, Poselska 15, Kraków, prowadzona pod osobist. kierunkiem R. Pieczarki.

AUGUSTUS SIERPIEŃ AUGUST

MA DNI 31.

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżyc	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 N	9 po Sw. Piotra	7 po Tr. Piotra	19 N. 9 po S. Makr.	4 20	7 51	8 19 pdpt.	3 0 ppjd.
2 P	NMP. Anielskiej	Gustawa	20 Ilyj pror.	4 22	7 49	8 50	4 21
3 W	Augustyna, Zn. Sze.	Augusta	21 Symeona p.	4 23	7 45	9 15	5 50
4 Ś	Dominika, Eudoks.	Dominika	22 Maryi Mahdal.	4 25	7 44	9 33	7 19
5 C	NMP. Snieżnej	Oswalda	23 Trofyma	4 27	7 47	9 50	8 47
6 P	Przem. Pańskie, S.	Sykstusa	24 Borysław, Hl.	4 28	7 41	10 7	10 13
7 S	Kajetana z Afry, R.	Donata	25 Uusp. ś. Anny	4 30	7 40	10 24	12 48
8 N	10 po Sw. Piotra F.	8 po Tr. Cyryak.	26 N. 10 po S. Jer.	4 31	7 38	10 44	1 2
9 P	Romana m., Koland.	Rolanda	27 Pantajlemona	4 33	7 36	11 9	2 25
10 W	Wawrzyńca m., Fil.	Wawrzyńca	28 Prochora	4 35	7 35	11 41	2 44
11 S	Tyburcego, Zuzanny	Hermana	29 Kałynyka m.	4 36	7 33	—	4 55
12 C	Klary p., Hilaryni	Klary	30 Syły apost.	4 38	7 31	12 23	5 56
13 P	Jana Berchmansa	Kassyana	31 Ewdokima	4 39	7 29	1 17	6 43
14 S	Wig. Euzebiusza, A.	Euzebiusza	1 Awgust. Proizs.	4 40	7 27	2 20	7 19
15 N	Wniebowzięcie NMP.	Wnieb. NMP.	2 N. 11 po S. St.	4 43	7 25	3 30	7 46
16 P	Rocha m., Joachim.	Rocha	3 Isaakya prep.	4 45	7 23	4 42	8 6
17 W	Maksymiliana	Bertrama	4 7 Otrók w Ef.	4 46	7 21	5 53	8 23
18 Ś	Heleny kr., Agapita	Agapita	5 Jewsyehya	4 48	7 19	7 4	8 37
19 C	Ludwika, Zebalda	Sebalda	6 Preobr. Hosp.	4 50	7 16	8 13	8 50
20 P	Bernarda op., Joach.	Bernharda	7 Dometyja pr.	4 51	7 14	9 21	9 2
21 S	Joanny, Franciszki	Adolfa	8 Jemetyjana	4 53	7 12	10 29	9 16
22 N	12 po Sw. N. S. NP.	10 po Tr. Tym.	9 N. 12 po S. Maft.	4 55	7 10	11 39	9 31
23 P	Filipa, Zacheusza	Zacheusza	10 Laurentya	4 56	7 8	12 51	9 50
24 W	Bartłomieja ap., A.	Bartłomieja	11 Jewpła	4 58	7 6	2 4	10 15
25 Ś	Ludwika kr., Gen.	Ludwika	12 Fotya muez.	5 0	7 3	3 17	10 47
26 C	Samuela, Zefiryra	Zefiryra	13 Maksyma p.	5 1	7 1	4 25	11 32
27 P	Gebharda, Cezarego	Gebharda	14 Michea pror.	5 3	7 59	5 25	—
28 S	M. Bosk. Częstoch.	Augustyna	15 Uspenye Boh.	5 5	7 57	6 13	12 43
29 N	13 po Sw. Pocz. NMP.	11 po Tr. Jana	16 N. 13 po S. Ner.	5 6	6 55	6 47	1 51
30 P	Róży Lim. p., Paul.	Rebeki	17 Murona	5 8	6 52	7 14	3 17
31 W	Rajmunda w., Fel.	Paulina	18 Flora, Ławra	5 19	6 50	7 36	4 48

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

16, 17 Rozchodesz czyli pierwsze dni miesiąca Elul.

Zmiany powietrza:

Od 1 do 4 pochmurnie i deszcz; 6 pogoda, nocy jednak chłodne; 7 deszcz i burza; 8 dosyć pogodnie; od 9 do 14 ciągle deszcze; 17 pogoda; 18 burza, poczem niestałe powietrze.

Zmiany księżyc:

Pełnia dnia 1 o godzinie 10 wieczorem. Ostatnia kwadra 8 o godzinie 1 po południu. Nów dnia 16 o godzinie 1 w nocy. Pierwsza kwadra dnia 24 o godzinie 5 rano. Pełnia dnia 31 o godzinie 6 rano.

Przypomnienia gospodarskie na sierpień:

Ostateczny sprzęt i zwózka żyta i pszenicy, grochu, bobu, owsa, wyki, prosa, tatarski (hreczki) i lnu. Młócić żyto i pszenicę na siew. Skończyć orkę pod oziminy i zasiać żyto. Nasiona warzywne zbierać na wysadki, suszyć i przechowywać w suchym miejscu. Szkółki drzewne zakładać.

DLA TURYSTÓW

cukierki miętowe „TURYSTA” własnego wyrobu, nadzwyczaj orzeźwiający, z czystego cukru bez żadnych domieszek, poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, Poselska 15, Kraków, prowadzona pod osobistym kierunkiem Rom. Pieczarki.

SEPTEMBER WRZESIEŃ SEPTEMBER

MA DNI 30

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko.katolickie	Słońca		Księżyc	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 Ś	Aniołów Str., Idziego	Idziego	19 Andrea mucz.	5 11	6 48	7 54 pdpt.	6 19 ppłd.
2 C	Stefana król. węg.	Abalona	20 Samuela prep.	5 13	6 45	8 11	7 49
3 P	Bronisławy panny	Mansweta	21 Fteda ap.	5 15	6 43	8 28	9 18
4 S	Rozalii Panny	Rozalii	22 Ahaftonyka	5 16	6 41	8 40	10 45
5 N	14 po Sw. Joachima	12 po Tr. Herk.	23 N. 14 po S. Łupp.	5 18	6 39	9 12	12 11
6 P	Magnusa, Zacheus.	Magnusa	24 Jewtychia m.	5 19	6 36	0 41	1 34
7 W	Wig. Reginy Panny	Reginy	25 Warfłomeja	5 21	6 34	10 20	2 49
8 Ś	Narodzenie NMP.	Narodz. NMP.	26 Adryana i Nat.	5 23	6 32	11 10	3 53
9 C	Piotra Klawera T. J.	Gorgoniusza	27 Pymona pr.	5 25	6 29	—	4 44
10 P	Mikołaja w., Cypr.	Jodoka	28 Moyesa Mur.	5 26	6 27	12 11	5 23
11 S	Prota, Jacka	Prota	29 Usik. Hl. Joan.	5 28	6 24	1 19	5 51
12 N	15 po Sw. Imien. NMP.	13 po Tr. Syrus.	30 N. 15 po S. Al.	5 30	6 22	2 30	6 13
13 P	Tobiasza, Eulogius.	Materna	31 Pol. poj. Pr.	5 31	6 20	3 42	6 30
14 W	Podw. św. Krzyża	Podn. Krz. św.	1 Sent. Symeona	5 33	6 17	4 53	6 44
15 Ś	Such. Nikodema m.	Nikodema	2 Mamanta m.	5 35	6 15	6 2	6 57
16 C	Ludmiły, Kornelego	Eufemii	3 Anftyma mucz.	5 36	6 13	7 11	7 10
17 P	Such. Piętno ś. Fr.	Lamberta	4 Wawły Sw.	5 38	6 10	8 19	7 32
18 S	Such. Ryszarda, T.	Tytusa	5 Zacharyi pror.	5 40	6 8	9 32	7 36
19 N	16 po Sw. NMP. Bol.	14 po Tr. Syd.	6 N. 16 po S. W.	5 41	6 5	10 39	7 53
20 P	Eustachiusza m.	Fausty	7 Makarya	5 43	6 3	11 51	8 14
21 W	Mateusza ap. i ew.	Mateusza Ew.	8 Rożdes. Precz.	5 45	6 1	1 4	8 42
22 Ś	Mauryczego ryc., Em.	Mauryczego	9 Joakima, Anny	5 46	5 58	2 13	9 22
23 C	Linusa p., Tekli p.	Tekli	10 Mynodyra pr.	5 48	5 56	3 14	10 15
24 P	NMP. Wykupu, Ger.	Gérharda	11 Fteopoa prep.	5 50	5 54	4 5	11 23
25 S	Kleofasa m., Aurel.	Kleofasa	12 Awtonoma	5 51	4 51	3 44	—
26 N	17 po Sw. Władysł.	15 po Tr. Cypr.	13 N. 17 po S. Kor.	5 53	5 49	5 14	12 43
27 P	Kosmy i Damiana	Adolfa	14 Wozn. s. Kresta	5 55	5 46	5 37	2 11
28 W	Wacława kr., Ludw.	Wacława	15 Nykity mucz.	5 57	5 44	5 56	3 42
29 Ś	Michała Archaniola	Michała	16 † Josafata m.	5 58	5 42	6 14	5 14
30 C	Hieronima doktora	Hieronima	17 Sofii mucz.	5 0	5 39	6 31	6 45

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

15 Rozchodesz czyli 1 dzień miesiąca Tiszri; 16 Roz-haszana (Nowy Rok 5670 od stworzenia świata); 25 Jom-Kipur (Sądny dzień); 20, 30 Suka (uroczyste święto szafasów).

Zmiany powietrza:

Do 5 wietrzno; 6 i 7 grzmot i deszcze; 11 ponuro; od 18 do 14 szron; 15 śliczna pogoda; od 16 do 17 chmurno i przymrozki; od 18 do końca mglisto i zimno.

Zmiany księżyca:

Ostatnia kwadra dnia 6 o godzinie 9 wieczór. Nów dnia 14 o godzinie 4 po południu. Pierwsza kwadra dnia 22 o godzinie 8 wieczór. Pełnia dnia 29 o godzinie 2 po południu.

Przypomnienia gospodarskie na wrzesień:

Zbierać jabłka i gruszki na przechowanie. Przystosować powidła i suszki. Kończyć wysiew ozimów. Kosić i zwozić potrawy (otawy). Wyrębywać i szatkować kapustę, oraz nabijać ją do beczek na zakiszenie.

DLA CIERPIĄCYCH NA KASZEL cukierki słodowo-miodowe własnego wyrobu, nadzwyczaj w smaku przyjemne, w pakietach po 20 h. poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, **Poselska 15, Kraków**, prowadzona pod osobistym kierunkiem **Romualda Pieczarki.**

OCTOBER PAŹDZIERNIK OCTOBER

MA DNI 31

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońce		Księżyc	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 P	Remigiusza	Bemignusa	18 † Jewmenia pr.	6 2	5 37	6 49 pdpł.	8 16 ppłd.
2 S	Aniołów Stróżów	Leodegarda	19 † Tryfona m.	6 3	5 35	7 11 „	9 47 „
3 N	18 po Sw. M. B. Róż.	16 po Tr. Kand.	20 N. 18 po S. Eust.	6 5	5 32	7 39 „	11 15 „
4 P	Franciszka Seraf.	Franciszka	21 Konrada ap.	6 7	5 30	8 15 „	12 37 „
5 W	Placyda, Palmariusz.	Fidesa	22 Foky mucz.	6 8	5 28	9 2 „	1 47 „
6 Ś	Brunona op., Jusun.	Fryderyki	23 Zacz. ś. Joana	6 10	5 25	10 1 „	2 44 „
7 C	Marka, Sergiusza	Amalii	24 Ftekły mucz.	6 12	5 23	11 8 „	3 26 „
8 P	Brygidy wd., Ben.	Pelagii	25 Jewrisinii pr.	6 14	5 21	—	3 57 „
9 S	Dyonizego m., Rust.	Dyonizego	26 Joana Boh.	6 15	5 18	12 19 „	4 20 „
10 N	19 po Sw. Fr. Borg.	17 po Tr. Gers.	27 N. 19 po S. Kał.	6 17	5 16	1 31 „	4 38 „
11 P	Emilii, Gereona z t.	Burkharda	28 Charytona pr.	6 19	5 14	2 42 „	4 53 „
12 W	Wincentego Kadł.	Maksymiliana	29 Kyrjaka prep.	6 21	5 12	3 51 „	5 6 „
13 Ś	Edwarda kr., Eulog.	Edwarda	30 Hryhorya pr.	6 23	5 9	5 1 „	5 18 „
14 C	Fortunata, Kaliksta	Kaliksta	1 Oktobr. Pokr.	6 24	5 7	6 10 „	5 30 „
15 P	Jadwigi król. polsk.	Jadwigi	2 Kypryana jep.	6 26	5 5	7 19 „	5 43 „
16 S	Teresy panny, Aur.	Gallusa	3 Dyonysya	6 28	5 3	8 30 „	5 59 „
17 N	20 po Sw. Joela, Ant.	18 po Tr. Flor.	4 N. 20 po S. Jer.	6 30	5 0	9 42 „	6 18 „
18 P	Łukasza ew. i ap.	Łukasza ew.	5 Charystyny m.	6 32	4 58	10 56 „	6 63 „
19 W	Piotra z Alk., Ferd.	Ferdynanda	6 Ftomy ap.	6 33	4 56	12 4 „	7 18 „
20 Ś	Jana Kantego, Wend.	Wendelina	7 Sergya, Backh.	6 35	4 54	1 8 „	8 5 „
21 C	Urszuli panny, Hil.	Urszuli	8 Pełahyi mucz.	6 37	4 62	2 2 „	9 6 „
22 P	Korduli, Brunona b.	Korduli	9 Jakowa ap.	6 39	4 50	2 44 „	10 19 „
23 S	Jana Kapistrana, S.	Seweryna	10 Jewlampya	6 41	4 48	3 16 „	11 42 „
24 N	21 po Sw. Jana Kant.	19 po Tr. Salom.	11 N. 21 po S. Fyl.	6 42	4 46	3 40 „	—
25 P	Maryi Magdal. Al.	Wilhelminy	12 Tararasya	6 44	4 44	3 59 „	1 9 „
26 W	Ewarysta, Frumenc.	Ewarysta	13 Karpa, Papyła	6 46	4 41	4 17 „	2 38 „
27 Ś	Sabiny, Florencyus.	Sabiny	14 Paraksewii	6 48	4 39	4 33 „	4 8 „
28 C	Szymona Judy ap.	Szymona Judy	15 Ewtymya	6 50	4 37	4 51 „	5 39 „
29 P	Narcyza bisk. i m.	Narcyza	16 Łonhyna mucz.	6 51	4 35	5 10 „	7 11 „
30 S	Wig. Alfonsa Redr.	Klaudjusza	17 Osyi pror.	6 53	4 33	5 35 „	8 43 „
31 N	22 po Sw. Wolfganga	20 po Tr. Wolf.	18 N. 22 po S. Łuk.	6 55	4 31	6 8 „	10 12 „

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

1, 2, 3, 4 wolne święta szalasów; 5 Hoszana-Raba (święto palm wolne); Szemini Aceres (uroczyste); 7 Szymhat tora (ostatni uroczysty dzień kuczek); 14, 15 Rozchodesz czyli pierwsze dni miesiąca Cheszwan.

Zmiany powietrza:

Do 9 deszcz, przytem silny wicher, 10 i 11 dni jasne; od 12 do 23 dżdżyste powietrze; od 24 do 26 powietrze niestałe; od 29 do 31 mglisto i zimno.

Zmiany księżyca:

Ostatnia kwadra dnia 6 o godz. 8 przed połudn.
Nów dnia 14 o godzinie 9 przed południem.
Pierwsza kwadra dnia 22 o godz. 8 przed połudn.
Pełnia dnia 28 o godzinie 11 wieczorem.

Przypomnienia gospodarskie na październik:

Uprzątnąć z pola resztę warzyw i ziemniaków. Wyganiać trzodę chlewną do lasów na karmę zołędzią i bukwia.
Ściernie orać pod jare zasiewy. Karmić krowy dojne liśmi i głąbiami z kapusty.

HERBATNIKI

w 30 gatunkach codziennie świeże; 1/2 klg. 1 kor. 20 hal.; Karmelki nadziewane 1/2 klg. 1 kor.; Pomadki mieszane 1/2 klg. 1 kor. 20 hal.; Ciasta po 6 hal.; Torty od 3 kor. poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, **Poselska 15, Kraków**, prowadzona pod osobistym kierunkiem **Romualda Pleczarki**.

NOVEMBER LISTOPAD NOVEMBER

MA DNI 30

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżyc	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 P	Wszystkich Świętych	WW. Świętych	19 Joila pror.	7 57	4 30	6 51 pdpł.	11 31 ppłd.
2 W	Dzień Zaduszn.	Dzień Zaduszn.	20 Artemia	7 59	4 28	7 47	12 36
3 Ś	Huberta, Perminius.	Bogumiła	21 Ilaryona prep.	7 1	4 26	8 53	1 25
4 C	Karola Boromeusza	Emeryka	22 Awerkia	7 3	4 24	9 5	2 1
5 P	Zacharyasza b., Em.	Blandyny	23 Jakowa mucz.	7 5	4 22	11 18	2 27
6 S	Leonarda b. i m.	Erdmana	24 Arefty muczen.	7 6	4 20	—	2 46
7 N	23 po Sw. Op. NMP.	21 po Tr. Malach.	25 N. 23 po S. M.	7 8	4 19	12 30	3 2
8 P	Gotfryda m., 4 Kor.	Sewera	26 Dymitra mucz.	7 10	4 17	1 41	3 15
9 W	Teodora m., Tryf.	Teodora	27 Nestora mucz.	7 12	4 15	2 50	3 27
10 Ś	Andrzeja z Awelin.	Probusa	28 Terentia	7 14	4 14	3 59	3 39
11 C	Marcina b., Menny	Marcina	29 Anastazyi m.	7 16	4 12	5 8	3 51
12 P	5 Br. Polaków, Kun.	Jonasza	30 Zynowija m.	7 17	4 10	6 19	4 6
13 S	Dydyaka	Bracyusza	31 Stachya Ap.	7 19	4 9	7 31	4 24
14 N	St. Kostki, Józefata	22 po Tr. Lew.	1 Nojbr. N. 24 po S.	7 21	4 7	8 44	4 47
15 P	Leopolda w., Gertr.	Leopolda	2 Akindina	7 23	4 6	9 56	5 18
16 W	Otomara, Edmunda	Otmara	3 Afekimy	7 25	4 4	11 3	6 1
17 Ś	Salomei kr. i p.,	Hugona	4 Joannyka pr.	7 26	4 4	12 0	6 57
18 C	Pośw. kość. ś. Piotra	Gelazego	5 Hałaktiona	7 28	4 3	12 45	8 6
19 P	Elżbiety wd., Ponc.	Elżbiety	6 Pawła archiep.	7 30	4 0	1 19	9 25
20 S	Korbiniana, Feliksa	Edmunda	7 Jerona	7 32	3 59	1 45	10 48
21 N	25 po Sw. Ofiar. NMP.	23 po Tr. O. NMP.	8 N. 28 po S. Mych.	7 34	3 58	2 5	—
22 P	Cecylii p. i m.	Cecylii	9 Onysyfora m.	7 35	3 57	2 22	12 13
23 W	Klemensa pap. i m.	Klemensa	10 Erasta	7 37	3 55	2 38	1 39
24 Ś	Chryzogona m., Jana	Emilii	11 Myny mucz.	7 49	3 54	2 54	3 6
25 C	Katarzyny p. i m.	Katarzyny	12 Joanna prepod.	7 40	3 53	3 33	3 35
26 P	Konrada b., Grzeg.	Konrada	13 Joanna Złat.	7 42	3 52	3 1	6 5
27 S	Wirgiliusza	Guntera	14 Fylipa	7 44	3 51	4 11	9 36
28 N	Adwent. Krescentego	1 Adw. Rufusa	15 N. 20 po S. Hur.	7 45	3 38	4 38	9 2
29 P	Saturnina b. i m.	Waltera	16 Maitea Jawang.	7 47	3 29	5 29	10 17
30 W	Andrzeja ap., Konst.	Andrzeja.	17 Hryhorya ep.	7 48	3 32	6 32	11 16

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

13, 14 Rozchodesz czyli pierwsze dni miesiąca Kislew.

Zmiany powietrza:

Do 3 jasno i pogodnie; 4 i 5 deszcz; od 6 do 8 pogoda; od 9 do 12 ulewy; od 13 do 20 powietrze dżdżyste; od 23 do 24 mróz; 25 deszcz; 26 pogodny dzień jesienny; 27 za dnia pogoda w nocy deszcz; 29 pogoda, 30 wietrzno.

Zmiany księżyca:

Ostatnia kwadra dnia 4 o godz. 11 w w nocy. Nów dnia 13 o godzinie 3 rano. Pierwsza kwadra dnia 20 o godz. 7 wieczorem. Pełnia dnia 27 o godz. 10 przed południem.

Przypomnienia gospodarskie na listopad:

Zbierać jałowiec na lekarstwo dla bydła i owiec. Ukończyć żęble, a z nastaniem mrozów pochować sprzęty gospodarcze pod dachy, aby nie grębiały. Nawozy pod ziemniaki wywozić w pole.

NA Św. MIKOŁAJA dla grzecznych dzieci — tanio a dobre — wielki wybór pierników, Mikołajków z czystego miodowego ciasta poleca Fabryka wyrobów cukierniczych, Poselska 15, Kraków, prowadzona pod osobistym kierunkiem Romualda Pieczarki. ■ ■ ■

DECEMBER GRUDZIEŃ DEZEMBER

MA DNI 31

Dni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie	Grecko-katolickie	Słońca		Księżyc	
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
1 Ś	Edmunda Canzp.	Longina	18 Plasona	7 50	3 48	7 48	ppd.
2 C	Bibianny męcz.	Aurelii	19 Awdya	7 51	3 47	9 47	12 29
3 P.	Franciszka Ksaw.	Kassjana	20 Prokla, Hryhor.	7 52	3 47	10 47	"
4 S	Barbary p. i m.	Barbary	21 Wowed. Bohor.	7 55	3 46	11 46	"
5 N	2 Adw. Hieronima	2 Adw. Abigalii	22 N. 28 po S. Fyl.	7 55	3 46	—	1 32
6 P	Mikołaja biskupa	Mikołaja	23 Amfiochia	7 57	3 45	12 30	"
7 W	Ambrożego bisk.	Agatona	24 Jekateryny	7 58	3 45	1 45	"
8 Ś	Niep. Pocz. NMP.	Dzień pokuty	25 Klymenta pap.	7 59	3 44	2 53	"
9 C	Leokadyi p. i m.	Joachima	26 Atypia	8 0	3 44	4 4	"
10 P	NMP. Loret. Melch.	Judyty	27 Jakowa prep.	8 1	3 44	5 16	"
11 S	Damazego p., Idy	Damazego	28 Stefana mucz.	8 3	3 44	6 29	"
12 N	3 Adw. Synezyusza	3 Adw. Epim.	29 Adw. Paramona	8 4	3 44	7 43	"
13 P	Jodoka, Łucyi p.	Łucyi	30 Andrea mucz.	8 5	3 44	8 54	"
14 W	Euzebiusza, Spiryd.	Nikazego	1 Dekabr. Nauma	8 6	3 44	9 55	"
15 Ś	Such. Krystyny, W.	Ignacego	2 Awwakuma pr.	8 7	3 44	10 45	"
16 C	Adelajdy, Ananias.	Ananiasa	3 Sofonya	8 7	3 44	11 23	"
17 P	Such. Łazarza b.	Łazarza	4 Warwary mucz.	8 8	3 44	11 50	"
18 S	Such. Oczek. NMP.	Wunibalda	5 Sawwy op.	8 9	3 44	12 12	"
19 N	4 Adw. Nemezyusza	4 Adw. Abrah.	6 N. 2 Adw. Nyk.	8 10	3 44	12 29	"
20 P	Chrystyana, Pelagii	Ammona	7 Amwrosia jep.	8 10	3 45	12 45	"
21 W	Tomasza apostoła	Tomasza ap.	8 Zaczął. Boh.	8 11	3 45	1 0	"
22 Ś	Demetryusza, Zen.	Beaty	9 Patapia prep.	8 11	3 46	1 16	"
23 C	Wiktoryi, Hartmana	Dagoberta	10 Myny, Jerm.	8 12	3 46	1 35	"
24 P	Wig. Adama i Ewy	Adama, Ewy	11 Danyła Stołp.	8 12	3 47	1 58	"
25 S	Boże Narodzenie	Boże Narodz.	12 Spirydona jep.	8 13	4 47	2 39	"
26 N	1 po B. N. Sw. Szczep.	Szczepana	13 N. 3 Adw. Ew.	8 13	3 48	3 14	"
27 P	Jana ap. i ewang.	Jana Ewang.	14 Ftyrsa mucz.	8 13	3 49	4 11	"
28 W	Młodzianków	Młodzianków	15 Jelewtery	8 13	3 50	5 20	"
29 Ś	Tomasza biskupa	Jonatana	16 † Ahhea prep.	8 14	3 51	6 36	"
30 C	Dawida króla	Dawida	17 Danyła prep.	8 14	3 52	7 53	"
31 P	Sylwestra papieża	Boguchwała	18 † Sewastyana	8 14	3 53	9 8	"

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

Od 8 do 15 Chanuka (dni radosne na pamiątkę zwycięstwa Machabeuszów); 13, 14 Rozchodesz czyli pierwsze dni miesiąca Tewes; 23 Asura b. Tebet (post obłężenia Jerozolimy).

Zmiany powietrza:

5 deszcz i śnieg, następnie pogoda aż do 7; 8 deszcz; 9 ponuro lecz ciepło; 10 deszcz; 11 pięknie; 12 pochmurno; 13 deszcz; od 14 do 18 posepnie; 20 tegi mróz; 30 i 31 naprzemian jasno, mroźno, mglisto i ponuro.

Zmiany księżyca:

Ostatnia kwadra dnia 4 o godz. 5 po południu. Nów dnia 12 o godzinie 9 wieczorem. Pierwsza kwadra dnia 20 o godzinie 3 rano. Pełnia dnia 26 o godzinie 10 wieczorem.

Przypomnienia gospodarskie na grudzień:

Maciory prośne dobrze podkarmiać. Wieprze dopasać jęczmieniem. Szczepy w sadach chronić od mrozów i zajęcy opasywaniem pnia powrośtami. Zwolnić materyały budowlane i sagi z lasu. Rozpocząć wymót nasienia koniczyzny przy tegim mrozie. Odstawiać zboże na targi.

NA DRZEWKO

bajeczny wybór cukierków, czekoladek itd. **Na Święta Bożego Narodzenia** na obstalunki: Torty, Strucle,

Przekładanie, wogóle ciasta świąteczne przyjmuje Fabryka wyrobów cukierniczych, **Poselska 15, Kraków**, prowadzona pod osobistym kierunkiem **Romualda Pieczarki**.



Z NOWYM ROKIEM!

Ten rok, co idzie światu,
On nie jest ludom nowy!
Też same niesie krzywdy,
Też same w nim okowy..

Taż sama dusz niewola,
Też same łzy daremne,
Tych samych bezpraw nocy,
Też same mroki ciemne.

A przecież piersi ludów
Przewiewa skroś otucha,
Że bliży się już ranek,
Że noc przemija głucha...

I prężą się ramiona,
By zrzucić stare brzemię,
I wiosny pożądanie
Przenika całą ziemię.

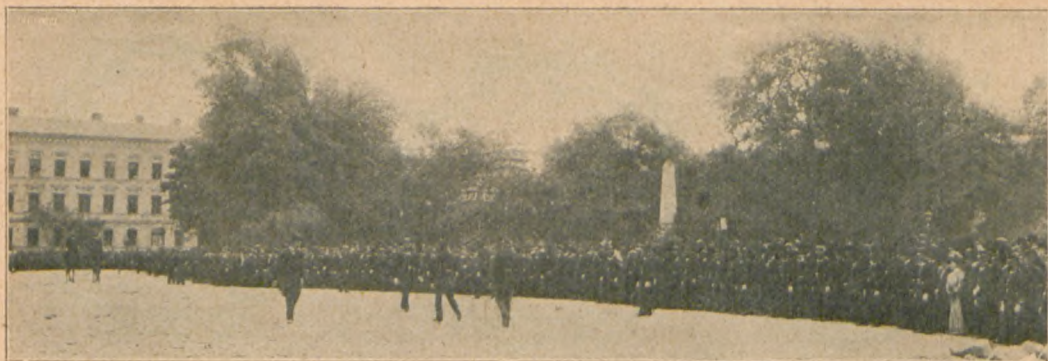
I budzą się z letargu
Odwiecznych snów — mogiły,
I duch już światem chodzi
I rusza ziemnej bryły.

Tą iskrę, co rozpali
Jutrzenkę wieku nową,
Narody z serc swych stali
Wykrzeszą piorunową.

Tę jasność co zadnieje
Na lądy i na morza,
Wolności wieszcząc słońce,
Roznieci ludów zorza.

Idziemy w nowe świty,
Dni nowych — idziem — straż...
Nie dany, lecz zdobyty —
Rok Nowy będzie nasz!

Marya Konopnicka.



LUD PRZED SEJMEM DNIA 27 WRZEŚNIA 1908 R.

IGNACY DASZYŃSKI.

O PARLAMENTARYZMIE.

Na niedawno odbytym kongresie niemieckich socjalistów w Norymberdze spierano się zajadle o to, czy posłowie socjalistyczni mogą głosować za budżetem, czy też muszą zawsze jako reprezentanci klasy wyzyskiwanej i uciskanej oddawać głosy swoje przeciw budżetowi, który daje rządowi prawo rozporządzania setkami milionów z pieniędzy podatkowych.

Spór ten jest tylko cząstką obszerniejszego sporu, wynikającego z wielkiej trudności zdania sobie sprawy z tego, czego ma się od parlamentu spodziewać walczący obóz klasy robotniczej.

Postaramy się tutaj w krótkich zarysach odpowiedzieć na to pytanie.

W państwach kapitalistycznych musiała klasa rządząca niemal wszędzie wprowadzić system parlamentarny, gdzie wybrani przez mniej lub więcej szerokie masy dorosłej i męskiej ludności posłowie uchwalają wszelkie ustawy, nakładają ciężary na całe społeczeństwo i w większości swojej mają prawo odmówić rządowi środków, lub wogóle swego poparcia, przez co zmuszają rząd do ustąpienia.

Każdy parlament rządzi się zasadą większości, a mniejszość przegłosowana musi się poddać.

Na tem też polegało złudne wyrachowanie pewnych kół socjalistycznych, jakoby można było na zupełnie pokojowej parlamentarnej drodze uzyskać socjalistyczną większość w parlamencie, objąć rządy w państwie i — zaprowadzić ustrój socjalistyczny. Złudzenie to polega na nieznanomości charakteru przeciwników klasy robotniczej. Ci bowiem nie zawahaliby się wcale przed użyciem najbrutalniejszej nawet siły, celem stłumienia choćby najspokojniejszego ruchu robotniczego, bez względu na to, że miałby on większość w parlamencie. Parlament bowiem nie jest jeszcze dzisiaj reprezentacją wszystkich potęg społeczeństwa, nawet przy równem, powszechnem prawie głosowania. Poza nim znajduje się jeszcze ciągła dyktatura, uosobiona w tak zwanej „głowie państwa“. Siła wojskowa, aparat biurokratyczny, oraz potężny wpływ kapitału, posiadają zawsze dosyć miejsca, ażeby prowadzić gospodarkę poza wpływami parlamentu, gdyby nawet ten parlament w większości swojej był im wrogiem. Stąd też wynika wieczna walka prawdziwego parlamentu z owymi potęgami, drwiącemi sobie z niego.

Na to i z tem liczyć się trzeba, że w parlamencie bardzo rzadko stoją na przeciw siebie: z jednej strony kapitalistyczna większość o jednakowych interesach, z drugiej mniejszość robotnicza, także jednolita. Zwyczajnie jest inaczej; partie miejskie, reprezentujące przemysł fabryczny i kapitał pieniężny, mają bardzo często odmienne interesy od n. p. arystokracji wiejskiej, wyższej biurokracji, lub chłopów.

Socjaliści w takim parlamencie muszą iść przeciwko większości i jej rządowi ręką w rękę z opozycją konserwatywną, klerykalną lub liberalną. W wielu razach muszą także stanąć razem z większością rządzącą przeciwko opozycji, z którą jeszcze wczoraj razem głosowali.

Uzyskują w miarę liczby swoich głosów wpływ w każdym parlamencie i niejednokrotnie zdołają ukształtować akty ustawodawcze na korzyść robotników.



DEPUTACJA W POCHODZIE DO SEJMU W DNIU 27 WRZEŚNIA 1908 R.

Parlament jest wyrazem gry znacznej części sił społecznych. Klasa robotnicza nie może się wyrzec owej części władzy i wpływu, jakie jej daje powszechne głosowanie; nie może postawić żądania: wszystko albo nic! Musi ona przyjąć walkę i na tem polu, a raz na niem stanąwszy, musi używać odpowiednich środków, aby dojść do jak największej dla siebie korzyści.

Lud robotczy wyrósł już z tych dzieciennych pojęć, jakoby tylko jedna droga i jeden środek walki prowadził go ku przyszłości. Dzisiejsi socjaliści nie mogą też uważać parlamentu ani za jedyny, ani też za nic nie znaczący środek walki o tę przyszłość. Na wszystkich polach ich pracy, w walce politycznej, w organizacji zawodowej i ekonomicznej, czy też w pracy oświatowo-kulturalnej, tak samo, jak i w walkach staczanych w parlamentach, jedną tylko kierują się przewodnią myślą: jak uczynić klasę robotniczą zdolniejszą do walki o swoją przyszłość.

Gdyby zasada większości, t. j. uzyskanie liczebnej większości w społeczeństwie, miała być jedyną drogą, która prowadzi do przyszłości, to nie w parlamentach, lecz w bezpośrednim głosowaniu całego ludu trzeba by tę zasadę stosować. To zaś możliwemby było tylko w sprawach, na które cały lud mógłby odpo-

wiedzieć: tak lub nie. Przytem ogromne, dziesiątki milionów liczące narody, złożone są ze zbyt różnorodnych żywiołów, aby można łatwo doprowadzić do takiego stanowczego przez lud rozstrzygnięcia. Parlamenti zostaną więc na długi czas instytucją, które — wprawdzie w niecałkiem dokładny sposób — będą wskazywały, gdzie znajduje się większość w danej sprawie i tego ich znaczenia lekceważyć nie można.

Parlament jest instytucją bardzo aktualną, zajmującą się wszystkimi ważniejszymi sprawami, które przynosi ze sobą najbliższa teraźniejszość i z tego powodu liczyć się z tem muszą także i socjalistyczni posłowie. Muszą oni zająć stanowisko wobec każdej sprawy, którą dzienny porządek parlamentowi przynosi i zająć stanowisko w taki sposób, żeby ono odbiło się w każdej uchwalanej ustawie. Socjalistyczni parlamentarzyści muszą liczyć się tak samo z warunkami swej walki, jak i organizacje polityczne czy zawodowe. Z tego wynika, że klasa robotnicza może od wpływu swego na parlamenti oczekiwać mniej lub więcej korzystnych ustaw i zarządzeń, ale ustawy tej zarządzenia dotyczyć mogą tylko zmian częściowych systemu kapitalistycznego. Przytem zmiany te, przedstawiające się w formie ustaw, idą zwykle w ślad za dokonaniem już w społeczeństwie zmianami. Parlament bardzo rzadko przoduje; najczęściej uchwała to, co już w społeczeństwie okazało się przez większość uznane. Jest on niejako manometrem, wskazującym prężność pary w maszynie. Przy wszelkim zatem braku złudzeń co do potęgi i znaczenia parlamentu, nie możemy nie uznać swoistości pracy parlamentarnej i musimy się z tą swoistością liczyć.

Nie można więc popadać w ton lekceważenia pracy parlamentarnej, nie możemy hołdować frazesowi rzekomo rewolucyjnemu, jakoby jednym wstrząśnięciem, jednym wysiłkiem, jednym rewolucyjnym rzutem można było dziś wywalczyć upadek ustroju kapitalistycznego i wprowadzić porządek socjalistyczny. Do tego jeszcze tak daleko, że nie wolno nam lekceważyć żadnego pola, na któremby klasa robotnicza uczyła się walczyć i zdobywała siłę, nieodzowną dla prowadzenia całego społeczeństwa w kierunku swych ideałów. Ta w słowie łatwa rewolucyjność jest w dzisiejszych warunkach w gruncie rzeczy niczem innem, jak wyrzeczeniem się walki dzisiaj i zachętą do obojętności i apatii. To też jest to metoda anarchistów, zwalczających zajadłe socjalną demokrację. Rewolucyjność tej ostatniej polega na tem, że walczyć należy codzień na wszystkich dostępnych ludowi polach, a nie tylko w jeden jakiś wymarzony dzień rewolucyi. Parlamentaryzm jest zresztą koniecznością ustroju kapitalistycznego i państwa nowożytnego. Jest on zjawiskiem historycznym i każda partya czy klasa społeczna musi w nim uczestniczyć.

Socjalista nie przestaje nim być, licząc się z ustawami dzisiejszego państwa, i z całym spokojem posługuje się temi ustawami i instytucjami państwa kapitalistycznego. Najradykałniejszy nawet wezwie policyanta na pomoc, gdy mu grozi mord na ulicy. Czyż wyraził on przez to swoje zaufanie policyi, która go wczoraj jako socjalistę prześladowała i jutro prześladować będzie? Tak samo i poseł socjalistyczny w walce n. p. z klerykalizmem będzie głosował nieraz z liberalną większością, nie wyrzekając się przez to zwalczania i tej większości. I żadnej innej reguły nie można tu postawić, jak tylko interes klasy robotniczej, mający być jedyną gwiazdą przewodnią socjalistycznego posła. Spory, dążące do ustanowienia raz na zawsze, kiedy wolno lub nie wolno głosować z taką czy inną większością w parlamencie, nie mogą doprowadzić do niczego pewnego; świadomość szerokich kół zorganizowanych robotników może i musi dać każdorazową wskazówkę.

Parlament jest także instytucją kontrolującą wszystkie czynności władzy rządowej wykonawczej i wolną trybuną, z której rozbrzmiewać mogą słowa protestu lub hasła ruchu masowego, coraz też bardziej potrzebuje lud roboczy

tej trybuny. W pewnych parlamentach, gdzie klasa posiadająca rozdarła jest na dwa obozy lub gdzie poszczególne narody prowadzą politykę nienawiści albo z konieczności zwalczać się wzajemnie muszą, już dzisiaj mogą socyaliści po-
słowie w wielu wypadkach uzyskać znaczny wpływ na parlament przez to, że jedna i druga strona musi liczyć na ich poparcie. Tak było n. p. we Francji przy zwalczaniu klerykalizmu, tak jest w Belgii przy walce o równe prawo gło-
sowania, tak jest i w Anglii, gdzie socjaliści stoją w ścisłym sojuszu z rządzącą
większością. Było tak i we Włoszech i w Austrii, a nawet i w Niemczech, gdzie
zażarte i wrogie stanowisko klasy posiadającej nie pozwalało z reguły na możli-
wość jakiegokolwiek sojuszu socjalistów z niesocyalistami.

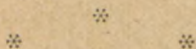
Zastępstwo parlamentarne klasy robotniczej jest jednak zawsze pośrednim
tylko wpływem tejże klasy, a w pośredniości tej tkwić musi zawsze obawa, że
poseł nie całkiem wiernym będzie wyrazem swoich wyborców.

Jest on bowiem tylko jednostką, mogącą uleść przeróżnym wpływom ubo-
cznym. Dlatego demokracja prawdziwa stara się zawsze nadawać kierunek pracy
parlamentarnej przez uchwały zorganizowanych wyborców, żąda jaknajściślejszego
związku między posłem a ludem i zaleca ścisłą kontrolę posłów przez lud. Ja-
wność rozpraw parlamentarnych i wybory, powtarzane w krótkich odstępach czasu,
stanowią pewne gwarancje w tym względzie.

Z drugiej strony demokracja wymagać musi, aby czynności i osoba posła
były otoczone jak największą wolnością i powagą. Stąd wypływa nietykliwość
poselska i umożliwienie posłowi ekonomicznej niezależności przez płacenie mu
dyet poselskich.

Streszczając się, powiedzieć możemy, że parlamenty nowoczesne stały się
dla zorganizowanej klasy robotniczej polem walki tak samo ważnej, jak walka
polityczna, zawodowa lub kulturalna. Klasa robotnicza pozbyła się złudzenia, ja-
koby parlament był jedyną drogą, mogącą z góry zaprowadzić ustrój socyali-
styczny, ale daleką jest od zapoznawania tego, jak potężnym środkiem walki jest
zdobycie trybuny parlamentarnej. To też wszędzie dąży klasa robotnicza do ró-
wnego i powszechnego prawa głosowania do ciał prawodawczych.

W Europie znajdujemy się jeszcze do dziś dnia w obrębie tej walki.



Z za okien czyjaś twarz ku mnie spogląda
twarz biała... ciemna... dziwnie wynędzniała...
w oczach jej płomień namiętności pała...
łachman jej postać skrywa... Czegoś żąda...
oczyma ku mnie z za okien spogląda,
usta jej szepcą prośbę czy gróźb słowa...
„czego odemnie chcesz?“ „Czego chcesz?“

[Chleba...“
„Masz chleb i odejdz... odejdz już...“ „Nie
[trzeba?...“

Twarz patrzy na mnie z za okna surowa,
cicha, męczeńska, współmarząca głowa,

oczy głębokie, uczuciem płonące
i bruzd na twarzy wyrzniętych tysiące
przez nędzę, pracę, przez głód i przez wzgardę...
Taka młodzięcza twarz i takie twarde,
zacięte piętno na niej ból znaczące...
„Czego chcesz? Życia mego, czy pieniędzy?...“
Pobladała więcej natchiona twarz Nędzy,
przez oczy przebiegł promyczek szyderstwa:
„Przyszłam do ciebie, by żądać braterstwa“.

Haes.



STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

BEZNADZIEJNE ŻYCIE.

BEZNADZIEJNE ŻYCIE.

Cały oddział kobiecy otoczyli kozacy. Oni również wkroczyli na podwórze, zajęli korytarze. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że jesteśmy zdradzone, że za chwilę wkroczą do naszych cel i rozpoczną się rewizya.

— Co robić?...

Ogarnął nas taki lęk i przerażenie, że nawet jedna drugiej nie śmiała postawić tego prostego pytania. I po co, zresztą? Wszak nie można było wątpić, że znajdujemy wszystko... a później...

I na myśl tego, co może nastąpić, wzdrygają się nasze dusze.

— Zabijają — to nic... Powieszają — i to nie straszne... ale przedtem jeszcze... kozacy. I sturamienny lęk chwyta naszą myśl w żelazne kleszcze strasznych przypuszczeń i przeżywać każde mękę oczekiwanych zniewag.

Nie pamiętam już której z nas wpadła do głowy szalona myśl, abyśmy się wszystkie prędko rozebrały i pokładły do łóżek. Myśl ta wydała nam się niemal wybawieniem. Przecież według regulaminu więziennego dawno już powinniśmy spać!...

Naiwnie, nie rozumując, poddałyśmy się tej myśli i szybko ściągawszy z siebie ubranie, pochowały pod kołdry.

Leżałyśmy tak długą chwilę, nadśłuchując... Mimo gwaru żołdactwa, słyszałam bicie własnego serca, tak się ono tłukło.

Wreszcie ktoś cicho, szeptem zapytał:

— A gdzie bomba?...

W popłochu zapomniwałyśmy o niej.

Od kilku dni, przechowując ją u siebie, dla niezwrócenia uwagi, trzymałyśmy ją zawsze w szufladce stolika, owiniętą w olbrzymi kłęb włóczki. Dziś jednak, w oczekiwaniu chwili, która miała być dla nas wybawieniem, trzeba ją było mieć w pogotowiu, zdolną do czynu. Odwinawszy z włóczki, położyłyśmy do łóżka Kory. Tej biednej, chorej Kory, którą trawiła beznadziejność choroby piersiowej i oczekującego ją sądu wojennego, a co zatem idzie — stryczka... Śmierć z dwu stron wyciągała do niej swoje zimne, kościste dłonie. — — —

Pytanie o bombie powtórzył jeszcze ktoś i na to odpowiedział mu cichy szept Kory:

— U mnie... w łóżku...

— Ależ to niemożliwe! — zaczęłam mówić w obawie o Korę, która nawet siły dosyć nie miała, aby bombę dobrze przy sobie podczas rewizji ukryć, ale zgrzyt otwieranych drzwi przerwał moje słowa.

Do celi wkroczył oficer kozacki, żołdactwo i żandarmi.

Oficer krzyknął do nas groźnie:

— Milczeć! Nie ruszać się z miejsc, nie rozmawiać!...

Przy łóżku każdej z nas postawił żołdaka z bronią i dodał zwierzęco:

— Na zabawę będzie czas później... przy rewizji... a teraz, jeśli która drgnie choćby — strzelać, jak do psa!...

I wyszedł wraz z resztą żołdactwa.

Starałam się zapanować nad sobą, ale nie mogłam. Całe ciało moje ogarnęło jakieś nerwowe drżenie. Wysiłkiem woli chciałam zdusić ogarniający mnie lęk, ale nerwy, poszarpane przez długie miesiące podziemnej pracy rewolucyjnej, a obecnie doprowadzone do ostatecznych granic rozstroju kilkudniowem, naprężonem oczekiwaniem ucieczki, rozpręły się zupełnie.

Poczęłam febrycznie szczekać zębami...

Żołdak, stojący koło mojego łóżka, popatrzył się na mnie, bagnetem odchylił ścisną kureczowo na piersiach kołdrę i z brutalną bezmyślnością zimnym ostrzem stali począł dotykać odsłoniętych piersi.

Czułam, jak ostrze wpija się w moje ciało, a płomień wstydu oblewa twarz. Próbowalam zerwać się... krzyknąć... ale woła moja umarła, a ciało leżało sparaliżowane lęku strasznego widmem. I żołdak bezkarnie mógł lizać obmierzłem spojrzeniem pierś moją nagą, mógł ostrzem bagnetu wpijać się w ciało.

— Nu, panienka! tobie zimno? — pytał z całą okrutnością nieokiełznanego zwierzęcia i dodał z błyskiem w oczach:

— Poczekaj... po rewizyi, to już ja ciebie rozgrzeję!... Aż piszczeć będziesz, tak ci będzie ze mną ciepło...

Jak dobijane pałkami zwierzę, szarpnęłam się ostatnim odruchem woli i śliski bagnet żołdaka zagłębił się na chwilę w moje ciało.

Żołdak cofnął bagnet.

— Nu, głupia! — rzekł. I otarł spokojnie skrwawione ostrze rękawem.

Po ciele mojem spływały zwolna gorące, purpurowe krople krwi.

Nie miałam jednak czasu myśleć, ani bólu nawet nie czułam, bo oto ciszę w tej chwili rozdarł krzyk szalony, krzyk bólu niezmiernego i męki. A krzykowi wtórował śmiech żołdactwa... śmiech zwierząt... śmiech szakali...

W celi sąsiedniej robiono rewizyę. Słychać było głos oficera, jak wołał zgniewany:

— Rozebrać ją! prędzej! No... koszulę!...

I znowu ten sam krzyk. — — — A później głuche uderzenia pięści żołdackich i przekleństwa dzikie. A jeszcze później jęki i bezsilny, bolesny płacz...

— Do ciemnej celi ją wziąć... na tydzień!... Tak... nagą!...

Klucz zgrzytnął w drzwiach naszej celi.

— Wstawać!

Któraś z nas odważyła się na uwagę, że jesteśmy rozebrane. Oficer uśmiechnął się dwuznacznie, z zadowoleniem.

— To i lepiej! Mniej roboty... nie trzeba się rozbierać.

Dał znak żołdakom. Wymierzili oni lufy karabinów w nasze głowy i rozległ się trzask zwodzonych kurków.

— Ręce do góry!

Żołdacy ślizgali się bezwstydnie spojrzeniami po naszych falujących łonach, otaczali wzrokiem nogi, biodra... I pod biczem tych spojrzeń dusz zgłodniałych zbrodni, stałyśmy bezsilne i znękane.

Już miano przystąpić do rewizyi, gdy oficer zauważył, że Kora nie wstała.

— A ty, czego leżysz! — zawołał z dziką wściekłością i rzucił się ku niej z podniesioną pięścią.

— To chora — starał go się uspokoić naczelnik więzienia.

— Chora? Nu, ona u mnie zaraz wyzdrowieje! Wstawaj! ty... —

I rzucił słowo... jedno podłe słowo, co jak policzek smaga, jak ogień pali, a lipkie jest, jak błoto uliczne.

Kora błada, chwielejąc się, wstała powoli. Zdawało się, że wszystka krew zbiegła z jej twarzy, że to nie człowiek, ale kościotrup się posuwa. Podeszła blisko — — blisko — — i plunęła mu w oczy.

— Podły! — szepnęła z wysiłkiem.

Chciała podnieść dłoń, chciała mu może wymierzyć policzek, ale w tej chwili grad kolb karabinów żołdackich uderzył w jej ciało, zwałił z nóg i głuchym łoskotem odbijał się bez liku, bez upamiętania. Była to orgia zwierząt rozjuszonych, krwi żądnych.

Rzuciłyśmy się ku niej, na nic nie pomne, by bronić, ratować... Ale dłonie nasze skrzepowano, ale ciała opłoty żelazne ramiona żołdaków.

W naszych oczach wleczono ją po celi za włosy, zdarto z niej koszulę, deptano obcasami, pastwiono się nad jej białem, delikatnem ciałem. Bezwładną, przerzucano kopnięciami nóg z jednego w drugi kąt celi, a gdy z ust jej buchnęła krew, usta zatkano. — — —

— — — Ciało Kory w mękach sztywniało powoli...

— — — — —

Przy rewizyi znaleziono w łóżku Kory schowaną w sienniku bombę. Nie pytano się nawet, do kogo należy. Spisano protokół i kazano nam podpisać, że Korę złapano za rękę, gdy chciała bombę rzucić w oficera.

Odmówiliśmy.

Kazano nam się ustawić w rząd, poździerano z nas bieliznę.

Wywołano jakiegoś żołdaka i jedną z nas, stojącą jako pierwsza w szeregu.

— Podpisz! — i oficer podsunął jej pióro.

Stała bezradna, ale nie podpisywała...

Trwało to chwilę tylko może, ale ta chwila wydała nam się tak długą, tak strasznie długą...

Oficer skinął na żołdaka:

— Bierz ją sobie!

...Podpisała. I myśmy wszystkie podpisały — już bez oporu, bez zgrozy objęć żołdackich.

Ogniem hańby, ogniem wspomnień palone, burzyliśmy się przeciwko sobie, przeciwko naszym duszom skarłałym, że zniosły to wszystko. I wstyd nam było, wstyd, który się w myśli rumienić każe.

Wreszcie w zdeptanych duszach powstała myśl buntu, myśl szalonego protestu-śmierci.

Protestem, buntem — miała być dobrowolna męka głodu...

I oto poczęły się wlec leniwie chwila za chwilą, jedna od drugiej dłuższa i posępniejsza.

Leżałyśmy bez ruchu, bez myśli i tak przepędzałyśmy godziny... dni... tygodnie może... — nie wiem, nie wiem... A kiedy ból skręcał wnętrzności, szarpał je wściekle i jęk tłumiony z piersi wydobywał — to jęk to był bezdźwięczny. Nic... — nic nie wyrażał. Tylko gdzieś w duszy, tylko gdzieś w myśli powstawała utęskniona nadzieja śmierci, taka nam bliska i taka droga.

Kiedy byłyśmy już bez sił i pamięci, konające, wprowadzono znów do naszej celi żołdaków i znów uległyśmy. — — —

— — — — —

Nad Korą odbył się sąd.

Sądzono właściwie jej trupa... Aby nie wydawać ciała rodzinie, aby nie było oględzin lekarskich, osądzono martwą, na martwej wyrok wykonano i zakopano na śmietniku w podwórzu więziennem.

Siedzimy teraz boleśnie pogrążone w sobie i jedna drugiej w oczy spojrzeć nie śmie... Ściany celi, zbryzgane niezmytą jeszcze krwią Kory, dławią nam piersi, odbierają wszelką nadzieję i chęć do walki.

Kamienne, zimne ściany! — — —

Beznadziejny smutek i beznadziejna rozpacz — oto jedyni przyjaciele naszych dusz umęczonych.

=====



FRANCISZEK KUPKA.

KAPITALIZM RZĄDZI ŚWIATEM.

Gdzież, Warszawo milcząca,
Twoje wczorajsze słońca?
Twe sezono-zimowe Oriony?...
Tak przejasno świeciły,
Tak widne od nich były
Twe przegędźbne, przegłośnie salony —

Czyżby ich blask zjawiony
Był złudny, pożyczony,
I noc tylko ich zjaśnień przyczyna?
A, skoro świt wybrzasnął,
Ich blask skradziony zgasnął,
Jak gwiazd lica, gdy świtać poczyna? —

Gdzież, Warszawo milcząca,
Twoje dawne dzwonniki,
Twoje bardy, gędźbiarze, Or-Oty?
Owa rzesza, grająca
Na różne harmoniki
Rozpyłone po murach tęsknoty — —

Czyżby w swej pierśnej lutni
Jeden ton znali, smutni,
Przeubogi, cmentarny śpiew trznadli?
A przy orkiestrze całej
Twej mocy zmartwychwstałej
W zamilk trwożny, jako w sen, zapa-
dli? —

Chyba, że dwie Was było
Nie jednej krwi,
A o jednym skrwawionem Imieniu,
Jednej się samo mocą żyło,
Życie się życiem przebawiło,
I dzień zastał ją, jako po balu, w uspie-
niu —

Warszawa śpi...
Pogasły nocne jej słońca,
Pomilkła gędźba gędząca,
Dreszczem jeno wstrząsa ją świt zimny...
A Ty, Warszawo-Ulico, wstająca
W świtania krwi,
Nowe zapalaszy słońca
I nowe rodzisz hymny!...

DR. RYSZARD KUNICKI.

SŁÓW KILKA O OCHRONIE PRACY.

Hasło: ustawodawstwo ochronne dla robotników, oddawna zostało wysunięte na czoło żądań klasy pracującej przez zorganizowany proletaryat. Od chwili zaprowadzenia równego prawa wyborczego do parlamentu wszystkie niemal inne stronnictwa przejęły też to hasło. Zrozumiały, że inaczej nie potrafią ostać się na widowni politycznej.

Dwa czynniki, wytwarzające bogaństwo: martwy kapitał i żywa — ożywcza praca, doznawały dotąd nierównej opieki ze strony państwa i prawa. Sędzia, policyant, żandarm, wojsko, wychowawca dzisiejszy, ksiądz i t. d., słowem — miecz i kropidło, „sprawiedliwość“ i „nauka“ służą dziś przeważnie martwemu kapitałowi, krzywdząc niejednokrotnie dotkliwie robotnika, przedstawiciela siły wytwórczej.

Ze wzrostem świadomości klasowej ludu pracującego praca zdobywa w społeczeństwie coraz więcej poszanowania i znaczenia. Wyrazem tego jest skierowanie uwagi sfer rządzących w stronę zapomnianego do niedawna proletaryusza-pracownika. Niezadługo np. rząd przedłoży parlamentowi projekt ustawy zabezpieczenia chorych, inwalidów i starców. Dalej, pod naciskiem przedstawicieli klasy pracującej, soc.-dem. posłów, przy ministerium handlu utworzono nową sekcję socjalno-polityczną. Ta właśnie sekcja specjalnie ma zajmować się badaniem i poprawia-

niem warunków pracy w rozmaitych gałęziach przemysłu. Jej zadaniem między innymi będzie ustawowe usunięcie lub złagodzenie przyczyn całego szeregu chorób zawodowych. Np., jest rzeczą dowiedzioną przez naukę, iż biały fosfor, używany do wyrobu zwykłych zapalek, działa na robotników silnie trująco. Sprowadza on próchnienie kości, połączone z niewymownymi bólami i dożgonnem kalectwem. Albo, wiadomem jest, iż we wszystkich gałęziach przemysłu, gdzie się używa ołowiu (malarze, drukarze, blacharze i t. d.) szerzy się t. zw. przewłoczne zatrucie ołowiowe, prowadzące do zupełnego wyniszczenia organizmu. Otóż zadaniem sekcji nowoutworzonej będzie ustawodawczo przeprowadzić zakaz używania jednych przetworów w przemyśle, ograniczenie używania innych, tak, by klasa pracująca coraz mniej ulegała cierpieniom. Pod naciskiem świadomego proletariatu i jego posłów soc.-demokratycznych już zaczyna rząd mówić o rozszerzeniu inspektoratów przemysłowych, wspomina o powoływaniu robotników, jako znawców do komisji fabrycznych i t. d. i t. d. Słowem, w kierunku ochrony pracującego robotnika dużo się już uzyskało, a przy dalszej niezmordowanej pracy uzyska się więcej... W tym kierunku dzielnym pomocnikiem w pracy będzie zawsze organizacja zawodowa, o której rozszerzanie i wzmacnianie musi starać się każdy uświadomiony robotnik...

Z całego szeregu innych bolączek, które w wysokim stopniu dokuczają i krzywdzą ludność pracującą, chcę wspomnieć jeszcze słów kilka o dzisiejszej ustawie sanitarnej.

Choroby zakaźne wskutek przemęczenia, złego odżywiania się i nieodpowiednich mieszkań szerzą się najbardziej wśród klasy robotniczej i rolniczej. Ustawa dzisiejsza zmierza do ograniczenia, zogniskowania każdego wypadku choroby zakaźnej, stara się o to, aby zaraza nie rozszerzała się. W tym celu żąda ustawodawstwo oddzielenia chorego od zdrowych albo przez oddanie chorego do szpitala, albo też przez odosobnienie wszystkich mieszkańców domu, gdzie panuje zaraza, od reszty mieszkańców. Oczywiście, tak pierwszy, jakoteż drugi środek pociąga za sobą albo koszt szpitalnego leczenia, albo też utratę zarobku wszystkich odosobnionych, którym nie wolno oddalać się ani na zarobek, ani po zakupy i t. d. i t. d. Lecz ta sama ustawa, która te ciężary nakłada dla ogólnego dobra, zmusza jednostkę do ponoszenia wszystkich tych strat i kosztów. O ile dla bogatego człowieka nie stanowi to wielkiego ciężaru, o tyle dla ubogiego robotnika lub rolnika — jest to zupełną ruiną. Nie dziwię się przeto, że ludność pokrzywdzona traci zaufanie do skądinąd pożytecznych zarządzeń władzy sanitarnej i wrogo odnosi się do krzywdzącej ustawy. Ramy tego artykułiku nie pozwalają mi dłużej rozwodzić się nad poruszonymi sprawami. Zapytacie mię, być może, czy dzisiejszy parlament potrafi dalej oddziaływać na ustawodawstwo w duchu, korzystnym dla proletariatu, czy potrafi z ustaw uczynić troskliwszą nieco opiekunkę biednej pracującej ludności? Wszak tam, w Izbie posłów, jest tylko 88 soc. demokratów, a 429 innych, często wprost wrogich dla ludu posłów... Na to odpowiem Wam słowami posła tow. Moraczewskiego: „...czysto zewnętrzne obserwowanie Izby posłów mogłoby wywołać wrażenie, jakoby parlament nasz po Dumie rosyjskiej był najreakcyjniejszym. W rzeczywistości jednakże Izba wybrana została na zdrowej podstawie powszechnego, równego prawa głosowania, a obawa przed wyborcami, przed zorganizowanymi robotnikami, przed czynnością uświadamiającą socjalno-demokratycznych posłów odbierają wszystkim ustawom reakcyjne ostrze“...

O-SICI.

O-Sici miała lat szesnaście. A więc wedle zwyczaju stara babcia, O-Nami-san, ofiarowała jej wśród noworocznych podarunków w ślicznym pudełku z lalkami obrazki, pouczające ją, że jest kobietą i co ją wskutek tego czeka.

Z ciekawością i niezmiernem zdumieniem obejrzała młoda dziewczyna te obrazki, lecz przy spotkaniu z babcią obłok leciuchnego rumieńca zabarwił nie jej białą jak krem migdałowy twarzyczkę ale oblicze staruszki, pomarszczone niby zwiędły liść kirynu. Oparła wyschlą, zgrzybiałą dłoń na atlasowym karku dziewczęcia, pochylonym w powitalnym ukłonie i z cicha westchnęła.

— Cóż, twoje kwiaty, O-Sici?!

Dziewczyna podniosła główkę, cieniuchne jakby tuszem malowane brewki zadrgały jej figlarnie nad wesołymi oczyma.

— Wszystkie, babusiu, ładnie kwitną...

— Bo o wszystkie jednakowo się troszczysz!... — odrzekła z wyrzutem staruszka.

— Jednakowo są piękne, babusiu!... Tak mi żal, aby zwiędł który... Tak chciwie piją wodę ich płatki i listki... Tak wychylają główki i wyciągają gałązki z cienia do słońca... Nie mam serca ominąć z rana którykolwiek konewką lub zostawić samotnie pod murem... Będzie mu tęskno i nudno...

— A jednak musisz wybrać!

— Wybiorę, babusiu ale... jeszcze trochę... troszeczkę... Dlaczegoż tak zaraz, poco pośpiech?... Chyba, że bardzo zła już jestem...

Babka zdjęła rękę z jej karku; teraz dziewczyna z kolei westchnęła cichutko i cofnęła się na klęczkach ku drzwiom.

Postanowiła wybrać; rozumiała, że to musi uczynić i poszła raz jeszcze popieścić się z ulubieńcami.

Było ich trzy w trzech ozdobnych doniczkach. Pojawiły się niedawno w krótkich czasu odstępach u progu jej mieszkania. Domyślała się, od kogo pochodzą: kosztowną azalię wczesną, nie kryjąc się zbyt, postawił syn bankiera, łobuz i birbant, Kizuki; delikatną, niepokalaną białością piwonie — gruby, poważny Takura, wreszcie śliczną, karłowatą wiśnię — ubogi poeta Kane-Udzi...

Ukryta za nieomkniętą „szodzi“ codzien śledziła, jak przechodząc ulicą o różnej porze, strzygli nieznacznie oczami na doniczki kwiatów, jednako zroszonych i obmytych, jednakowo podwiązanych, jednakowo pieczołowicie ukrytych przed wiatrem...

Śmiała się wesoło, widząc jak czerwieniał dziobaty Kizuki, jak wstrzymieźliwie wciągał powietrze Takura, jak chwytął się melancholijnie za ładny podbródek Kane-Udzi...

Dziś znowu, przed chwilą widziała wszystkich, lecz ich postaci przeniesione na obrazki babuni, wydały się jej tak śmiesznymi, że z trudnością stłumiła końcem długiego rękawa gwałtowny do nieprzyzwoitości śmiech.

A przecie musiały wybrać!...

Nie mogła zostać wiecznie w domu, narażając na smutek ojca, matkę i wszystkich... Musiał dopełnić się nad nią los kobiety, której nie wolno wracać samotnie w dziedzinę wiecznego spokoju, w krainę Mejdō... bez płaczu dzieci!

Schyliła się nad kwiatami, które z błękitnego zacienia ściany wyciągały dumne swe zielone listeczki oraz małe pełne rosy kielichy...

Dwa z nich miała więc zginać!

Ukłękała, śledząc z czułością jak drżą w powiewach zalatującej tu wichury wiśniowe płateczki, przejrzyste, różowe, jak rozbrzask pogodnego ranka... Piwonia otwierała szeroko swą nieporównaną czarę, ssąc rozsiane w powietrzu złoto zabójczego a tak umiłowanego przezeń słońca... Pyszna azalia wywijiała wzgardliwie i zarazem urocz koralowe wargi, niby rozpieszczone dziecko...

— Którego z was osądzić?! Kto ma umrzeć? Uśnąć niepodlewany? Zwiędnąć w spiekocie słonecznej?... Ach, nie!... Ona nie zabije!... Niech los decyduje!... Niech giną śmiercią naturalną!...

Rozumiała wszakże, iż przetrzyma inne pyszny kwiat krzykacza Kizuki, że zginie najwcześniej cudna wiśnia, obraz cichej, wiernej miłości...

Było jej żal. Pochyliła się i przytuliła wonne liście do wilgotnych ust...

Od morza wiał suchy i burzliwy wiatr. Z wzniesienia, na którym stał ich dom, z górnego jego balkonu widać było wzdymające się w zatoce granatowe góry bałwanów, lśniących w słońcu niby skręty smocze... Pounosiły się co raz wyżej, narastały im białe grzywy, łączyły się w jeden wirujący wał i ciskały się, szalejąc, na skały nadbrzeżne. Ich ryk — smętny, straszny, niemilkący — wypełniał podniebie... Ich bicie — uparte, ciężkie i głuche — wstrząsało głęboko skalistą ziemią...

Lecz O-Sici przyzwyczaiła się do głosów tego żywiołu i uderzył ją w burzliwej pieśni dźwięk o wiele cichszy, ale nieznany...

Podniosła głowę i spostrzegła nieopodal gęsty, płowy dym, miotający się nisko u ziemi jak targany tajfunem las bambusowy... Stamtąd biegł wielogłowy krzyk, podobny do jęku...

Na ulicy zawrzał wkrótce potok uciekających w popłochu ludzi... Ścigał go, kłębiąc się nisko po ziemi, wielogłowy potwór ognia... Błyskał krwawymi ślepiami, płomienne żądła wysuwał daleko z burego cielska dymów... Jego powódź, bijąca iskrami w niebiosa, rychło zalała pół miasta... W gryzących obłokach pary i sadzy znikły bez śladu domy, świątynie, ogrody... Trzask wałących się budowli, pękanie bali i desek, wybuchy gorejącego paliwa, strzały prochowe, syk ognistych jęzorów pokryły i wrzawę ludzi i ryk morza...

Wszystko utonęło w gryzącym, okropnym dymie, który wzdymał się, pęczniał i sięgnął już chmur i zniknęły inne żywioły: woda, ziemia, powietrze — został tyłko ogień.

Mieszkańcy w obłąkaniu wypadali na ulice i miotali się między potokami pożogi, jak salamandry. Duszące jej skręty odpychały ich wszelako coraz dalej i dalej, stłaczając w czarne, zwarte mrowisko waryatów... Płacz, kłątwy, śmiech, nawoływania, ciosy razów, klekot sandałów leciały za uciekającymi, jak poszum skrzydeł śmierci...

O-Sici ledwie zdążyła wyprowadzić babkę. Odwróciła oczy, szukając matki i reszty rodzeństwa, gdy płomienie już uderzyły w ich śliczny domek rzeźbiony i zlizywały go w mgnieniu oka jak głodna paszczyka lwa zlizuje drobne ptaszkę... Uciekali trzymając się za ręce, targani przez wyprzedzający ich tłum, popędzani przez gorące potoki smolnego powietrza...

Widzieli jak po bokach potworne, syczące czeluści pożogi chłoneły budowle, drzewa i parkany...

Już wyprzedziły ich.

O-Nami-san ledwie dyszała.

— Porzućcie mnie!... Puść mnie, O-Sici... Uciekajcie sami!... prosiła wnuczkę, która ciągnęła ją za jej starczy „obi“.

— Uchodź, mamusiu z dziećmi!... Ja zostanę z babką!... — błagała dziewczyna.



FRANCISZEK KUPKA.

W JARZMIE KAPITAŁU.

Coraz mniej było wokoło nich ludzi, coraz więcej dymu i ognia.

— Zginiemy ale zginiemy razem albo razem wyratujemy się!... — postanowiła mężnie matka.

— Byłe dopaść do murów świątyni Atagina!...

Dzieci płakały, kobiety niosły je, słaniając się na nogach...

Wreszcie w gęstym, śmierdzącym zmroku odgadły mur po wielkich, chropawych jego głazach i po wiejącym odeń chłodzie... Setki ludzi darło się na szczyt ściany, walcząc o miejsce.

Rodzina O-Kade-si przytuliła się u podnóżka budowli, chowając w wilgotne jej szpary zgryzione dymem oczy i charczące od kaszlu usta...

— O-Kade-si!... Gdzież jesteś?!... — wołała na męża nawpół obłąkana Onoja...

Już nie mieli więcej siły, już gromadka ich ucichła bez ruchu, choć krzyk grozy lecący z góry, potężniał, choć wzmagał się znój oraz łoskot pożogi...

Zapaliły się ciasne uliczki, przylegających do świątyni herbaciarni i ubogich kramów...

Wtem na murach ukazały się wygolone głowy mnichów i sploty sznurów spadły ku wyciągniętym dłoniom...

O Okadach zapomniano; milczeli zwinieci bez ruchu w dole jak węzły porzuconych łachmanów. Dym powlekał ich coraz grubsza warstwa. Ledwie migały po przezeń barwne sukienki dzieci i wiśniowy pas jedwabny O-Sici...

— Tam jeszcze jest ktoś, ojcie!... Widzę wyraźnie — wołał nad nimi młody głos.

— Ależ nie, to porzucone rzeczy!...

— Jęczą...

— Nie sposób synu... Już płomień zwija się nad nimi... Przepali sznury... Sam zginesz...

— Trzymaj, trzymaj, ojcie!... Idę...

Jak przez sen słyszała O-Sici szelest ślizgającego się wzdłuż muru ciała, słyszała jak unoszono z ziemi jej matkę, babkę, rodzeństwo... Wreszcie ją samą porwała w pasie ciepła obręcz ramion i uniosła jak ptaka ku górze... Błoga cisza zalała jej serce zamierające... Piersi jakby spętane tysiącem powrozów zaczęły wolniej oddychać... Otworła mdlejące oczy i ujrzała nad głową czarną sieć konarów znanych jej drzew kamforowych a wyżej cudny błękit... Zrozumiała, iż jest już w ogrodach świątyni. Silne ręce podtrzymywały wciąż jej ciało i niosły coraz wyżej w chłodne i wonne powietrze... Mimowoli skierowała swe żrenice ku pochylonej nad jej piersią twarzy. Twarz była obca, ale młoda i piękna. Czarne podługne oczy patrzyły w jej lica ciekawie i chciwie... Odwróciła więc wzrok swój natychmiast, lecz przelotnie spojrzenia ich skrzyżowały się i utonęły w sobie głęboko... Kroki niosącego jakgdyby zwolniały, objęcia jego drgnęły i mocniej przytuliły ją do siebie...

— Puść mię, szlachetny panie!... — wykrztusiła cicho dziewczyna.

Nie odrzekł, jeno kroku cokolwiek przyśpieszył...

Wkrótce O-Sici znalazła się koło babki, matki i reszty rodzeństwa, tworzących jedną z wielu gromadek, rozspanych na murawie ogrodu Atagina.

W dole, tam gdzie niedawno wrzało życiem miasto, gdzie piętrzyło się tysiące ślicznych, rzeźbionych, jak misterne szkatułki domków, gdzie falowały w wietrze niezliczone barwne chorągwie, gdzie wiły się kwiaty i kwitły ogrody, gdzie bawiły się dzieci i latały motyle; gdzie rozkosz i cierpienie, miłość i nienawiść, dobroć i złość, wzniosłość i nikczemność rodziły się i walczyły ze sobą — obecnie kłębił się ocean czarnego dymu, błyskając ukrytem zarzewiem...

Patrzac nań, płakał tłum nędzarzy.

Wśród płaczących uwijali się kapłani, rozdając garście gotowanego ryżu...

Wkrótce szlachetny Okado-si odszukał swą rodzinę, pocieszył ją i urządził pod wielkim portykiem świątyni, opartym na osmdziesięciu potężnych cedrowych kolumnach. Pstry tłum kobiet, dzieci i starców rozłożył się tam pokotem. Mężczyźni młodszy i zdrowsi szukali sobie przytulku na dworze w zaroślach parku.

Rozpacz nie nakarmi głodnego i nie nakryje dachem zwątląłego ciała.

Jeszcze dymy snuły się po czarnych zgłiszczach i krwawe oczy zarzewia gorzały pod popiołami, a już mnóstwo pogorzalców kręciło się wśród rumowisk, wyciągając osmalone deski, opalone belki, głazy i cegły, szukając w popieliskach metalowych przedmiotów, stopionych zwykle na żużel, na bryłę... Wielu rychło wywędrowało z ogrodów świątyni i zamieszkało w skleconych naprędce szałasach, na miejscach dawnych sadyb.

Zabielały niezliczone żagle na błękitnej zatoce, wioząc budulec, żywność, nowe narzędzia, naczynia i sprzęty.

O-kado-si nie zaniedbał zakrzatnąć się koło budowy nowego domu, lecz wątpliwość zdrowia zgrzybiałej O-Nami-san oraz wzgląd na dostojność rodziny kazały mu dłużej od innych pozostać w świątyni.

Niezmiernie cicho i monotonna upływał czas mieszkańcom portyku Atagina. Serca i myśli ich były na zewnątrz, gdzie od świtu do nocy stukały niezliczone siekiery cieśli...

Procesje nabożnych, świąteczne jarmarki, wykrzykiwania wróżbitów, uderzania w dzwony i gongi — nauki i nabożeństwa kapłanów — całe zwykłe życie, stałych mieszkańców i gości świątyni — zajmowały ich obecnie nie więcej niż szum rodzinnego morza.

Jedynie O-Sici śledziła pilnie za tajemniczymi misteryami białe odzianych kapłanów, których długi szereg, niosąc owoce, kwiaty i ryby, codzień niknął za zieloną zasłoną korytarza, wiodącego na „drogę bogów“...

Szukała wśród nich swego zbawcy. Wiedziała, że zwie się Kę-dziro, że jest sierotą, wychowancem jednego z duchownych, i że był przeznaczony na sługę straszego, zwodniczego Innari Kicune, któremu ślubują bezżeństwo. Dostrzegła również, że choć młodzieniec nie narzuca się im, a nawet unika ich, czy jego często śledzą ją z oddala... Słodki, nieznanый ból przeniknął ją po raz pierwszy nawskróś...

Leniwo płynęły dni beczynne, zato chyżo uciekały miesiące.

Ciemny, kręty, potężny las pni splecionych wysoko pod niebem w gęstwinę, wznosi się, z góry Atagina, wznosi się jak dym ziemi, gaj drzew kamforowych...

Ciepły, wilgotny, morski wiatr wiosenny już obudził drzemiące pączki ich drobnych listków... Już z potwornych obarów sączyć się poczęła przejrzysta kamfora, napelniając wonią pieszczotliwie wiosenne powietrze...

Już w dole, gdzie spojrzeć, zajaśniał różowy rozbrask kwitnących wisien, mieszając swe barwy i aromaty z zorzami pogodnych dni...

Już młode gaje bambusowe zaszeleściły smukłymi pręciami, chyląc się w podmuchach wiatru, pędzącego małe chmurki płowe i ciepłe... Zaskrzyły się w słońcu krótkie tęczowe ulewy, przysłaniające okolice strugami brylantów...

Turkusy nieba i morza ściemniały na szmaragd...

W dnie świąteczne tłumy spacerujących wypełniały gaje Ataginy, ale w powszednie dnie było tam cicho i pusto i jedynie krzyki bawiącej się dziatwy na-

ruszały łagodne gruchanie świętych gołębi oraz monotony modlitewny śpiew kapłanów...

Codzienną O-Sici odprowadzała braciszka i siostrę na wielki plac, przeznaczony dla zabaw dziecinnych na najniższym tarasie ogrodu.

Dziewczynki w jaskrawych kimono, chłopcy w ciemnych szatach, często półgoli, a wszyscy bosi, klekając małymi sandałami „goto“ gonili się po łące, zbierali w wianki lub rozpryskiwali na drobne kropelki, jak przesypywane z kraju w kraj paciorki... Na ustroniu grono starszych chłopców, zatknawszy długie poły za pasy i ściągnawszy sznurkami długie rękawy na plecach, ćwiczyło się w strzelaniu z łuku. Stary samuraj z siwą brodą, kładł z niezmierną powagą upierzoną strzałę na cięciwę starożytnego łuku i nie opuszczając najdrobniejszego ze świętych prawideł, nagłym ruchem odrzucał w tył piersi a prawą nogę wystawiał krok naprzód... Jednocześnie chybki pocisk wypadał jak piorun w słoneczne powietrze... Wolne, świętobliwe były ruchy starego rycerza i celne strzały!

Gorliwie naśladowali go uczniowie, witając wesołymi okrzykami każdy traf udatny...

O-Sici stała w cieniu skały; z góry, pochylone nad urwiskiem, wiśnie sypały na nią śnieg swych bladych płateczków. Wtem, polatując wśród nich, zabujał ponad nią zwitek „tancaku“ i upadł u jej stóp... Ostrożnie zerknęła na taras. Nikogo nie było... Bieląca na słońcu pusta balustrada, usypana białym kwiatopadem. A wyżej ponad nią kołysały się cicho w podmuchach wietrzyka piany — okiści wiśniowcy...

Wtedy upuściła rozpostarty znienacka wachlarz i wraz z nim podniosła poemat zerwany zapewne z drzewa powietrznymi prądy... Serce w niej drżało, widziała w tem wróżbę dla siebie...

Zasunawszy się głębiej pod występ głazu, rozwinęła pasek różowej jedwabistej bibułki, na którym pięknymi literami nieznany poeta napisał:

Pochyla się wiśnia nad otchłanią,
Wschodu słońca nęca ją szkarłatny,
Lazurowe fale morza mania,
Wiatrów ciepłych wabią aromaty...
Płyną na dół wiśni tży pachnące,
Chmurą białą płynie w przepaść kwiecie...
Lecz przepaści jej listeczki drżące
Nie zapełnią przenigdy na świecie...

— — — — —

O-Sici przestała dyszeć. Zdawało się jej, że płynie gdzieś z chmurą kwiatów po przestworze... Ocuł ją kamyk skaczący po ścianie urwiska, widocznie strącony przez ukrytego widza. Ruchem bezwiednym zwróciła w tę stronę oczy. Za złomem granitu, oparty skronią o jego grań, stał Kę-dziro i patrzył na nią. Źrenice ich znowu skrzyżowały się z sobą i utonęły w sobie na króciuchną chwilę...

Dziewczyna odwróciła głowę.

Odtąd młodzieniec nieustannie krążył dokoła niej. Wciąż czuła jego cień w pobliżu i oczy jej spotykały wzrok jego cierpiący i pokorny, przeszywający i pieśczośliwy zarazem niepokojący jak blask miesiąca przedzierającego się w noc letnią poprzez kiście wistycy zwieszonych nad wodą...

Aż raz przez sen poczuła go koło siebie w ciemnościach portyku świątyni, pełnego śpiących pokotem pielgrzymów i pogorzalców.

— Słuchaj, przyjdź zaraz do gaju kamforowego, gdyż inaczej pozostanę tu do brzasku dnia, aby ojciec twój ujrzał mię i zabił...

Dziewczyna obudziła się i zadrżała: istotnie klęczał koło jej wezgłowia.

— Odejdź, błagam Cię!... Pozostaw mię memu losowi!...
— Muszę pomówić z tobą!...
— Lękam się!... Możesz ty sam... bóg... Kicune!...
— Nie jestem bogiem Kicune, lecz on to zaiste wzbudził ten szal, który przywiódł mię tutaj!... Chrząst twoich „goto“ na żwirze drózek idzie za mną, jak zimny dreszcz... Błysk szpilek w twych włosach rozświeca ciemności niespanych nocy...

— Uchodź!... Słyszysz: ludzie budzą się!...
— Odejdę, lecz skoro nie przyjdiesz, znów wrócę po chwili...
Szybciej, niż płynie potok wodospadu, płynęły wzruszone myśli dziewczyny. Zwlekając. Ale rychło świt rozednił papierowe ściany portyku, zasunięte dla ochrony przed świeżością nocy. O-Sici szybko narzuciła na siebie kimono i bosa wysunęła się do ciemnego ukrytego przejścia.

Tam schwyły ją natychmiast silne ręce i powlokły za zasłonę wielkiego ołtarza, gdzie w złotym zmroku wznosił się olbrzymi posąg trój-głowej bogini Miłości i Przebaczenia...

Zwolna budowało się miasto. Szeregi czystych domków pokryły zadymione place. Na miejscu czarnych rumowisk zarysowały się białe okna papierowe oraz desenie ślicznie rzeźbionych „szodži“; na krużgankach wśród kwiatów zajaśniały barwniejsze od kwiatów „obi“ kobiece.

A w nocy niby świętojańskie robaczki zabłysły w oknach niezliczone światła i roje kolorowych latarni u wejść domów z numerem i nazwą właściciela.

Zawieszono nareszcie purpurowy znak skończonych robót i nad domem czcigodnego Okado-si. Uradowany gospodarz obdarował wszystkich robotników pięknymi, niebieskimi koszulami z białym herbem Okadów na rękawach i plecach.

Rozdarte serce O-Sici opuszczając świątynię, ukryło się pod żałośnym uśmiechem... I uśmiech ten już nie opuszczał jej twarzyczki bielszej od migdałowego kremu, jej ust pobladłych, jak wyrwana z morza gałązka koralu...

Smutek dziewczyny, jej zamyślenie, jej ruchy powolne rychło zauważyła matka i babka i... Próbowaly ją wybadać, lecz O-Sici milczała, pochyliwszy ku ziemi głowę.

— Nic mi nie jest!... Nie wiem!...

— Żle!... — mruczała O-Nami-san, próbując z lekka dłonią wilgotne od łez końce rękawów wnuczki.

— Czas za mąż!... — postanowił Okado-si, wysłuchawszy utyskiwań żony.

W kilka dni potem zjawił się w ich nowym domu wygolony i po staroświecku uczesany swat.

Ojciec powiedział O-Sici, że w pierwszy szczęśliwy dzień odbędzie się „pokaz“, że ma nadzieję, iż wybrany przezeń oblubieniec — zamożny i powszechnie szanowany Goto-si, spodoba się jej również.

Zropaczona O-Sici odważyła się wysłać potajemnie list do świątyni Atagina.

Kilka dni następnych nie spuszczała oczu z obu końców ulicy, a w nocy nasłuchiwała pilnie, podnosząc co chwila z wezłowią zapłakaną twarz. Prócz ryku morza i brzęku żelaznych pierścieni na koszturach nocnych stróży nie więcej nie rozbrzmiewało w ciemnościach.

W dniu „pokazu“ była tak znękana, że nie przyjrzała się nawet dobrze twarzy narzeczonego. Dostrzegła tylko, że był dość stary i tłusty... Zresztą było jej wszystko jedno, skoro ten, który wypełnił jej serce zapomniał ją i nie przychodził...

Równie obojętnie zachowywała się przy picu wina ryżowego „trzy razy po trzykroć“ z czerwonej czarki weselnej.

Ocuciła ją dopiero noc poślubna.

Drżała z przerażenia i odrazy, wpatrując się w wiszący nad nią mrok obcego domu. Obok chrapał mąż, szeroko otwartyszy bezzębe usta...

...Lepiej śmierć, lepiej śmierć!...

Szukała omackiem małego sztyletu, który wciąż nosiła ukryty we włosach...

— Czyż więc w istocie nie w życiu nie będzie miała nic... swego!...

Czyż nie kochał jej... Był marą obłądnego bóstwa?...

Albo gorzej: był człowiekiem kłamliwym, który ją oszukał!?... Nie kochał jej więc, nie kochał!?... A może nie wie, a może nie wręczono mu listu?!... Więc ona odejdzie za rzekę wiecznego zapomnienia nie zobaczywszy go!... I odejdzie z tą goryczą i potępieniem na ustach, jakie czuje obecnie dla wszystkiego, co było jednak najrozkoszniejszym w jej życiu!... Czyż istnieje sroższa męczarnia, jak nienawidzić to, co się kocha — umrzeć z zagadką w duszy?...

Krew i myśli kłębiły się w niej, jak skręty owego pamiętnego pożaru... Wśród czadu i zmroku terazniejszej żałoby, jak skrawki błękitu w kłębach pożogi przeświecały chwilami — wspomnienia nieskończonego szczęścia...

Ach raz, raz jeszcze spojrzeć w twarz drogą, wyczytać miłość w ukochanych oczach!... Przekonać się, że istotnie t a m t o było krótką ale uroczą rzeczywistością!

Znów pożar, znów ocknienie na rękę Kę-dziro... Cudne miesiące pobytu w świątyni... Szept wonny gałęzi drzew kamforowych... Deszcz kwiatów, spadających z wysokiego urwiska...

Zasypiała w gorączce, w malignie... budziła się bez woli i siły...

I tak było co noc.

Aż razu pewnego młoda kobieta wstała nagle od boku męża, pół-naga owinięta zaledwie czerwonym płaszczem dookoła bioder i błędna ominęła cichutko śpiącą w kuchni służącą, wygrzebała z pod popiołu przygaszonego ogniska węgielek i zawinawszy go w smolne wiórki cedrowe wetknęła pod okap dachu...

Poczem pośpiesznie wróciła i legła niepostrzeżenie na małżeńskie pościeli.

Krwawa łuna rozwieźniła rychło papierowe szyby...

Krzyk nocnych stróży i łoskot ich brząkań rozbudził nareszcie i Goto...

— Wstawaj, wstawaj!... O-Sici... Gore!... — wołał wracając z sieni.

— Hej, trzymaj... łapaj... podpalacz!... — krzyczano tymczasem nazewnątrz.

O-Sici w leciuchnem nocnem kimono wypadła na balkon. W świetle pożaru spostrzegła gromadkę ludzi szarpiących ciemną postać... Poznała twarz, oczy ich spotkały się z sobą...

— Ludzie, puścić!... To ja!... zawołała wyciągając ręce.

Nikt jej nie słuchał. Tłum uprowadził winowajcę na rozkaz jej męża i zniknął w ciemnościach nocy. Goto-si niechciał również jej słuchać, zajęty oglądaniem szkód uczynionych pożarem i obliczaniem strat, strofowaniem stróży i robotników...

— Uspokój się, uspokój!... Nie dziwię się wcale, że umysł twój się mąci... O mało co znów nie powtórzyło się wielkie nieszczęście z przed pół roku...

Muszę iść... do sądu!... Muszę się dowiedzieć, co to wszystko znaczy? za co nienawiedził mnie ten człowiek, którego nie znam?...

— Weź mię z sobą!... — szepnęła rwącym się głosem.

— Owszem. Chcesz — chodź!... Przechadzka i widowisko uspokoi cię!...

W wielkiej szopie starego sądu, siedział sędzia za stołem, mając po obu bokach pisarzy. Cichy tłum po brzegi wypełniał salę. Gdy wprowadzono Kę-dziro, gniewny szmer przeleciał po widzach, jak poszum burzliwy. Sędzia uciszył go ruchem wachlarza i zaczął badanie.

Obwiniony nie odpowiadał na zadawane pytania, nie odpowiadał i nie wy-

rażał skruchy, gdy sędzia wyrzucał mu, iż przez swą zbrodnię mógł znowu unieszczyć tysiące ludzi.

— Dlaczego uczyniłeś to?... Dlaczego?... Wyłómacz powód twego postępowania... Wszak niegdyś ratowałeś pogorzelców z narażeniem własnego życia!?... Wszyscy to pamiętamy...

Kę-dziro milczał i szukał oczami po sali. Sędzia wiódł wzrokiem w ślad za nim.

Wtem wejrzenie oskarżonego spotkało się z wejrzeniem kobiety, siedzącej w pierwszych rzędach...

Kobieta powstała i przecisnąwszy się przez tłum, padła twarzą przed stołem sędziego.

— Jam winna... Podpaliłam dom...

— Ty... ty?... kto jesteś?

— O-Sici, żona Goto-si.

— Nieprawda... Ona obłąkana!... Spała spokojnie koło mnie... Ona obłąkana!... Straciła zmysły w nieszczęściu! Dawno to spostrzegłem!... — wołał krzykliwe Goto-si. Sędzia znów uczynił znak wachlarzem.

— Opowiedz, — O-Sici, jak było!...

O-Sici odjęła od zapłakanych oczu rękawy i zaczęła cichym głosem:

— Zlituj się nademną, o panie! Zaiste nie śmierci się lękam, lecz wstydu... Pozwól mi umrzeć w milczeniu... Wierz mi, że ten człowiek nie więcej winien, niż winien szczyt Fudzi-jamy, że chmury on się czepiają...

— Dlaczego więc milczy?... Jest w tem zagadka... I będzie skazany, jeżeli nie opowiesz wszystkiego szczerze O-Sici!...

— W świątyni, gdzie ukryliśmy się po wielkim pożarze, spotkałam go... — zaszeptala rwącym się głosem po krótkim wahanu. — Wiecie, że uratował mnie... Pokochaliśmy się... Na schadzках tajemnych krwią palców serdecznych spisaliśmy klątwy, że do siebie jedynie należeć będziemy... I ssaliśmy krew na potwierdzenie przysięg... Ale pierwej, niż zdołaliśmy umocować nasze wezgłowa, ojciec wybudował dom i zabrał mnie...

Odtąd nie miałam wieści o Kę-dziro... Myślałam, że mnie zapomniał lub nigdy nie kochał, że słowa jego były pustą i złudną igraszką... Myślałam, że zamaż-pójdzie uciszy ból mego serca... Pisałam wreszcie listy — nie odpowiadał... Podpaliłam więc dom, aby znów znaleźć się w świątyni...

Tłum milczał. Płakał Kę-dziro. Posępnie patrzył na żonę stary Goto-si.

— A ty, młodzieńcze, po co byłeś tej nocy w ogrodzie Goto-si?

— Głosem fletu wabią jelenia na strzał!... Co noc od chwili, gdy uprowadzono ją odemnie, błdziłem dokoła jej domu... Gdy wyszła za mąż błdziłem z rozpaczą dokoła domu jej męża...

Błada twarz O-Sici zajaśniała jak promień wśród chmur. Nieznaczenie wyciągnęła cienki sztylecik i zanurzyła go poniżej gardła, szepcząc:

Lecz przepaści jej listeczki drżące
Nie zapelnia przenigdy na świecie...

Zakopane, 15 sierpnia 1908.

O SOLIDARNOŚCI NARODOWEJ.

Rok, który mija, rok 1908, przyniósł społeczeństwu polskiemu w Galicyi wydarzenie doniosłe, brzemiennie w nieobliczalne następstwa. Przyniósł on dezercję stronnictwa ludowego z opozycyjnego obozu, przejście ludowców ławą do obozu rządzącego.

Wczoraj byli ludowcy czerwonymi radykałami zwołującymi chłopskie szereg „by rosła siła na stańczyków“. Walczyli przeciw szlachetczyźnie hardem słowem, potęgą liczebną, często i groźbą, brutalną jak mowa chłopska. Byli to wymowni adwokaci chłopskiej krzywdy, rewolucyoniści naiwnie a okrutnie wzdychający do wybrukowania dróg, miasto szutru — szlacheckimi czaszkami. A w parę miesięcy... w parę miesięcy stali się sprzymierzeńcami panów, potężną podporą panującego ładu — i — jak powiedział poseł tow. Diamand w parlamencie Stapińskiemu — używają już innego materiału na bruk.

Co spowodowało ową czarnoksiężską zmianę? Czyżby Galicya rajem stała się dla chłopca? Czyżby sejm lwowski był już chłopskim, ludowym sejmem?

Dokonana się na galicyjską modłę czarodziejska przemiana.

Czyżby lasy, wody, pastwiska stały się udziałem ludu? Czyżby obszary dworskie, szarwarki, potworna ordynacya służbowa, krzywdząca nadal ustawa łowiecka i wszystkie szczątki pańszczyzny zostały naraz wielką miotłą wymiecione z kraju, wymiecione przez samych jego dzisiejszych panów? Nie! Jeden tylko z żalów, wymienianych przez ludowców tyle razy, ma stać się bezzasadnym... Ubywa kuleczki świni! A tego chyba za mało, by zwinąć sztandar opozycji i pójść pod pańską komendę.

To też inaczej uzasadniali ludowcy swe wstąpienie do „Koła Polskiego“. Mówili: Czynimy to przez solidarność narodową. Pod Prusakiem chcą naród nasz pozbawić ziemi i mowy. A więc trzeba iść kupą. Pany — chłopcy, chłopcy — pany... Jak u Wyspiańskiego. A całe to gadanie, to znowu, jak w „Weselu“ — „bałamu-cenie się narodowe“ u jednych, a „maska podła“ u drugich.

I cóż to jest ta „solidarność narodowa“, do której odwołali się ludowcy, porzucając stare swe sztandary? Czy ta „solidarność“ może nakazać masom polskiego ludu pracującego iść drogą, wydeptaną przez naszych panów we Wiedniu, czy w Petersburgu, ścieżką wiodącą tylnymi schodami do przedpokojów ministerjalnych, drogą krzyżową upokorzeń, wyrzeczenia, służalstwa?

Czy istnieje solidarność narodowa?

Niewątpliwie. Przyznajemy wraz z głośnym myślicielem niemieckim tow. Karolem Kautsky'm, że choć niema solidarności klas społecznych, to jednak istnieje solidarność ludzi.

O solidarności tej pisał swego czasu w głębokim artykule rewolucyjny „Robotnik“ warszawski. Pójdziemy śladem jego myśli.

Ludzie, do różnych klas należący, mają i wspólne interesy ogólnoludzkie. Weźmy np. taką kłeskę, jak trzęsienie ziemi. Gdy ziemia się rozpada, domy walą się w gruzy, tysiące ludzi giną, wtedy i najbardziej żądny szlacheckich czaszek ludowiec starszej daty uczułby, że istnieje jednak solidarność ogólnoludzka, że wobec takiej kłeski i robotnik i fabrykant, i szlachcic i chłop, są tylko nieszczęśliwymi ludźmi. To samo bywa i ze sprawami narodowymi. Czy kule żołdactwa najezdniczego sypane gradem na wszystkie strony po każdym zamachu w Warszawie, nie trafiały tak samo burżuazji, jak robotnika? Czy socjaliści całego świata nie mówili niedawno na zjeździe międzynarodowym w Sztutgarcie, że każdy z nich jest gotów bronić niepodległości swej ojczyzny przed najazdem wspólnie z całym



FRANCISZEK KUPKA.

DAREMNY TRUD!

narodem? Czy obok chłopu poznańskiego, któremu zabraniają zbudować sobie chałupę, rozpalić ognisko na własnej ziemi, obok robotnika, którego dziecko w pruskiej szkole krwią spływa pod kijem zezwierzęconego szerzyciela niemieczyny, nie staje i obszarnik poznański, zagrożony wyrzuceniem z ziemi, do której niekiedy czuje jeszcze rzetelne przywiązanie? Więc istotnie są cierpienia, całemu narodowi wspólne, klęski, które w cały naród godzą, tak, jak są inne, godzące w całe człowieczeństwo. I w tem znaczeniu uznajemy solidarność narodową.

Ale cóż dalej? Jakże stąd należy wyprowadzić wnioski? Czy z istnienia solidarności narodowej wypływa istotnie — jak twierdzą ludowcy — konieczność podporządkowania się wszystkich sił społecznych narodu jednej komendzie, komendzie stańczykowskiej, wszechpolskiej czy klerykalnej?

Wróćmy, wraz z naszym „Robotnikiem“ do przytoczonego już przykładu, do wielkiej, ogólnoludzkiej katastrofy — trzęsienia ziemi. Otóż, mimo solidarności ogólnoludzkiej można ręczyć, że większość burżujów będzie wobec nieszczęścia tylko ręce załamywała i płakała ze strachu — większość zaś robotników będzie ratowała ginących z narażeniem własnego życia. A po trzęsieniu ziemi, gdy napłyną składki (i od robotników i od burżuazji) na ofiary, wtedy może robotnicy będą chcieli odbudowania najpierw szkół ludowych, a burżuazja teatru. Tak samo i robotnik i burżuj warszawski wiedział dobrze, czyje to kule grożą życiu przechodniów na ulicach Warszawy, i jeden i drugi szczerze pragnęli, aby jakaś cholera wydusiła strzelających, ale pomimo tego burżuj kłął bojowców, którzy swymi zamachami „prówokują“ strzelaninę żołdacką, robotnik zaś szedł do bojówki. A w Poznaniu? I obszarnik i robotnik i chłop nienawidzą tam brutalnego ciemnięcy. Ale obszarnik wyraża tę nienawiść w tem, że przysięga najęźdźcy wierność wieczystą, byle darowano Polakom życie, mienie i odrobinę swobód językowych. A potem jedzie obszarnik i ksiądz do Rzymu i skromnie, a nadaremnie kołata do wrót Watykanu, by papież ujął się za Polakami. A robotnicy? Robotnicy zaciskają pięści, a gdy się przebierze miara, pomyślą o tem, by tę pięść uzbroić, odwołają się do browninga i dynamitu. A i chłop do rozpacz przywieziony, przypomni sobie, jak to jego ojcowie prali Prusaków pod Wrześnią i Miłostawiem... Bo mimo solidarności ogólnoludzkiej i ogólnonarodowej, różne klasy społeczne rozmaicie zachowują się wobec tych samych ogólnoludzkich i ogólnonarodowych cierpień i pożądań, porywów i klęsk. Każda klasa społeczna prowadzi i musi prowadzić inną, własną politykę narodową.

Własną politykę wobec klęsk, spadających na naród, musi prowadzić także proletaryat polski. Jest on klasą pod każdym względem rewolucyjną i rewolucyjną musi być jego polityka narodowa, musi ona być wręcz sprzeczną z polityką narodową klas panujących. I taka tylko polityka może naród wyzwolić. Gdy ludowcy podporządkować chcą naszego chłopu polityce Głębińskich i Abrahamowiczów, proletaryat polski pójdzie nadal swoją własną drogą, w sojuszu braterskim z całą Międzynarodówką robotniczą i na tej drodze najwięcej zdziała dla ocalenia ojczyzny.





HANS THOMA.

ZYGFRYD.

W MOJEJ OJCZYŹNIE...

W ojczyźnie mojej słychać płacz
Nienakarmionych dzieci
W mojej ojczyźnie matek jęk
Skądś gorzki w przestrzeń leci,
Szlakiem ugorów w głuchą noc
Wichura żalu bieży
W mojej ojczyźnie smutek-głaz
Na sercach wszystkich leży.

W mojej ojczyźnie tysiąc serc
Stroskanych łka rozpaczą,
Cierniową drogą bieży tłum
Na dolę swą tułaczą,
Rzuca zaciszę niskich chat,
Pod obcem ginąc niebem
Z ojczyzny mojej głodny lud
Ucieka w dal za chlebem.

W mojej ojczyźnie czarna dłoń
Roznieca błyskawice,
Z fabrycznych jaskiń wojów huf
W bój rusza na ulicę,
Płyń wzburzone morze krwi
Za złotą wolność braci,
W ojczyźnie mej szaleje car
I tryumfują kaci.

W ojczyźnie mej drży masztów las
W męczeński znak Golgoty,
Mrokiem się słoni Jutra sen,
Jak mara złej tęsknoty,
W ojczyźnie mej szakali rój
Tarza się w uczcie krwawej,
I wściekłym zębem chwyta żer
I carską wolność sławi...

Nim się otrząśnie z kajdan lud,
By stanąć nową siłą,
Niejedna jeszcze spłynie łza
Nad braci mych mogiłą,
Niejedna jeszcze w szary świt
Zaskrzypi szubienica
Zanim się nasze spełnią sny
I słońcem zalśnią lica.

Nim się dokona wielki Czyn
W jaśniejszych dni zaranie,
Burza niejednen zwali dom
Na mym ojczystym łanie,
Nieraz się jeszcze spodli duch
W haniebnych pęt zgniliźnie,
Zanim nastanie wieczny Mir
I Radość w mej ojczyźnie.

Gorlice 24 sierpnia 1908 r.

VERNER VON HEIDENSTAM.

KAMIEŃ GRANICZNY.

Wyładowane sianem wtaczały się sanie do stodoły; spojrzawszy na grabie, błyszczące w słońcu, pomyślałem, że prawdopodobnie wykuł je kowal z kul i starego żelastwa, które znalazł gdzieś w skrzyni na strychu cmentarnym, bo skądże miał przypuszczać, że to należy przechowywać, jako pamiątki przeszłości.

Ja szedłem naturalnie pieszo, ale myśl jest przecie chyża, a ponadto przeskakuje nie tylko mury i wały, lecz i stulecia także. Ściemniło się, gdy stałem jeszcze w lasku, wśród krzaków leszczyny, wysoko nad zaśnieżonym stokiem, tuż u granicy duńskiej i patrzyłem na nieliczne chaty i lepianki, majaczące słabo po drugiej stronie zamarznętego strumyka.

Dziesięciu maruderów, zmęczonych głodem i niewywczaśsem rzuciło się między jałowce, a chociaż noc lutowa mroźna była, nie mieli odwagi rozniecić ogniska,

aby ich nie dostrzeżono. Jakiś parobczak wiejski trzymał w garści, sinej od mrozu, płonący z trzaskiem wiór sosnowy. Z powodu długich włosów nazywali go kozłem. Po sposobie, w jaki odzywano się do niego, poznać było można, że zmuszono go do pokazania drogi i do prowadzenia jedyne go konia, wychudłej, wymęczonej i kulawej szkapy, która na grzbiecie miała kilka worów, a na przednich nogach poranionych skrwawione szmaty.

Kozieł, klęcząc pod krzakiem, przywiązywał konia i bezustannie mówił coś trwożnym i stłumionym głosem do żołnierza, rozciągniętego na śniegu z ośmnastostopową włócznią, rzuconą w poprzek ciała.

— Jesteście z tej samej parafii i uczciwy z was parobek, to i lżej mi na sercu, kiedy przegadam do was — szeptał. — Nie pamiętacie, jak to mówił do nas w kościele Jesper Cruus zeszłej niedzieli? Przedewszystkiem, chłopcy, mówił, nie powinniście nigdy robić niczego takiego, co w sercach waszych sprzeciwia się waszemu sumieniu i przykazaniom boskim.

— To samo i ja ci powiadam — odparł tamten szorstko. — Jeżeli bez skrupułów chcesz być w zgodzie z własnym sumieniem, powinieneś bez szemrania robić, co ci każe podchorąży. A teraz odpocznij sobie, chłopie, bo skoro tylko odsapniemy, zobaczysz, jak szwedzcy żołnierze umieją palić wsi jutlandzkie — ot tamte, w dole pójda z dymem.

— Sumienie moje ostrzega mnie i mówi, że to ciężki grzech napadać i zabijać biednych, bezbronnych chłopów, którzy nam nic nie zawinili. Mamże być nieposłuszny swojemu sumieniu i słowom boskim w mojem sercu wypisanym, a pójść za głosem podchorążego, brzmiałym mi tylko w uszach.

Żołnierz spojrzał na kozła oblanego żółtym blaskiem gasnącego wióra: nie był on rosty, przeciwnie szczupły i wąły a jego lniane włosy gładkie były, jak u kobiety. Twarz miał podłużną, o błyszczących, szarych oczach, biegających niepokojnie; rzadkie, podkreścone w górę wąsy, okalając cienkie wargi, nadawały jego miękkim rysom nieco zuchwałości.

— Kto na wojnie niema ochoty słuchać, musi przypłacić to życiem — odpowiedział żołnierz. — Różać Jutlandczyków ma być taką samą przyjemnością, jak chodzić do spowiedzi. Powiadają, nie wiem, czy to prawda, że gdy się z nich zabitych zdejmie odzienie, to się widzi, że nie są, jak inni mężczyźni i kobiety. Nie widziałeś to, jak mówią Duńczycy? Wysuwają podbródek naprzód i ruszają gębą, jak stara baba.

— Dajcie im ta spokój. Widzicie to ciemne, co hań wyłazi nad śniegiem, z drugiej strony potoka? Tam wieśniacy składają swoje drzewo na opał. Pamiętacie, że pobiłem się z drugim chłopakiem na noże i płaćnąłem go na śmierć, a potem całe trzy lata musiałem się tułać po lasach? Jednej mroźnej nocy w zimie ległem bez sił przy onym stosie drzewa. Nazajutrz raniusko przyszły dwie duńskie kobiety po paliwo. Jedna z nich chciała mnie już zdieścić polanem przez łeb i zwołać chłopów, ale druga prosiła, żeby mi dała spokój. Napatrzyłem się im wtedy, jak kręcą ryjem. Obie mają synów na wojnie, mówiły — a skoro okazały miłosierdzie nad Szwedem, może Pan Bóg będzie je strzegł i ocali im synów. Koło południa przyniosła mi starowina chleba, mleka i ten kaftan z cielecej skóry, co go dotąd noszę. Postawiła mnie na nogi. W tej tam chacie na lewo mieszkają; więc jakże bym ja mógł przyłożyć rękę do podpalenia tego, co jest jedynem ich dobrem na świecie? Alboż nie napisano w Piśmie świętem?...

— No, nie chcę już słuchać więcej! — zawołał tamten, ziewając. Przyszło mu na myśl, jaki to jednak dziwny chłop był zawsze z tego kozła. Dziki był i niepohamowany jako wyrostek, kiedy się z drugim bił na noże, ale po tej tułaczce wrócił zupełnie inny. Czytać nie umiał, ale tak uważnie słuchał w kościele i tak często rozmawiał z księżmi, że znał pełno wyjątków z Pisma świętego i przypowieści. Nikt nie był tak pewny słów i melodji psalmu, jak kozieł. Po-

przedniej nocy podpalili jakąś zagrodę chłopską a gospodarza za nogi powiesili w kominie nad ogniskiem. Kozieł przez cały czas kręcił się między nimi i wciąż im kładł w uszy słowa Pisma świętego, aż go kilku porządnie obilo, aby im wreszcie dał spokój.

Żołnierz przechodził sobie to wszystko myślą i wśród tego zasnął.

W chwilę później obudził się, bo ktoś go szarpnął za ramię, i w jasnym blasku nocy ujrzał chudą postać kozła, pochylającego się nad nim. Zły, pchnął go obcasem ciężkiego buta, łajac:

— Mógłbyś też przecie raz stulić gębę i dać mi spać.

Kozieł odszedł kilka kroków, jakby się ociągał i znów przystanął. W końcu zniknął w ciemności, mrużąc:

— A więc niech się stanie w imię Boga!

Żołnierz zasypiał powtórnie, gdy usłyszał krzyk.

Wszyscy się zerwali. Łuna ogniowa gorzała na śniegu; z drugiej strony zamarznętej rzeki, na odległość strzału stał w płomieniach stos drzewa, Kozieł bez czapki, z włosami rozwianymi, biegał pośród iskier i płomieni, przewracając i zgaraniając głównie, aby ogień rozjaśnić. Cień jego kładł się na śnieżnej powierzchni, jak kawałek czarnej materyi.

Żołnierze brudni, nieogoleni, w podartych kurtkach skórzanych stali w lesie na wzgórzu, a blask ognia lśnił w ich hełmach, pikach i muszkietach.

Podchorąży, krępy chłop z długimi wąsami i głęboką blizną w poprzek nosa, rzekł do kozła, którego przyprowadzono.

— Czyś oszalał chłopcze, co ci się stało? Jest nas zaledwie dziesięciu, więc tylko niespodziewanym napadem mogliśmy wziąć wieś. A ty zbudziłeś Jutlandczyków swoim ogniskiem. Ot, wyją już w swoje trąby! I dzwon kościelny poczyna huczeć! Coś ty narobił!

— Mój dom rodzinny jest stąd o dwie mile — odrzekł Kozieł — a choć kamień, który stoi tam w lesie na górze nazywa się granicznym, nie mogę zapomnieć, że ci biedni chłopci są tak samo ludźmi, jak my. Chciałem ostrzedz Jutlandczyków, dlatego podпалиłem stos drzewa. Bo napisano w Piśmie świętem.

— Słowa Pisma świętego a wojna — to dwie różne rzeczy, jak się o tem wkrótce przekonasz. Zdrajców prędko się pozbywamy. Chodźcie tu dwaj muszkietrzy i pomóżcie mu przeprawić się do kraju, gdzie rządzą słowa Biblii.

Dwóch żołnierzy wystąpiło. Wbili oni mocno w śnieg długie, żelazne sztaby, których używają jako podstawy do muszkietów. Z tyłu stanął trzeci, usiłując zapalić lont krzesiwem i kłął, gdyż mu się nie wiodło.

Kozieł stanął w blasku płonącego ogniska. Lewą nogę wysunął nieco naprzód, głowę z bujnymi włosami odrzucił w tył, ręce zacisnął mocno. Głównia padła tuż obok niego i oświeciła mu twarz, której błyszczące oczy patrzyły w żołnierzy z wyrazem prawie nieziemskim. Tak czekał śmierci. Na chwilę podniósł rękę, aby się poskrobać. Głuchą ciszę przerwały dwa strzały.

Kozieł zwał się z nóg, ale nim głowa mu opadła i włosy poczęły się palić, wsparłszy się na łokciu, zawołał z nieugiętym uporem:

— A przecież głos sumienia jest w nas silniejszy od słów podchorążego!

Na to jeden z muszkietarów odpowiedział drwiąco z głośnym śmiechem:

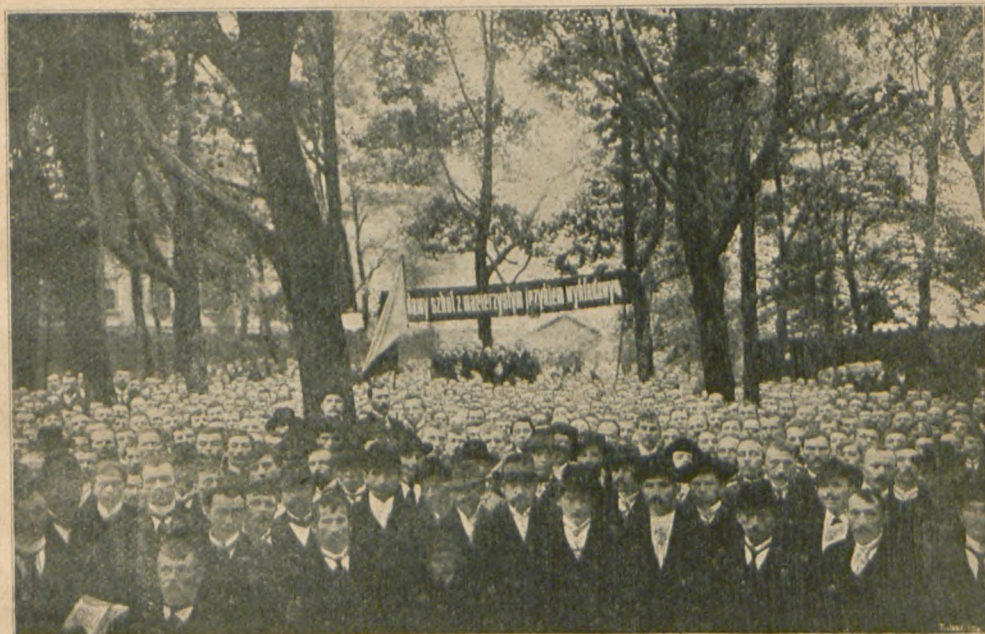
— Nie możesz zrozumieć, że gdyby wszyscy tak mówili, niemożliwe byłoby prowadzenie wojny!

Echo poniosło te słowa poprzez śniegiem przysypane wąwozy górskie, a łuna ogniowa zaróżowiła zimowe niebo szesnastego stulecia.

NA KRESACH MORAWSKICH.

Jedyny „krajowy“ produkt, jaki daje Galicya — chłopska siła robocza — znajduje szerokie rynki zbytu w Ameryce, „na Saksach“, częścią w Danii i w Ostrawie.

„Ostrawą“ nazywa lud nasz powiaty morawskie u granic Śląska Cieszyńskiego, z licznymi kopalniami węgla kamiennego w Morawskiej Ostrawie, Witkowicach, Maryańskich Górach, Przywozie, z olbrzymimi hutami w Witkowicach, rafineriami nafty i chemicznymi fabrykami w Przywozie i Ostrawie aż po Mistek.



DEMONSTRACYJNY WIEC W MORAWSKIEJ OSTRAWIE D. 30. VIII. 1908.

Na tym szmacie ziemi, bardzo bogato uprzemysłowionym, mieszka kilkadziesiąt tysięcy polskiej ludności, przeważnie robotniczej. Z roku na rok przybywają tu nowe gromady ludności chłopskiej, którą z Galicyi wypędza w świat nędza i brak środków do życia. Przybywają na kresy morawskie obciążeni ciemnotą i niewolniczą pokorą, wbitożoną im w mózgi i dusze przez szlachecką gospodarkę, przybywają z tą pracowitością wołu, jaką odznacza się nasz chłop na obczyźnie. A że pracy nie brak i stokroć lepiej płatnej niżli w domu na „pańskim“ — więc i proces życiowy w innym odbywać się musi kierunku.

W Galicyi szedł targ o chłopską skórę — w Morawach idzie targ o polską duszę. Wstrętna, nieprzebierająca w środkach czechizacya i germanizacya, wynaradawianie *en masse*, brudny targ o polskie dzieci w szkołach obco-narodowych odbywa się na kresach morawskich od dziesiątek lat. A że handel ożywiony i liczny, wystarczy popatrzeć na tutejsze fabryki, koksownie, huty, rafi-

nerye, kopalnie, ilu urzędników, dozorców, sztygarów Polaków — a ilu Niemców i Czechów zażartych szowinistów. Prawda, jest garść inżynierów i urzędników Polaków, ale to takie bierne i tak wpatrzone w karierę, że szkoda o tem mówić.

Robotnik polski w Morawach wynaradawiał się i wynaradawia masowo, przeważnie ulega czechizacyi. Z czeskimi robotnikami razem pracuje, podlega wszędzie czeskim majstrom, dozorcóm, sztygaróm, oni go pod groźbą pozbawienia pracy zmuszają do posyłania dzieci do czeskich szkół, do wstępowania do przeróżnych czeskich towarzystw itp. Długie lata uświadamiali tak polskich robotników „nasi bratrzy Slované“ i do dziś dnia z właściwą sobie zażartością kontynuują tę kradzież polskich dusz.



DEMONSTRACJA NA RYNKU W MORAWSKIEJ OSTRAWIE D. 30. VIII. 1908.

Pojąć wprost trudno, z jaką łatwością i dziwnem zaufaniem szły i idą polskie chłopcy od Żywca, Krakowa, Wadowic, Myślenic, Wieliczki, Bochni, Tarnowa i Sącza w objęcia czechizacyi, jak mało obchodzi ich ta „Polska“ (tak wszyscy nazywają Galicyę), gdzie w domach borykać się musieli z nagą nędzą i wyżyłkiem, w tym kraju jedynym, mającym polski sejm i polskie rządy...

Przeszkodą w powstrzymaniu wynarodowienia i rozwoju uświadomienia narodowego naszego ludu był brak wszelkiej planowej akcji z polskiej strony, zupełny brak szkół polskich i wreszcie niezatarta pamięć polskiego robotnika o *Polsecie* i o tem co w *Polsecie*...

Kto uświadamiał polskiego robotnika na Morawach? Wynaradawiali i ogłupiali go czescy narodowcy i klerykali, niemieccy urzędnicy, organizowali go czescy socyalni demokraci, wyzyskiwały i oszukiwały go przeróżne hyeny polskie, przybyłe za nim z Galicyi. Praca czeskich socyalnych demokratów, choć najbardziej wyteżona — nie przyczyniała się do narodowego uświadomienia polskiego ludu.

Organizowali go w zawodowych związkach, wskazując równocześnie na Galicyę, na kraj nędzy i poniewierki chłopskiej, a tymczasem w duszach naszych robotników rodziła się powoli nieprzeparta myśl: co polskie, to nędza i głód, co polskie, to ciemnota i ucisk i odwracali się od wszystkiego, co polskie. Starali się mówić tylko po „morawsku“, dzieci z zadowoleniem nietajonem posyłali do szkół czeskich (zresztą nie było innych), sami zaś masowo uważają się za Czechów.

Na Morawach ludność polska jest ustawowo żywiołem nieznanym, ignorowanym. Istnieje krajowa ustawa szkolna *lex Perek*, która powiada, iż rodzice mają być karani grzywną i aresztem, jeśli dzieci posyłać będą do szkół z obcym językiem wykładowym, ale ustawa ta odnosi się tylko do ludności niemieckiej i czeskiej. W sądach i urzędach panuje język niemiecki i czeski. W czasie wyborów do sejmu lub parlamentu ludność polska zostaje załączoną do katastru większości narodowościowej, a tem samem jest pozbawiona z góry własnej reprezentacji. Na Morawach ludność polska nie posiada praw tych, jakie w państwie konstytucyjnem mieć by powinna, jest ludnością niżej uprawnioną. Dodajmy do tego ucisk wielkiego kapitału, nagonki czeskich i niemieckich inżynierów, majstrów, sztygarów, dozorców celem wynarodowienia polskiego ludu, a zobaczymy, iż położenie naszej ludności na kresach morawskich jest nie do pozazdroszczenia.

W ostatnich kilku latach dopiero zaczęto pracować nad przebudzeniem polskiego ludu na kresach. Założona przed sześciu laty polska szkoła ludowa T. S. L. dziś liczy pięć klas i 400 dzieci, powstał „Dom polski“, utworzono towarzystwa oświatowe, bezpłatne wypożyczalnie książek itp. Pracę prowadzili polscy radykali. Z rozwojem ruchu organizacyjnego polskiej partii socjalno-demokratycznej na Śląsku, objął ruch i kresy morawskie. Powstały organizacje polskiej partii socjalno-demokratycznej w Mor. Ostrawie, Przywozie, Witkowicach, Maryańskich Górach, a liczą dziś w swoich szeregach kilkuset zorganizowanych towarzyszy i towarzyszek partyjnych. Z dnia na dzień wyłaniają się nowe sprawy, i domagają się rozwiązania, powstają nowe potrzeby i żądania kulturalne i polityczne. Partya nasza, objąwszy raz pracę w swe ręce, stara się na wszystko odpowiedzieć.

Walka o polskie szkoły na Morawach stała się jednym z głównych postulatów naszej partii. Wszędzie, staraniem naszych organizacji, odbywają się zgromadzenia szkolne, na których licznie zebrana ludność polska domaga się polskich szkół od gminy i kraju. Odrażę i niechęć do polskiej szkoły partya socjalistyczna musi wykorzeniać, objaśniać, zdobywać umysły i serce dla idei polskiej szkoły. I trzeba przynajmniej, iż robotnik, który zrozumiał korzyść polskiego nauczania dla swych dzieci — za żadną cenę nie pośle więcej dzieci do obcej szkoły. Akcja partii socjalistycznej za polską szkołą na Morawach spotyka się z napaściami prasy szowinistycznej czeskiej. Pisma czeskie zapewniają nas, iż nie miałyby nic przeciw szkołom polskim, gdyby Polacy zwracali się przeciw tym rodzicom polskim, którzy dzieci posyłają do szkół niemieckich, a szkoły czeskie, przepełnione polskimi dziećmi, zostawili w spokoju. Pisma czeskie, podnosząc myśl taką, powołują się na „slovansku solidaritu“. Ładna solidarność...

Jak wspomnieliśmy, na Morawach istnieje w Mor. Ostrawie pięcio-klasowa szkoła T. S. L., w Przywozie ma powstać wkrótce jednoklasowa szkoła polska T. S. L. Ze względu na brak szkół utrzymywanych przez kraj, stosunek naszej partii do T. S. L. przybrał inne poniekąd formy, niżli w Galicyi. Popieramy gorąco szkoły T. S. L., pomagamy T. S. L. w akcji szkolnej i innych pracach szczerze oświatowych, nie-politycznych, ale do kół T. S. L. zabarwionych pewnym odcieniem politycznym, nie należymy w myśl uchwały śląskiego zjazdu partyjnego, odbytego w ubiegłym roku w Cieszynie. W ostatnim czasie wyłoniła się potrzeba utworzenia w Mor. Ostrawie polskiej szkoły wydziałowej; — zarząd T. S. L. powinien się sprawą tą szczerzej zająć i szkołę wydziałową utworzyć. (Szkołę utworzono P. R.).

Postępujące stale naprzód organizacje partyjne, rosnący ich wpływ, potęgujące się tem samem uświadomienie polityczne i narodowe naszego ludu, postawiły na porządku dziennym nowe żądanie: polski kataster wyborczy na Morawach. Kwestyą tą zajmował się wyżej wspomniany zjazd krajowy śląski i powziął w tym kierunku uchwałę. Na ostatnim kongresie P. P. S. D. powiatowa organizacja w Mor. Ostrawie postawiła wniosek, który przyjęty jednogłośnie przez XI kongres naszej partii, brzmi:

„Ludność polska, zamieszkująca w zbitej masie pograniczne powiaty morawskie, została pokrzywdzoną w stosunku do ludności niemieckiej i czeskiej, mieszkającej w Morawach.

Przy tworzeniu osobnych katastrów wyborczych dla narodowości czeskiej i niemieckiej nie utworzono katastru dla Polaków, lecz przyłączono ich do większości narodowych, przez co pozbawiono ich z góry własnej reprezentacji w sejmie krajowym i Radzie państwa. Równouprawnienie narodów zawarowane konstytucją austriacką, zostało naruszone w stosunku do ludności polskiej, zamieszkującej Morawy.

XI kongres polskiej partii socjalno-demokratycznej protestuje przeciw tej krzywdzie, wyrządzonej ludności polskiej, oświadcza się za utworzeniem osobnego katastru i własnych okręgów wyborczych przy wyborach do sejmu morawskiego i Rady państwa i poleca sprawę tę Frakcyi socjalno-demokratycznej w Radzie państwa i sejmie morawskim“.

Polska partya socjalno-demokratyczna na Morawach zdaje sobie sprawę z doniosłości tego żądania; wie, że uświadomienie narodowe naszego ludu będzie zarazem jego uświadomieniem politycznem, klasowem. Mówimy o uświadomieniu narodowem w szczerze ludowo odczutom i zrozumianem znaczeniu, bez frazesów tramtadratycznych, bez tanich a nic nie mówiących szopek narodowych. I dlatego, podczas gdy robota przeróżnych narodowców musiała wszędzie w końcu zbankrutować lub bankrutuje, to praca partii socjalistycznej rośnie i wspaniale wydaje owoce. Praca partii naszej ma podkład ideowy, a tego zniszczyć i wyrwać nie można. Brak ideologii niesie z sobą w pracy społecznej bankructwo.

Z tygodnia na tydzień rośniemy w siły ku wściekłości szowinistów czeskich, ale walkę niezmordowanie prowadzimy dalej. Wiemy, że uzyskanie mandatów polskich do sejmu morawskiego i parlamentu da nam nowe podstawy obrony i walki, a zarazem zmienić musi ustawy krajowe morawskie. Z ludności dotąd nieuznawanej staniemy się żywiołem posiadającym należne mu prawa, szkoły publiczne, język w urzędach i t. d., a w ślad za tem pójdzie szerszem korytem uświadomienie naszego ludu.

Klasowa gospodarka szlachty galicyjskiej wypędza z domów dziesiątki tysięcy polskiego chłopą. Wraz z nędzą społeczną skazuje go tem samem na wynarodowienie na obczyźnie. Jest to ten podwójny wpływ krwi narodu. Polska partya socjalno-demokratyczna, organizując i uświadamiając polską ludność, zapobiega wynaradawianiu. Galicya przysłała nam chłopą polskiego, ciemnego, sklerikalizowanego, z wbatożoną w dusze niewolniczą pokorą, — polska partya socjalno-demokratyczna tworzy z niego uświadomionego, zorganizowanego towarzysza pod czerwonym sztandarem, wyrывa go z objęć wynarodowienia, czyni zeń człowieka, umięającego czuć i rozumieć po polsku... W zamian za to polscy patryoci nazywają nas „beznarodowcami“, „wrogami polskości“!...



WYGNAŃCY : WIEŚCI Z KRAJU.

ŚLUBNA ŻONA.

— Parasko, Parasko...

— A co tam?

— Wstawajże.

— Ta poco?

— Zdaje mi się, że ktoś dzwonił.

Przenikliwy dzwonek elektryczny ją znowu dzwonił.

— Zdaje się, że pan z miasta wrócił.

— Aaaa... Do licha z takim życiem. Ani się wyspać, ani wypocząć; to wstawaj, to kładź się, to kładź się, to wstawaj.

— Idźno, idź, bo się będzie gniewał.

Paraska zerwała się z ławy, zarzuciła chustkę, wzięła do rąk zapaloną latarkę i klucze od bramy i wyszła z izby.

Co tylko za sobą drzwi zamknęła, jak dzwonek ozwał się znowu.

— Pfu, przeklęty! Ostatniaby ci godzina była! Dzwoni i dzwoni, aże w uszach szumi!

Wasył obrócił się na łóżku i utkwiał oczy w oknie, przez które przedzierało się światło księżyca.

— Ihi... nawet i księżyc jak nie księżyc! Zupełnie, jak gdyby się bał jasnym okiem zajrzeć do tej nory. Patrz, świeci tak, jakby łaskę robił.

Na schodach zadudniały kroki.

— To on... Dyabliby mu... Hula do północy Bóg wie gdzie, a teraz ściel mu... Nie wstałby z tej pościeli...

Splunął ze złości i zacisnął pięście.

— Niechby on tu jedną nockę przespał, to z pewnością powędrowałby na Łyczaków. A tak, myśli se, że łaskę nam robi. Gdzież to stróżowi takie pomieszkanie!... — I powiodł ręką po izbie, jakby ją komu pokazywał.

Była to piwnica, pięć metrów długa, a cztery szeroka, z małym, zakratowanym okienkiem. Ze ścian aż lała się wilgoć, a powietrze było w niej takie, jak w murowanym zamkniętym szczelnie grobie. Pod oknem stał stół, przy nim ławka i stare połamane krzesło; na kuchni dwa-trzy czerepiane garnki, a koło drzwi konew z wodą. W kącie łóżko i skrzynia z ubraniem — to wszystkie sprzęty.

— Hej, hej!... Ale ci się z żoną dorobił! Nie lepiej to było nie żenić się? Gdziebyś się przespał, tam przespał, a tak musisz mieć chatę. I jaka jest, taka jest — ale jest; zawsze już nie pod gołem niebem. Bogu dzięki i za to.

Ziewnął na całą izbę, przeżegnał usta i zarył głowę w zagłówek. Z początku wirowały mu po głowie jakieś niewyraźne myśli, potem rozplływały się w nich jakieś wspomnienia, dawne, dalekie i migotały w mózgu jak płomień gasnącej lampy, wkońcu gasły i rozchodziły się jak mgła pomroczna.

Przymknął powieki i usnął.

Paraska, wyszedłszy za drzwi, poczęła się trząść, jak w febrze.

— Ach! znowu się zacznie!

Otworzyła panu bramę i poszła z nim na górę do jego mieszkania.

Poczęła słać łóżko.

Pan chodzi zamyślony po pokoju i gwizdże. Naraz Paraska słyszy, jak staje koło niej. Dech w niej zamknęło. Twarz ogniem płonie, serce tłucze się, jak mysz w pułapce. Świat się jej kręci. Objęło ją silne ramię. Nie spostrzegła się nawet, jak usiadł na łóżku i posadził ją na kolana.

— Panie... — błagała, a głos jej dziwnie syczał.

— Parasiu, Parasuniu...

Głowę jej przygarnął ku sobie dłonią i namiętnie ją całował ją w usta. Te całunki paliły ją jak ogień, i mroziły jak lód.

— Panie, jestem ślubną żoną.

I łkać poczęła.

— Płaczesz, Parasiu? I poci te płacze? Nie jestem ci wrogiem. Przecież widzisz, dałem wam służbę, izbę, pomagam wam... Parasiu, ty mi się tak podobasz. Chodź... chodź...

— Co?... Nie, nie panie, proszę mię puścić.

Starła się wyrwać.

— No widzisz, jaka ty jesteś!... Tak długo cię proszę — tydzień, dwa, miesiąc, a ty nie i nie... Jakże więc, dobrze?

Cicho. Mileż oboje.

— Dobrze, Paraniu? mów! Pójdiesz, prawda, że pójdiesz? Chodź...

— Nie panie. Proszę mię puścić. Dalibóg nie pójdę.

— Nie?

W głosie jego zadźwięczała złość. Jak gdyby nożem zgrzytnął po żelaznym garnku. Puścił ją. Myśli. Zmarszczył czoło, zesunął brwi. Na ustach przewleka się ironiczny uśmiech.

Stał przed nią.

— Nie?...

Ona mileży.

— Powiedz więc swemu mężowi, niech pierwszego szuka sobie miejsca.

Cedził z wolna ostatnie słowa. Jak trucizną sączyły się kroplami z jego ust, zatruwając krew Paraski. Oszołomiona stała przez chwilę, a potem zatoczyła się, jak pijana, i runęła do jego nóg.

— Panie kochany! Nie gubcie nas, nie wypędzajcie... Gdzież my teraz służbę dostaniemy? Panie, dobrodzieju nasz, nie zostawiajcie nas bez chleba.

Odwrocił się od niej. A ona twarzą do ziemi przypadła i wyła.

— Albo nie!... Zrobię, czego pan chcesz. Poddam się. Wasylko dawno mi mówił: „Wypędzi, jeżeli się nie poddasz“.

Taka myśl strzeliła jej do głowy. Podniosła się, otarła fartuchem łzy i usiadła na łóżku.

Zdziwiony pan, uśmiechnął się wesoło i rzekł od niechcenia:

— No i cóż?...

— A cóżby?...

Te wymuszone, na pozór wesołe słowa Paraski burzyły w nim krew.

Siadł koło niej i otoczył ją ramionami.

— Dobrze tak? — Kiwnęła głową.

— Dawnoś wróciła Parasko?

— Przed chwilą.

— Co ci jest? Płaczesz może?

Wstrzymywany płacz wybuchł całą siłą.

— A czegoż ty?

— Już po wszystkim.

— Po wszystkim?...

Niby przeląkł się, niby gniewem zawrzał. Obrócił się, silniej pięści zacisnął, a wreszcie ręką machnął.

— Wiedziałem o tem dawno... Idź, kładź się spać!

WIDMA.

Zbutwiałe, straszne, nieruchome stawy,
cuchnące błotem...

Ponad niemi, złotem
drgające,
gdzieś, wysoko na błękiecie,
stało słońce...

I to się nazywało: życie.
Smaragdowym szlakiem
rzęsa pokryła tafle wód,
czarne bezdenia,
sitowiem obrosłe brzegi stawów,
i cisza była w krąg... i chłód...
Tylko miazmaty
ziały dookoła mór...

Aż nagle... Nie!
tego opisać nie zdoła
żadna tęsknota,
nagle... tam na dnie
coś się musiało stać;
prądy zaczęły rwać
smugami rzęs dywany...
Jakiś nieznany
wiew
poruszył liście drzew,
wpatrzone w wód nirwany...
I z samej głębi serca
wyrwał się krzyk!...

Oddawna zapomnianej
nadziei promienie
zaczęły rzucać blask na pokolenie,
wyrósł w łzach...

Z oddali,
z oddali, zasnutej mgłami,
szły lśniące
złocistą zbroją
szyki orężne...
Szumiały
hen... w dal... przez błonia
skrzydła olbrzymie...
chwiały się proporce złote,
barwne sztandary...
Ha! Zdało się, że lecą
szyki zbrojne!...
Cisza...
Srebrzyste mgieł tumany

kładą się na czarną rolę,
rozoraną...

Kraczą wrony...
Z ciemnych borów
wychodzą krwawe upiory
na żer...

Jeszcześmy pojąć nie zdołali
co się stało,
aliści padł strzał
w samo serce,
i pierwsze plamy krwi
znaczyły bruki
smugą rdzawą...
To słońce nam wschodziło
nad Warszawą,
słońce nam wschodziło
krwawo!...

I wszystkie serca
objął szal...
zaszumiały stare sztandary...
A szatan przyczajony
z nas się śmiał...

Jeszcześmy nie pojęli
co się stało...

Hen... na Wawelu
króle śpią...
złociste szaty,
korony, nabijane w skry
i miecze zżarte rdzą...
Hej! śnią
króle tron bogaty,
szyki zbrojne,
dzieje chwały...
Wiecznym snem
w grobach na Wawelu
króle śpią...

Przez pola zaorane,
przez ciemne bory,
ze słomą krytych strzech
i z miast,
osnutych dymem,
przeciągłym hymnem męki
od końca aż do końca
naszej ziemi
szły jęki...

Nad Warszawą
sztandar powiewa czerwony,
krwią
i łzami krwawemi
splamiony.
Niesie go tłum,
tysięczny tłum...
a w pierś bezbronną
leczą kule...
Tłum na twarzy
ma jakiś blask,
w duszy ognie potężne
i wierzy,
wierzy, że z martwych ciał
wstaną szyki nowych szermierzy
i zwyciężą!...

Lecz myśmy nie pojęli...

Patrzyliśmy słońcu prosto w oczy,
patrzyliśmy w świty,
ale nam się zdały
łuną pożarów,
i duszę opętał strach...

Skarlały
w długiej niewoli
szczęśliwe snem duchy
o sen drżały...
lecz je obudził strach!

Zawrzały
sejmy i sejmiki,
dawna buta
ozwała się w synach Rzeczypospolitej,
gardłowały rzeczniki,
a z duszy!
Miodu brakło,
miodu i kontuszy!...

Natenczas
ponad miastem
widmo się ukazywało,
w czarnych szatach,
z rękami zakutemi
w kajdany...

A potem... wszczęliśmy gasić pożary...

Haes.

ALOJZY BONCZEK.

ZE STOSUNKÓW GÓRNICZYCH.

Górnictwo, stanowiące bez wątpienia podwalinę nowoczesnego przemysłu, należy do najcięższych prac. Odrębne na wskrós stosunki czynią zeń zawód pełen trudów i niebezpieczeństw. Co chwila bowiem stajemy pod wrażeniem jakiejś strasznej katastrofy z setkami pomordowanych górników. Zdawałoby się zatem, że praca tak mozolna i narażająca życie jest odpowiednio wynagradzana, a jej wykonawcy odpowiednio chronieni przez władze i traktowani przez przedsiębiorców.

Rzeczywistość jest inna. Dawno i bezpowrotnie minęły te czasy, kiedy górnik wyjątkowego doznawał uszanowania w społeczeństwie. Dziś życiowe jego stanowisko jest również wyjątkowe, ale w tem ujemnem znaczeniu.

Wydany na łaskę i niełaskę potężnych baronów węglowych, wystawiony na ciągłe niebezpieczeństwo życia, skazany na szyskany przełożonych i krzywdy kas brackich, za ciężką i ofiarną pracę pobiera niesłychanie marną zapłatę.

Praca i poświęcenie, jakie musi wkładać w wykonywane zajęcie, nie stoi w żadnym stosunku do zapłaty. Ot płacą mu, by żył i mógł pracować dalej — jak powiada ów miliarder z noweli Gorkiego. Przy wynagradzaniu go nie uwzględnia się tego, że praca górnika ustawicznie się zmienia. Za każdym niemal uderze-

niem kilofa zmienia się rodzaj pracy. Zdarza się często, że praca w tym samym tzw. przodku (miejscu pracy) zmienia się w tygodniu kilka razy, ba nawet w ciągu tej 9-godzinnej szychty ulega różnym przekształceniom. Jasne jest, że ta ustawiczna zmiana musi oddziaływać na nierównomierność zarobku.

W miarę zapuszczania się chodnikiem w pokłady kopalniane widzimy, jak szkodliwie na pracę oddziałują ciśnienie wierzchu i ścian chodnika, względnie przodku czyli czoła, ba nawet i spód czoła oddziałują na miażdżenie podzielnego chodnikami węgla. Wskutek zmiany i podnoszenia się spodu chodnika rozluźniają się, a nawet rozpada się kolejka, po której wozi się węgle w wózkach. Jeśli dodamy do tego cały szereg innych podobnych okoliczności — których nie będę wymieniał — a powstałych bądźto ze sparsystemu kopalnianego lub technicznych stosunków górniczych — to zobaczymy, że praca w kopalni jest nie do pozazdroszczenia.

W kopalni trzeba oddawać się pracy — jak wyżej powiedziałem — z poświęceniem, ale przytem trzeba mieć jeszcze coś więcej: rozsądek i olej w głowie. Że górnicy z poświęceniem oddają się pracy, o tem powszechnie wiadomo.

Ale o jednym z pewnością nie wiecie. O tem, iż w górnictwie panuje zupełnie różny sposób płacenia za pracę, niżli przyjęto we świecie. Wiemy o tem wszyscy, iż jeśli ktoś więcej kupuje, dłużej pracuje, tem więcej płaci lub pobiera. W górnictwie baronowie węglowi wprost odwrotny zaprowadzili porządek.

By się przekonać naocznie, przyglądnijmy się kilku suchym cyfrom, zestawionym przez c. k. ministerstwo rolnictwa, a przekonacie się, iż prawdę mówię:

Rok	Na każdego górnika wy- pada szychta	Na jedną szych- tę wydobył metrycznych centn. węgla	Zarobił na szychcie w koronach
1901	270	6.42	4.02
1906	279	7.11	3.98

A zatem w r. 1901 mniej wydobył węgla a więcej zarobił, w r. 1906 więcej wydobył węgla a mniej zarobił. Cyfry te warto sobie zapamiętać, gdyż przy każdym ruchu górniczym, zmierzającym do polepszenia marnych stosunków — prasa kapitalistyczna wrzeszczy, iż kopalnie większych zarobków w dać już nie mogą!... Jak się one zwiększyły — widzieliście.

Idźmy dalej. Mimo tych niesłychanie nędznych warunków życiowych górnika — wiele, a nawet bardzo wiele trzeba wkładać pracy, ofiar i trudu, by pociągnąć górników do organizacyi. Górnicy są dziś może jedyną grupą robotniczą, tkwiącą silnie w średniowiecznych przesądach, wszelakich religijnych komedych, które utrudniają do nich przystęp myśli nowoczesnego ruchu proletaryackiego. Jest to jak gdyby ze średniowiecza wydarta warstwa robotnicza wtłoczona krzywdą i uciemiężeniem w ramy dzisiejszego ustroju kapitalistycznego.

Skąd to pochodzi? Kiedy górnictwo było w powijakach, praca była stokroć niebezpieczniejszą, niżli dzisiaj przy zastosowaniu najnowszych ulepszeń i wynalazków technicznych. Łapano wszędy robotników, obiecywano im złote góry, byle tylko pracowali w kopalni. A że umiano się dobrze liczyć z psychologią ciemnego robotnika, kującego skałę w czeluściach podziemnych, więc dodawano mu odwagi i otuchy przez przydzielanie mu do pomocy nieodłącznego opiekuna w osobie św. Prokopa lub św. Barbary. Świętym tym stawiano ołtarze w podziemiach. Przed każdym zjazdem do kopalni oddawali się górnicy gremialnie w opiekę swym kopalnianym opiekunom, którzy mieli chronić ich od nieszczęśliwych wypadków, a właścicieli kopalń od nieszczęścia w osobie umiających patrzeć na oczy górników.

I było im dobrze z tem wszystkim. Św. Prokop lub św. Barbarka sprawowali inspekcję górniczą w kopalniach. A jeśli górnicy zbyt często przenosili się na tamten świat, nie była winną temu kopalnia, lecz górnicy, którzy w duszach swych nie umieli wzbudzić miłości do świętych opiekunów. A miłość wzbudzać znaczyło być posłusznym woli panów, przed zjazdem modlić się i nigdy więcej za pracę nie żądać.

Panowie wiedzieli, iż posłuszny niewolnik kocha liberyę. I sprawili, względnie kazali przyoblec się wszystkim górnikom w jeden mundur, w którym odtąd występowali przy wszystkich komedjach i paradach. Liberya górnicza — a mówili panowie, iż ona wyróżnia i zaszczyt przynosi — oddzieliła górników od reszty proletariatu i w skutkach okazała się nie mniej doniosłą, niżli wszystkie religijno-górnice obrzędy.

I trzeba przyznać, że nie było uroczystości klerykalnej, któraby się obeszła bez parady umundurowanych górników. Jeśli przyjmowano w zagłębiu jakiegoś dobrze urodzonego kpa, szli górnicy w paradzie i bili czołem pokłony jak niewolnicy.

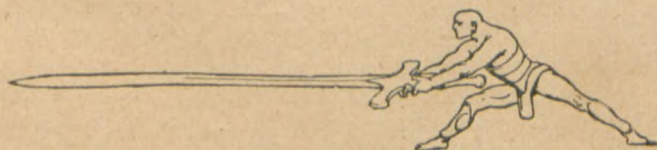
I nie bez szkodliwych skutków po dziś dzień pozostało to średniowiecze obyczajów, obchodów i przesądów górniczych. Pierwsze próby organizowania górników do walki z kapitałem są tego najlepszym dowodem.

Zakładano z początku różne lokalne stowarzyszenia. W chwili ruchu zarobkowego cieszyły się one rozwojem i powodzeniem, lecz po każdej skończonej akcji następowała stagnacja. Stowarzyszenia lokalne mogły ugrupować tylko nieliczną ilość górników, a tem samem nie mogły prowadzić szerszej, jednolitej akcji. Separatyzm lokalny zabijał akcję, a stowarzyszenia niszczył. Większe zrzeszenia górników nie powstawały na skutek braku środków materialnych. Pokazało się to i przy zakładaniu dawniejszych naszych organizacji w zagłębiu.

Trzeba było całych dziesiątek lat pracy, ofiar i poświęceń zanim zdołano wepchnąć górników w ramy dzisiejszych zawodowych organizacji. I krew się polała i więzienia się zapełniły, zanim choć część proletariatu górniczego zdołano natchnąć myślą nowoczesnej walki proletaryackiej.

A z pewnością zdziwicie się, gdy wam powiem, iż powyżej opisane komedye, parady i szopy do dziś jeszcze istnieją w całej swej nagości i zabagniają dziesiątki tysięcy umysłów górników w Austrii. Do dziś dnia muszą organizacje zawodowe zwracać górnikom uwagę i tłómaczyć szkodliwość szop takich, jak parady religijno-górnice w dzień św. Prokopa lub św. Barbary. A że obchody takie odwracają uwagę górników od walk klasowych, świadczy zainteresowanie przedsiębiorców, z jakim popierają te obchody. A najwymowniejszym jest fakt ten, iż nowo mianowany minister-opiekun górników, dr Gessmann, zanim otrzymał rządy dusz i umysłów górników rozesłał do urzędów górniczych w Czechach zapytanie, czy górnicy modlą się przed zjazdem do kopalni...

Jeśli przy zeszłorocznych wyborach do parlamentu kandydaci socjalno-demokratyczni otrzymali w zagłębiach górniczych kilkadziesiąt tysięcy głosów — jest to dowodem ogromu i intensywności pracy, jaką wkładają nasze organizacje w uświadomienie i zorganizowanie proletariatu górniczego.



Z ODCZYTEM.

Do jakiej granicy rozpasania oświatowego doszły niektóre lubelskie żywioły, najlepiej zaświadczy fakt, że przestał im już wystarczać odczyt, który się pocziwym, starym obyczajem, po jednorazowym skompilowaniu, obwoziło z miejsca na miejsce. Żywioły poczęły żądać...

W dniu, którego data nie jest znowu tak dalece ważną, żeby ją aż drukiem ogłaszać, otrzymuje pan Ryzio kartkę, pisaną *mirabile dictu!* poprawną i tak ortograficzną polszczyzną, że mogłaby i poniekąd winna nawet w sferze renciarsko-rolnej znaleźć zastosowanie, z żądaniem odczytu na takie a takie popołudnie niedzielne — oraz z podaniem tematu.

— Potrzebny nam jest odczyt na temat „Dola chłopów polskich w końcu XVIII stulecia“, w tym rodzaju, jak to już panna Władysława i t. d.... Prosimy najuprzejmiej i t. d. Furmanka o godzinie i t. d.

Pan Ryzio sposepniał.

Łatwo ci jest, drobna jednostko rolna z Zagaja, napisać ortograficznie list, podać tytuł, wyrazić uprzejmości, pod swem małorolnem nazwiskiem wywinąć zakrętas, któryby mógł uczynić zadość poczuciu godności posła do Dumy, ale w parę dni zbudować odczyt, znaleźć odpowiednie klisze do latarni...

— Skąd-że wziąć klisze? — wykrzyknął pan Ryzio.

Gdzież ja mam Kalinkę, Smoleńskiego, Korzóna, gdzież mam Gorzyckiego, albo jakiegokolwiek innego Handelsmana? Nic nie mam! Siedzę na tem pustkowiu i wyję w otchłań, jak wilk za górą...

Nic wszakże nie pomogły powyższe wilcze wrzaski. Na dzień oznaczony odczyt był gotowy („najpodlejsza w dziejach kompilacya!“). Co szczególniejsza, gotowe były klisze, co prawda pasujące do tego odczytu w takim właśnie stopniu, w jakim wszystko pasuje jedno do drugiego w tej naszej polskiej oświacie: — (cały Grottiger).

O naznaczonej godzinie koniska stały przed domem. Pan Ryzio zawinął w zakopiańską pelerynę swój kształt powiewny tudzież pudło z latarnią czarnoksięską i zasiadł w wasagu. Siedzenie z grubej wiązki słomy pokrywał kilim o tak żywych barwach, że można było dostać drgawek chłopomańskich. Z początku w bajorach gościńca jechało się niemal z burżuazyjnymi wygodami. Lecz po wyjeździe na płaskowzgórze, gdy zawiął późno-jesienny, polny, nasz, tamtejszy wiatr...

Pan Ryzio musiał pieczołowicie w jednej ręczce piastować soczewkę, owiniętą w jedwabną chustę wątpliwie japońskiego pochodzenia (dar pożegnalny panny Izabeli), w drugiej ręczce pudełko z grotgerowskimi kliszami. Wiatr tedy stosownie do swego upodobania poddymał pelerynę, uderzał w bezbronny brzuch, co sprawiało efekt bajecznego przenikania, jak gdyby tenże wiatr przedostawał się aż poza otrzewną, i zastanawiającą bezwzględnością, absolutnie taką samą, jak na lubelskiem polu, wzdłuż, w poprzek, tam i z powrotem, samopas jeździł po flakach.

Pomimo to wszystko pan Ryzio trwał w męstwie. Na coś się przydało zahartowanie, aczkolwiek niezupelnie własnowolne, wskutek chadzania „do figury“ w sezonach arcy-jesiennych, oraz w uroczu marcowe przedwiośnia. Niepodobna by było zresztą nie złożyć tak drobnych przykrości, jak endosmoza wiatru poza otrzewną na ołtarzyku dobra kultury polskiej.

To też pan Ryzio składał na ołtarzyku co się dało, — zacząwszy od całości języka, którą nadwierały szczękające zęby aż do spokoju wyż wzmiankowanych flaków, które znowu od skakania wozu po ojczystych dziurach zdawały się dyn-



ST. BOHUSZ-SIĘSTRZĘNCEWICZ.

dać na jakimś jednym powrózku, jak wisielec na szubienicy. Zarazem prawica i lewica zgrabiały do szczeru od piastowania narządów kultury.

— Daleko też jeszcze do Zagaja? — zagadnął pan Ryzio powożącego włościanina w najniewinniejszej zresztą myśli.

— Nie daleko. Zaraz za lasem.

— A gdzież ten las?

— E, las się mówi, ale lasu już dwa lata jak niema.

— Gdzież się podział?

— A wyciął go dziedzic ze żydami.

— Prawda! Pamiętam, że tu był las ogromny. W lesie tym osty rosły prze-
dziwnej piękności...

— Osty? A może były i osty. O, las stał jednym słowem! Bo to tu w Gruszczynie był dziedzic taki, stary pan Łukomski się nazywał, że nikomu, za nie na świecie drzewa nie sprzedął. Przyszedł do niego młynarz, pokłonił się i prosi o buka, na wał do młyna. Opowiedział jakiego chce buka, że tego, co tam a tam stoi. No, dobrze, zgodzili się na dwadzieścia pięć rubli za tego buka. Młynarz wyjął, zapłacił, poszedł. Uszedł se kawałek drogi, dopieroż pędzi za nim konny posłaniec, zawraca go nazad do dziedzica. Przychodzi młynarz, pyta się, o co. A mój bracie, — mówi do niego ten stary dziedzic, — widzisz, rozmyśliłem się. Nie sprzedam ja ci tego buka! Masz tu swoje dwadzieścia pięć rubli i idź z Bogiem. Młynarz się za czuprynę, gdzież on tu teraz buka kupi. No, to ten ślachciec wyjmuję jeszcze pięć rubli, dokłada mu: — Naści — powiada, — idźże do mostowickich lasów. Jest tam buk stary, kupże go, zetnij, zwieź, obrób, będziesz miał, bracie, wał, a ja będę trzymał swego buka. Niechże ta stoi na miejscu.

Pomarł ten stary dziedzic, a kat był, dziesiątą skórę zdarł z człowieka, jak mu się popadł w lesie za furą. Przyszedł drugi. A jeno przyszedł, wnet żydów wołać. Nie obejrzelśmy się — lasu niema. Jeno pniaczyska stoją.

W istocie pan Ryzio, dobrze wytarłszy binokle, miał możność obserwowania zdębiałymi oczyma pniaków, z których przy każdym czterech godnych inteligentów w najwygodniejszych pozach mogłoby dyskutować o przyszłym, autonomicznym ustroju i, w miarę wzmagania się wymyślań, zażywać swobody gestów.

— Role te między pniakami dzierżawią chłopcy z Pakuł. Prosa tu mieli. Jezusie — Maryo!

— A jakże też czytelnia w Zagaju, rozwija się? — zagadnął pan Ryzio.

— A jest ta czytelnia. Tylko to tak... z tą czytelnią...

— No, ksiądz proboszcz?

— A ksiądz proboszcz...

— Bardzo się gniewa?

— E, żeby to tylko nasz. Ale i morzydłowski...

— I cóż takiego? Powiedźcie no...

— Kiedy to aże brzydko powtórzyć...

— Nie będzie dawał rozgrzeszenia?

— Nie będzie.

— No i jakże ludzie? Nie chodzą?

— Z ludźmi to tak... W kościele, jak z ambony ponieważ, to się wszyscy okropnie boją, aże ich frybra ze strachu trzęsie, a jak na polu, to już ocipkę mniej. Baby te to zakazują chłopakom...

— A bywa też kto w czytelnii?

— Co młode, to szelma zaraz nieposłuszne, plebana swego nie chce słuchać i prosto z kościoła, jak w dym do czytelnii!

— Patrzajcie! No, a ten wasz teatr? Słyszałem coś...

— A i teatr zawzięły się robić. Ksiądz proboszcz na teatr bij zabij, — to ony właśnie. Okropnie im się chce tych *Dziadów*, tylko że Konrada nie mają.

Żeby Konrada mieli, toby samych kaszkieciarzy z Dziędzielic zakasowały, bo wszystko na pamięć umieją.

— A gdzieżby też grali?

— U Staśka Walczaka w stodole, u prezesa.

— No, a *Wesele* wyście sami, braciszku widzieli?

— Widziałem.

— No, i jakże?

— Trudno było wszystko wyrozumieć, co ta te maskary znaczą. Dopiero, jak ten młody, co był w czerwonym z dzwoneczkami, wyłożył, to lżej. Bez niego trudno by ludziom było wyrozumieć...

— Bo nie tak, nie tak! — palił się pan Ryzio, — nie tak to *Wesele* trzeba grać. Trzeba tak grać, żeby było prawdziwie lubelskie wesele chłopskie, z muzyką, z tańcami, ze śpiewkami, z oczepinami, ze wszystkim jak się patrzy. A dopiero, jak się ludzie oswoją, opatrzą, żeby na to chłopskie wesele zaczęły przychodzić one zaproszone maskary, a chochoł, a hetman, jak to już mistrz Wyspiański wyśnił i wyprowadził. Sam on kazał tak ludowi swoje *Wesele* pokazywać, sam na to dał radę i zezwolenie... A ciężką jest złożony niemocą ten najdroższy polski człowiek...

— E, jak im ta ten *Gospodarz* wtedy wypalił, to my wszyscy zrozumieli. Na żadnej masówce tak nie palili, jak ten *Gospodarz* palił!...

— No a szkoła?

— Ze szkołą strasznie ciężką mamy biedę. Ksiądz proboszcz precz burzy starych chłopów, żeby nam koniecznie tę izbę odebrały, gdzie teraz szkoła.

— Jakże to można odebrać?

— A takim to jest sposobem, że ta chałupa należy do jednego człowieka, który w kryminale siedział i teraz jest w Sybirze. Jego kobieta poszła w służbę do miasta, a grunt i izbę wydzierżawiła. Ten dzierżawca to samo nie jest w naszej wsi, tylko grunt obsiewa, a sam służy za fornała we dworze. To on tę izbę na szkołę wydzierżawił. Ksiądz proboszcz tego parobka wyszukał i tak go przecie zastraszył, jako w jego izbie dyabelskie *Światło* siedzi, że teraz tamten od chłopów do chłopów co niedziela lata i molestuje, aby mu pomogły *Światło* dyabelskie wyrzucić. A chłopów znowu ksiądz swoim porządkiem... Zaczął tak rok gadać, że kto do *Światła* przystąpi i podpisze się na członka, to już temsamem na to swój podpis kładzie, że będzie płacił wszystkie długie, jakie ta gdzie który światowiec robi, a nie będzie miał z czego oddać. Takie, prawili, są w tem *Świetle* ustawy, że za jednego, co długów narobi, wszystkie członki muszą płacić. Straszyl ludzi, żeby se zważyli, na jaką to okropną sprawę swoje podpisy kładą. Sfantują was, sprzedadzą, gadał, skoro tylko tam gdzieś który obieżyświat długów narobi, a mało to żydów w tem ich *Świetle*!

Ale się ludzie opatrzyli bez ten rok, że to było troszeczkę zełgane, więc i tę szkołę naszą jakniebądź cierpią. A i teraz takie różności potrafi zmyślać, co drugiemu człowiekowi aniby we śnie nie powstały...

— Ten wasz proboszcz pewnie już musi być kanonikiem, albo i zgola dziekanem?

— Nie wiem ja tego, ale zdaje mi się, że mu chyba nie dadzą takiego urzędu...

— A patrzy mu się! Nie bylejaka to głowa. Światły duszpasterz.

Poświstywał pan Ryzio nieudolnie z tej racji, że mu wargi na nie zmroziło. Rozglądał się. A nie wesoly i nie piękny miał pejzaż przed oczyma. Pustka. Pniaki po lesie wyciętym, rude role. Daleko, daleko pas nieużytków. Posępek ziemi polskiej dookoła. Oto rozdół, w nim wioska — parcelówka. Chałupięta ze starych stodoł, białawą gliną pomażgane, strzechy ze słomy. Obóreczki, chlewki, studzienka. Nuda żywota przyziemnego czai się za zmurszałymi węglami, kuca na stosach nawozu, okienkami wygląda. Zdala, postrzegłszy furmankę, chłopię ku drodze wybiegło. Pies-burek za niem. Czapa na tym smyku ojcowska, jako też i buciory. Nie widzi nic w polach, tylko obłoki i role, obłoki i role...

— Nie daj księżulu, *Światła* zakładać, dołoż wysiłku, a nie daj! — świszcze pan Ryzio, śmiejąc się dyabelsko do swoich przewrotnych myśli.

Już wreszcie i Zagaje widać. Pora, bo podróżnikowi jęzor kołem stanął, a kapka u nosa w stalaktyt się zmieniać zaczęła. Wbiegły szkapki między obcięte kudłaczę wierzbisk. Już też na drodze i sam Staś Walczak czeka.

— Powitać prezesa! — wykrzykuje pan Ryzio skołowaciałym językiem. — A czy też prezes wypadkiem szklanki herbaty?...

Prezes Walczak, młody pszczeliniak, pół chłop, pół jakiś inteligent w kurcie z grubego sukna, ale już w przypinanym kołnierzyku (*sic!*) i w butach z wyglancowanymi cholewami. Językiem mówi poprawnym, a takie nim myśli wyraża, że nie, tylko z dziesięciu ambon piętnować.

— Herbaty?... — zatroskał się niepomału. A wysiadajcież! Zaraz się to zrobi!

Chaty zachodzą jedna drugiej drogę. Między nimi bajora jak się patrzy, rodzimy trakt. Wykonawszy kilkanaście szalonych skoków nad gnojówkami, wkroczył prelegent przez wysoki próg do czytelní, umieścił ze złości swe instrumenty i z rozkoszą zasiadł w naszym sarmackim zaduchu. Ciepło go rozprążyło i rozradowało.

Czytelnia! Portret starego wieszczą! Krzywa szafa nabyta od Judki, niegdyś serwantka na kieliszki i flaszki, obecnie spadła z etatu, dźwiga na półkach stopy książek.

Ściskając w zgrabiałych dłoniach szklanicę bardzo „tęgiej arbaty“, przepowiadał sobie pan Ryzio mądrości, które za chwilę miał ze siebie wydębiać. Do izby poczęła ściągać publiczność: młodzież, dziewczęta. Rozpinano na dworze prześcieradło do rzucania obrazów. Walczak się przysiadł:

— Strasznie mamy książek do czytania mało!

— Gdzie! Biblioteczka, jak widzę, wcale spora.

— Ale same książki przestarzałe, gawędy z morałami. Przeróbki i przeróbki! Jak dla głuptasów, albo dla dzieci. Żebyście to nam wskazali tytuły książek takich, żeby to można było duszkciem czytać. Różne, żeby niby zachwycające, — żeby się połykało. Przecież są takie książki?

— A ba! Oczywiście! Rozumie się! Ja wam tytuły wymienię tylko odtaję.

A odtajawszy, odwalił pan Ryzio odczyt ku ogólnemu aplauzowi chłopstwa zgromadzonego. Obrazy, ukazujące się na ekranie, wzbudziły taki zachwyt, że podobna cisza panowała w Zagaju chyba przed gradobiciem.

Nawet stare chłopiska, obrosłe brudem, kudłate, podejrzliwe i gotowe do kłonicy (narodowi demokraci), gapiły się gapieniem niezmiernem na owe cuda.

Ułagodziło ich dzikie, podszczone umiejętnie, zatrutowane podszeptami dusze ciche a wiekuiste grottgerowskie prześnienie mogilnej doli.

Po skończeniu odczytu długo pan Ryzio rajcował w czytelní z młodymi przyjaciółmi, jakieby to zaprenumerować pisma, żeby było bez inteligentkich wymyślań, a żeby było pismo ostre, jak kosa, prawe, miłujące, wyraźne dla młodych inteligentnych chłopów.

— Bo, — wykrzykiwali jeden przez drugiego, — nie rozumiemy tych wymysłów! I nie chcemy czytać wymyślań. Jak tylko z wymyślaniem, to już na nie! Nie chcemy! Ci na tych, tamci na innych psy wieszają, szczują na się, od ostatnich się zwołują, jak kłótlive baby, a nama to każą czytać i jeszcze za to płacić. I jak my to mamy wyrozumieć, o co się swarzą? My chcemy takiego pisma, żeby się nie żarło z nikim. Niech plunie na tych, co na nie szczekają i niech nam mówi wprost samą najrzetelniejszą prawdę, choćby ta i ostra była prawda, jak brzytwa. Krótko, jasno, tak i tak, bo my na te, psia ich, sobaczenia się, czasu nie mamy!

Pan Ryzio przyrzekł solennie, że namyśli się głęboko nad wyborem tytułu takiego pisma, że on im napewno, napewno takie pismo....

O późnej nocy siadł na wasąg, niosąc na łonie latarnię (w prawicy soczewkę, w lewicy pudełko z kliszami). Przysiadł się z boku na drabinie „prezes“ Walczak i doprowadził go sztuczek drogi. Głównie mu jeszcze chodziło o teatr.

— Strach, — mówił, — jak ludzie pożądamy takiego teatru! Ale co im tu grać? *Dziady*, — dobrze, ale żeby to coś z teraźniejszych czasów, żeby o tej męce — niedoli, o tem, co jest na świecie i żeby bez tej rozpacz. Bo teraz między nami, młodem włościąństwem, żadnej przecie rozpacz niema. Zachowaj Boże! Między nami, — gadał, — jest siła, chęć, śmiałość, męstwo, a tu het — precz, co jeno czytać — wszystko z rozpaczą. Czy niema takiego teatru, żeby był w sobie wielki, a żeby to lud od jednego razu pojął, że w tem jest prawda, istotna sprawa, sama rzecz?

— Jest jeszcze widzieć... *Lilla Weneda, Kordyan, Bolesław Śmiały*...

— Ady wiem! *Kordyan*! A dy przecie wiem. Ale kiedy to jeszcze i jeszcze nie to. Toć przecie człek samby to napisał, żeby tak, jak nie umie, pisać umiał! Przecie radosne życie dookoła! Jak my se tu na własną rękę urządzamy chłopski wykład z pokazem, rolniczy, to dookoła nas tłum chłopców ze wszystkich wiosek okolicznych. To się wszystko pali do światła, do nauki. Z nami, z młodymi chłopami, co już nie chcemy tego, psiakrew, chłopstwa, co się siepiemy z chamstwem, co chcemy być obywatelami polskimi, świat może stanąć. W naszych rękach będzie ten świat, żeby tam kije z nieba leciały! Bo my se zwolna, zwolna wszystko rozważymy, a spamiętamy. Nie zapomnimy nie! Ale musimy mieć od waju, od inteligenckiego proletaryatu narzędzie i sposób. Musicie nam dać teatr o tych kałużach krwi, o woli świętej i ponocnem wzdychaniu ziemi.

— Czekajcie, czekajcie! — wszystko to będzie... Tylko przecie nie odrazu Kraków zbudowano... Czekajcie...

— No, czekamy!

Zeskoczył z wozu i ze słowem pożegnania znikł w nocy.

Jechał pan Ryzio przez czas pewien uroczyście, postępując na wybojach. Aż nagle wściekłość go poczęła rozdzierać. Pięścią, uzbrojoną w soczewkę począł wygrażać niewiadomo komu i wykrzykiwać w duchu:

— I cóż ty na to, bando gryziopiórów literackich, kawiarnianych wielkoludów? Gdzież są twoje książki, gdzież gazety, gdzież jest twoja sztuka? Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki — otóż i cała literatura, której nota bene dotychczasowa szlagonerya narodowa nie była warta i w setnej części nie rozumiała. Teraz kolej na zrozumienie, gdy lud olbrzymi we drzwi pięściami wali. Ale i ta sztuka jest dziełem czasu rozpacz. A gdzie jest nasz Plato, gdzie Arystofanes, gdzie Ajschylos, gdzie Boska Komedia, gdzie Don-Kichot, Raj utracony, gdzie Rabelais i Shelley? Gdzie jest nowa sztuka polska, sztuka siły, sztuka męstwa, sztuka dźwignia ojezyny od fundamentu i przyciesi, sztuka wiary mocniejszej nad śmierć, a miłująca swój sen do ostatniego tchu?

Podpatrujesz, gryziopiórze, przez dziurę od klucza, co w Europie filister dla rozrywki filistra z nicości wydłubał i przywozisz na te bajora, piachy i wydmy, żeby tutejszych filistrów i najgłupszych w Europie snobów ekscytować i bawić. Gdzież jest twój teatr? Zdażże egzamin przed swoim ludem, dramatopisarzu?

Znowu — *Dziady, Lilla Weneda, Kordyan, Wesele, Bolesław Śmiały*... A dalej co? A dalej jeszcze... *Guzik*.

Książki twoje gdzie, literacie? Gdzie jest, jaki ma tytuł ta książka, którą bym ja jutro posłał Walczakowi? Wymień ten tytuł, darmożjadzie! Co dasz zbudzonemu ludowi swemu, literaturo polska? Jego marzenie ocknęło twój romantyzm, bezcenną twoją wiosnę, jego dola tchnęła w złoty róg Wyspiańskiego...

Nie masz do wręczenia ludowi ani jednego tomu, ty „jedna z najbogatszych w Europie“!

Tako był w duchu pośród ciemności lubelskich pan Ryzio, gdy wracał z odczytu w domowe, proletaryackie pielesze.



TYTAN.

Zawiele Tytan miał siły,
zawiele mocy...
Gdyby wyprężył ramiona
w jasne niebiosą —
z ziemskich skał bryły
skrzyłyby w przestwór, jak rosa
zmiażdżone pyły...

Zadużo Tytan miał siły
i drżące serce...
Więc spał, w namiętnej rozterce
powalony, jak kawał bryły, —
a wielkie czyny
drzemały gdzieś w zapomnieniu,
w snów poniewierce...

Słabej podobne skierce
błyskawic zorze
były mu... Grzmotów drganie
w snach mu się zdało,
jak tęsknych pieśni granie...
Aż upadł piorun strzałą
wskroś w jego serce!...

Wstał z długiej snów niemocy.
I wnet w posadach
wstrząsła się ziemia... Kroczy
Tytan morderca,
straszny, bo pełen mocy
był i bez serca!...
Wstał... w przyszłość kroczy...

Rozkołysały się morza
z brzegu do brzegu...
w podniebnym górskim śniegu
skrzyła się zorza...
wulkany ziać poczęły
lawy płomienne...
On szedł w przestworza.

Ludzie padli w rozpacz
u gór podnóży...
Wskroś płyną krwawe strugi...
Tytan się nurza
w krwi... i smugi
purpury na niebiosach
krwawymi dłońmi znaczy...

Haes.

POLITYKA SŁOWIAŃSKA A SOCYALIŚCI POLSCY.

I.

Nie ulega wątpliwości, że jesteśmy Słowianami. Mówimy przecież językiem, który jest bardziej zbliżony do mowy Rusinów, Czechów, lub Rosyan, aniżeli do języka niemieckiego, francuskiego, czy też węgierskiego. Ale też łączność nasza z narodami słowiańskimi sprowadza się tylko do tego jednego faktu — do pokrewieństwa językowego z Rusinami, Chorwatami, Słoweńcami itd. Po za tem bowiem nic nie znajdziemy, co by nas bardziej łączyło ze Słowianami, niż z innymi narodami.

Wprawdzie niegdyś, za czasów zamierzchłych, ginących w pomroce dziejów, Słowiańszczyzna stanowiła jedność, z której dopiero powoli wyłaniały się z biegiem czasu poszczególne plemiona słowiańskie. Jednakże pamięć o tych czasach pra-słowiańskich w niczem się u nas nie zachowała i dowiedzieliśmy się o nich od uczonych filologów i historyków, którzy na podstawie żmudnych dociekań naukowych ustalili ten fakt, dla nas dziś tak samo obojętny, jak obojętną jest prawda, że niegdyś — jeszcze dawniej — wszystkie ludy aryjskie (a więc: Słowianie, Germanie, Italowie, Grecy itd.) stanowiły jedność.

Z biegiem wieków historia każdego z narodów słowiańskich potoczyła się odrębnym łożyskiem. Potworzyły się odrębne państwa słowiańskie, które żyły własnym życiem, przechodząc odrębne losów koleje, bardzo często zwalczając się wzajemnie. Polska i Ruś, Polska i Czechy, Polska i Rosya w ciągu przeszło tysiąca lat swych dziejów częściej walczyły ze sobą, aniżeli trwały w zgodnem pożyciu sąsiedzkim. Czechy zawojuowały były w swoim czasie znaczną część Polski zachodniej wraz z Krakowem, Polska podbiła przed wiekami Ruś, aż w końcu Rosya zagarnęła pod swe panowanie większą część i Polski i Rusi. Słowianie południowi zostali podbici przez Turcyę, część Słowian zachodnich podbili Niemcy, część Węgrzy, pod których panowanie przeszła z czasem i część Słowian południowych.

Losy historyczne narodów słowiańskich, jak widzimy, poszły drogami rozbieżnymi. Przeważna większość Słowian utraciła niezależność państwową, co musiało zatamować ich samodzielny rozwój narodowo-kulturalny. Najwcześniej postradali niepodległość Słowianie południowi, Rosyanie i Rusini, dlatego też życie ich narodowe uległo największemu uwsteczniению. Najazd turecki zgłębił Serbów i Bułgarów, cofając ich niemal w stan zupełnego barbarzyństwa. Trzysta lat niewoli tatarskiej pogrążyło Rosyan w otchłań upodlenia, którego ślady jeszcze dziś są widoczne. Ruś, ujarzmiona przez Polskę i zgębiona przez Tatarów, uległa w końcu przemocy Rosyi. Czechom nie udało się obronić niezależności wobec Niemiec, które północno-zachodnich Słowian nadelbiańskich i nadodrzańskich wytępiły zupełnie — ogniem i mieczem. Utrata niepodległości państwowej dla większości Słowian oznaczała zupełny zanik życia narodowo-kulturalnego. Nie dziw więc, że Polska, która przetrwała i nawałnicę tatarską i wściekłe zapędy Niemczyzny, stanęła pod względem cywilizacyjnym na czele wszystkich narodów słowiańskich i w wieku XVI i XVII ku niej zwracały się oczy wszystkich Słowian gnębionych.

Polska była podówczas jedyną potęgą polityczną w Słowiańszczyźnie — potęgą, groźną i dla gnębiących Słowian południowych Turków i dla Cesarstwa Niemieckiego. Kiedy Rosya, nawpół dzika, ciemna, przejęta duchem niewoli mongolskiej, dopiero przygotowywała się do przyszłych zaborczych wojen na południu i zachodzie, Polska już była siłą, pożądaną dla narodów jęczących w niewoli tureckiej. I te narody wierzyły, że Polska je wyswobodzi z „jarmza bisurmańskiego“.

Wówczas to i w Polsce żywo się zajmowano Słowianami, albowiem zrozumiano, że polityka „słowiańska“, zwrócona przeciwko Turkom, może w razie powodzenia dodać Polsce nowych blasków. Przypominano sobie o pobratymstwie ze Słowianami, o słowiańskim pochodzeniu Polaków, a poeci sławili królów polskich jako przyszłych zbawców Słowiańszczyzny, a zarazem Chrześcijaństwa.

II.

Losy zrzędziły, że Polska nie mogła sprostać swym zadaniom na południowym wschodzie. Wojny z Turcyą nie zakończyły się ostatecznem zwycięstwem nad muzułmańskimi gnębielami Słowian południowych. Wojny kozackie, spowodowane przez samowolę polskich „królewiat“ na Ukrainie, zadały cios dotkliwy potędze Polski i wywołały nagłe wzmocnienie się Rosyi. Z drugiej znów strony zwycięstwo pod Wiedniem, odniesione nad Turkami przez Sobieskiego, uratowało Austryę. Polska, chyląc się ku upadkowi, przestała być siłą przyciągającą dla Słowiańszczyzny. Natomiast coraz większego znaczenia pod tym względem nabierała Rosya, zwłaszcza od czasu, kiedy na początku XVIII stulecia zwróciła się przeciwko Turcyi i postanowiła opanować Morze Czarne.

Od upadku Polski, której przeważną część zagrabiła Rosya, ta ostatnia stała się jedynem niepodległym państwem słowiańskiem. Rosnąca wskutek ustawicznych grabieży na sąsiadach potęga mocarstwowa Rosyi zwróciła teraz ku niej oczy jęczących w jarzmie tureckiem Serbów i Bułgarów. Carat rozumiał, że zdobycie na Turcyi i przyłączenie do Rosyi ziem bułgarskich i serbskich znakomicieby się przyczyniło do dalszego wzrostu państwa, to też ani na chwilę nie spuszczał oka z „pobratymców“ bałkańskich.

Pierwotnie Rosya interesowała się wyłącznie tymi Słowianami bałkańskimi, gdyż ani w marzeniach nawet nie mogła się kusić o zagarnięcie Słowian zachodnich, podległych berłu Habsburgów. Na to jeszcze była za słaba. Zresztą Słowianie tureccy byli — w przeciwieństwie do Słowian zachodnich, katolików — prawosławnymi, a więc kulturalnie bliższymi Rosyanom. W trosce swej o Słowian bałkańskich Rosya występowała też przedewszystkiem jako orędowniczka współwcierców swoich, nie zaś współplemieńców.

Nie zrażając się niepowodzeniami, Rosya uparcie dążyła do zagarnięcia pod swe skrzydła Słowian południowych, potrzebnych jej do opanowania Morza Czarnego. Z biegiem czasu jednakże apetyty rządu rosyjskiego wzrastały i, pomimo całego swego wstrętu do katolicyzmu, carat począł zwracać baczniejszą uwagę i na Słowian zachodnich: Czechów, Słowaków itd. To interesowanie się Słowianami austriacko-węgierskimi przybrało znaczniejsze rozmiary zwłaszcza w połowie XIX stulecia, kiedy tak zwane „odrodzenie słowiańskie“ stało się faktem dokonany.

Jak już wiemy, z utratą niepodległości państwowej u narodów słowiańskich zanikło prawie zupełnie ich odrębne życie kulturalno-narodowe. Tak zwane „wyższe“ warstwy narodu podbitego wynaradawiały się, niemcząc się, polsząc (u Rusinów), madjaryzując się lub wreszcie turecząc się. Masy ludowe, pozbawione oświaty, a więc i świadomości narodowej, żyły w jarzmie niewoli pańszczyźnianej, o niczem po za swoją nędzą nie wiedząc. Otóż pod wpływem idei demokratycznych Wielkiej Rewolucyi francuskiej rozpoczął się ruch na korzyść mas pracujących, który doprowadził do zniesienia pańszczyzny. Jednocześnie, pod wpływem tychże idei objawiała się dążność do zapewnienia masom ludowym oświaty. Ponieważ zaś oświatę można szerzyć skutecznie tylko w języku rodowitym ludu, więc zjawiały się grupki inteligentów, powracających do narodowości ludu, z którego wyszły, zrzucających z siebie obcą powłokę i, szerząc oświatę wśród mas w ich języku, budzących w nich świadomość narodową. Tą drogą „odradzali się“ Czesi i Chorwaci, Słoweńcy i Rusini, jak również i Polacy na Śląsku.

W miarę mnożenia się liczebnego inteligencyi narodowej, w miarę podnoszenia się poziomu świadomości narodowej mas, odradzająca się narodowość wysuwała coraz to nowe żądania w dziedzinie szkolnictwa, uwzględniania praw języka ludowego w urzędach i sądach itd. Walka z żywiołem panującym, który traktował te żądania jako uroszczenia natrętne, rozbudzała chęć coraz dalej idących zdobyczy. I oto widzimy, jak w obrębie Austro-Węgier powstaje cały szereg narodowych kwestyj słowiańskich, których jeszcze w początkach w. XIX nie znano. Kwestya czeska, chorwacka, słoweńska, rusińska, słowacka, serbska — wszystko to są kwestye, wyłonione przez t. zw. „odrodzenie“ słowiańskie.

Rosya nie omieszczała skorzystać z tego ruchu narodowego Słowian austriackich i węgierskich. Agenci rządu carskiego zjeżdżali do krajów słowiańskich i wyzyskiwali bardzo umiejętnie ciężkie położenie walczących o swe prawa ludów. Nie żałując pieniędzy na propagandę rusofilską, rząd carski wpajał w Słowian austriackich i węgierskich przekonanie, że jedynym zbawieniem jest dla nich Rosya, że wcześniej czy później „biały car“ rosyjski wkroczy ze swemi wojskami i oswobodzi Słowian, jarzmionych przez Austriaków i Madjarów.

Propaganda ta była prowadzona z wielką energią i nie pozostała bez skutku. Do skuteczności jej przyczynił się i ten fakt, że Rosya istotnie walczyła z Turcyą o oswobodzenie Serbów i Bułgarów. Dyplomacya europejska nie dopuściła Rosyi do zagarnięcia pod panowanie caratu Słowian bałkańskich, o co Rosyi jedynie chodziło. Ale właśnie ten fakt Rosya umiała przedstawić jako dowód swej bezinteresownej miłości do Słowian. Patrzcie — mówili agenci rosyjscy Czechom, Słowakom lub Chorwatom — Rosya uwalnia pobratymców, choć sama nic z tego nie ma.

W ten sposób carat przygotowywał sobie grunt do zaokrąglenia sobie swych posiadłości z zachodu i południa. Potęga mocarstwowa Rosyi oślepiała drobne ludy słowiańskie, które tak wierzyły w nią, że gotowe byłyby nawet pozbyć się swej samoistności, o którą walczyły z Niemcami i Węgrami, byleby się dostać pod berło „białego cara“.

III.

Rosya widziała, jak tęsknią do połączenia się z nią owe drobne i słabe jeszcze ludy słowiańskie, to też nie kryła się z zamiarami swymi względem Słowiańszczyzny. Panslawizm rosyjski wypisał na swym sztandarze hasła: „samowładztwo carskie, prawosławie i narodowość rosyjska“. Znaczyło to, że cała Słowiańszczyzna powinna się połączyć pod knutem samodzierżcy, przyjąć prawosławie i uznać język rosyjski za ogólno-słowiański, pozostawiając swe „narzecz“ miejscowe do prywatnego użytku domowego. I istotnie propaganda panslawistyczna, prowadzona przez agentów rosyjskich w Austrii i na Węgrzech, posiadała charakter szerzenia prawosławia i rusyfikacji na tle carostwa. Na Rusi galicyjskiej i węgierskiej agentom panslawistycznym udało się pozyskać znaczną część inteligencyi rusińskiej, z której utworzyło się stronnictwo moskalofilskie, dążące do zlania Rusi z Rosyą pod względem politycznym, narodowym i wyznaniowym.

Jakkolwiek propaganda panslawistyczna wśród Słowian była prowadzona przez Rosyę z dużym nakładem energii i środków pieniężnych, jakkolwiek Rosyi carskiej udało się zaszczepić słowiańskiej opinii publicznej jad carostwa, to jednak nigdzie, po za Rusią galicyjską i węgierską, nie powstała poważniejsza grupa, któraby się chciała wyrzec własnej narodowości i przyjąć rosyjską. Obałamucone przez agentów panslawistycznych ludy słowiańskie wierzyły w Rosyę, nie wątpiły, że ona je oswobodzi, ale pozbywać się własnej narodowości bynajmniej nie myślały. Mało tego, w miarę rozwijania się świadomości narodowej wśród mas ludności słowiańskiej, ludy te zdobywały coraz więcej ustępstw w dziedzinie praw narodowych. W miarę tego, jak w Austrii ugruntowywał się ustrój konstytucyjny,

ludy słowiańskie zdobywały coraz mocniejszą podstawę rozwoju narodowego. Literatury narodowe: czeska, chorwacka, słoweńska itd. doszły do wielkiego rozwoju. Wskutek tego mrzonki panslawistów rosyjskich o rusyfikacji dobrowolnej ludów słowiańskich straciły grunt. Ludy słowiańskie chętnieby powitały oswo-bodzające je wojska rosyjskie, ale na rusyfikację by się za nic nie zgodziły.

Uzyskując możność utrwalenia bytu narodowego w obrębie Austrii, narody słowiańskie coraz mniej potrzebowały Rosyi, to też mogły zapatrywać się na panu-jące w niej stosunki bardziej krytycznie. Kiedy wśród Czechów, Chorwatów itd. powstały prądy radykalnie-postępowe, a zwłaszcza socyalistyczne, wiara w Rosyę „oswobodicielkę“ zaczęła zanikać. Powstawała natomiast wielka nieufność do ustroju samowładczego caratu. Pomimo usiłowań zaprzędanej Rosyi prasy pansla-wistycznej, narody słowiańskie dowiadywały się o strasznych prześladowaniach Słowian-Polaków przez „słowiański“ rząd rosyjski i nieufność do Rosyi wzrastała.

Jednocześnie i w Rosyi kierunek panslawistyczny podupadał. Po ostatniej wojnie rosyjsko-tureckiej (1877—1878) panslawiści rosyjscy zobaczyli, że nie przy-niosła ona caratowi żadnych zdobyczy. Oswobodzeni przez Rosyę Bułgarzy, zamiast rzucić się w objęcia Rosyi i dobrowolnie zrusyfikować się, wyteżyli energię w kie-runku utrwalenia swej niepodległości politycznej i niezależności narodowej. Musiało to zniechęcić rząd rosyjski do popierania agitacji panslawistycznej, tem bardziej, że jego uwaga skierowała się teraz na Wschód azyatycki — ku Mandżuryi, Mon-golii, Korei. Tam przerzucono środek ciężkości polityki zagranicznej caratu i agi-tacji panslawistycznej zaniedbano. Tylko podupadłe „Słowiańskie towarzystwa dobroczynności“, istniejące w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, prowadziły w dal-szym ciągu propagandę carosławia, prawosławia i rusyfikacji wśród Słowian austriackich i węgierskich, ale z bardzo słabymi rezultatami, bo i pomoc pienię-żną rządu carskiego, zaangażowanego gdzieindziej, bardzo osłabła.

Aż w końcu dojrzały owoce polityki wschodnio-azyatyckiej Rosyi. Niepo-skromiona zaboreczność caratu zgotowała mu klęskę straszliwą. Zwycięska Japonia zdruzgotała siłę militarną Rosyi, zniszczyła cały urok jej potęgi mocarstwowej i na długie lata unicestwiła wszelką politykę zaborczą Rosyi na wschodzie azya-tyckim. Wojna japońska obnażyła cały bezmiar wewnętrznej zgnilizny państwa rosyjskiego i popchnęła je w kierunku rozkładu. I oto, po bankructwie polityki wschodnio-azyatyckiej widzimy w Rosyi zwrot ponowny do agitacji panslawisty-cznej, zdawałoby się już oddawna pogrzebanej. W odrodzonym panslawizmie nacyo-naliści rosyjscy szukają ratunku dla Rosyi. Straciwszy nadzieję na możność współ-zawodniczenia z Japonią nad Oceanem Spokojnym, nacyonalizm rosyjski szuka żeru i odszkodowania za straty na Dalekim Wschodzie — na terytorym Słowiańszczyzny.

Takie jest pochodzenie owej odrodzonej polityki słowiańskiej, którą upra-wiają obecnie nacyonalści rosyjscy wszelkiego rodzaju przy pomocy agentów rosyjskich — rozmaitych Kramarzów, Hribarów, Hlibowickich itd.

IV.

Ma się rozumieć, że obecnie polityka panslawistyczna Rosyi nie może posia-dać tego charakteru, jaki miała przed laty 50 lub 30. Dziś nie Słowianie potrze-bują Rosyi, lecz Rosya Słowian, to też niepodobna już wobec nich wyjeżdzać z „samowładztwem, prawosławiem i rusyfikacją“, bo to tylko odstręczyć ich może od Rosyi. Trzeba, przeciwnie, wmawiać w nich, że Rosya bynajmniej nie myśli o narzuceniu im ani języka rosyjskiego, ani wyznania prawosławnego, ani despo-tyzmu carskiego. To też do roboty panslawistycznej zabrały się żywioły nie skom-promitowane ścisłymi stosunkami z osławionymi „Słowiańskimi towarzystwami dobroczynności“ — żywioły umiarkowanie reakcyjne i umiarkowanie liberalne, lecz w gruncie rzeczy jednakowo nacyonalistyczne.



STEINLEN.

STREJK.

Jednakże, chcąc odrodzić politykę panslawistyczną Rosyi na nowych podstawach, nacyonaliści rosyjscy napotkali na samym wstępie szkopał bardzo poważny, mieszący im szyki. Szkopułem tym jest kwestya polska. Dziś narody słowiańskie tak są politycznie uświadomione, że niepodobna im już mydlić oczu „miłością“ Rosyi do Słowiańszczyzny, kiedy jednocześnie Rosya gnębi w straszliwy sposób swój zabór Polski. Bez pozyskania Polaków niepodobna dziś już uprawiać polityki panslawistycznej. Trzeba więc było pozyskać jakąkolwiek grupę polityków polskich, któraby chciała poprzeć odrodzony panslawizm rosyjski. I tacy politycy polscy znaleźli się w postaci narodowych demokratów z panem Romanem Dmowskim na czele.

Zupełne bankructwo dotychczasowej polityki narodowych demokratów w zaborze rosyjskim popycha ich na drogę ugody z rządem i partjami rząd ten popierającemi. Wznowienie polityki panslawistycznej stanowi zbyt dogodny pretekst do rozpoczęcia akcji ugodowej, aby narodowi demokraci nie chcieli z niego skorzystać. Ażeby zaś pozyskać dla tej akcji opinię publiczną, narodowi demokraci kłamliwie wmawiają wszystkim, że polityka słowiańska Rosyi skieruje się przeciwko Niemcom, ponieważ zaś niebezpieczeństwo niemieckie jest największem niebezpieczeństwem dla narodu polskiego, przeto trzeba wziąć udział w polityce „słowiańskiej“ Rosyi „bez zastrzeżeń“. I opinia publiczna w Polsce daje się tumażyć taką propagandą, ułatwiając ugodowcom prowadzenie polityki, szkodliwej dla społeczeństwa polskiego i korzystnej dla interesów caratu, pozostającego w najczulszej przyjaźni z Niemcami.

Ale proletaryat polski, ale socjaliści polscy nie dadzą się omamić obłudnej propagandzie panslawistycznej, prowadzonej pod jakimkolwiek bądź hasłem. Rozumieją oni bowiem, że:

1. Żadna specjalna „solidarność słowiańska“ nie istnieje, ponieważ interesy polityczne poszczególnych narodów słowiańskich są dziś rozbieżne. Dość przytoczyć fakt, że „słowiańska“ Rosya gnębi „słowiańską“ Polskę i odmawia wszelkich praw rozwoju „słowiańskiej“ Ukrainie; że dalej między Słowianami-Polakami a Słowianami-Rusinami — z jednej strony, zaś Słowianami-Czechami a Słowianami-Polakami — z drugiej, panuje zatarg stale się potęgujący; że wreszcie Słowianie-Serbowie nienawidzą się serdecznie ze Słowianami-Chorwatami i Słowianami-Bułgarami.

2. Żadnego „wspólnego wroga“ Słowian nie ma. Bo dla Polaków takim wrogiem jest przede wszystkim Rosya, zupełnie nieszkodliwa dziś dla Czechów, Chorwatów lub Słoweńców; dla Czechów i dla Polaków w zaborze pruskim niebezpieczną jest germanizacya, gdy ani dla Rusinów-Ukraińców, ani dla Serbów lub Bułgarów niebezpieczeństwo germanizacyi wcale nie jest groźnem.

3. Polityka panslawistyczna jest potrzebna przede wszystkim Rosyi, która po nieudaniu się grabieży na Dalekim Wschodzie, chce znowu przygotowywać podboje na zachodzie, oraz tym reakcyjnym partjom burżuazyjnym, które tą drogą chcą wzmacnić swój wpływ w społeczeństwie.

4. Istnieje solidarność międzynarodowa wszystkich wyzyskiwanych i gnębiobionych bez różnicy rasy, a więc tak samo Słowian, jak i nie Słowian. Solidarność ta jest szerszą od solidarności słowiańskiej, bo obejmuje świat cały. Jednocześnie jest ona oparta na realnych interesach olbrzymiej większości w każdym narodzie, gdy fantastyczna „solidarność słowiańska“ jest tylko środkiem politycznym w usługach caratu i garści polityków reakcyjnych.

Wszystko to nakazuje nam, socyalistom polskim, jaknajenergiczniej zwalczać „politykę słowiańską“, przeciwstawiając jej naszą politykę socyalistyczną, dążącą do zapewnienia każdemu narodowi zupełnej samodzielności i braterskiej łączności wszystkich ludów.

SZTUKA ŻYCIA.

Sztuka życia... — to słowo i to, co ono pierwotnie oznaczało, nie wyrosło na proletaryackim gruncie. Jednakże dla myślącego proletaryusza ma ono także sobie właściwą wartość.

Nazwa ta powstała w kołach burżuazyjnych, i to w kołach ludzi sytych, bardzo obficie szczęściem uposażonych, którzy zaczynają się lękać tego zbytku używania, jako czegoś, co ich wkońcu zgniecie i zdusi. W takiej to „biedzie“ gorliwie poszukują sposobu takiego urządzenia sobie życia, aby wśród otaczającej ich możliwości używania, właściwą miarę zachować. Dla nich więc sztuka życia oznacza umiejętność prowadzenia życia możliwie najprzyjemniejszego, urozmaiconego i zarazem podniosłego duchowo — a przytem zachowania ciała i umysłu w świeżości i zdrowiu.

W tem rozumieniu niema naturalnie dla proletaryusza słowo to żadnego znaczenia ani wartości. Jego życie dotychczas jeszcze bynajmniej nie jest „utrudnione“ przez przyjemności i możliwość jakiegokolwiek użycia. Dla niego życie nie jest bynajmniej przyjemnością i użyciem, ale raczej ciężarem i niebezpieczeństwem. I dlatego, jeśli słowo: sztuka życia — ma także i dla niego mieć sens i treść, to musi ona oznaczać tylko umiejętność jak najskuteczniejszego i najłatwiejszego przezwyciężenia trudności i braków w swem życiu, bez uszczerbku dla ciała i ducha. Dla proletaryusza dzisiejszych czasów oznacza więc sztuka życia zdolność pozostawania, mimo wciąż nowych trosk i niebezpieczeństw — wewnętrznie spokojnym, silnym, pewnym siebie, wesołym i przedsiębiorczym.

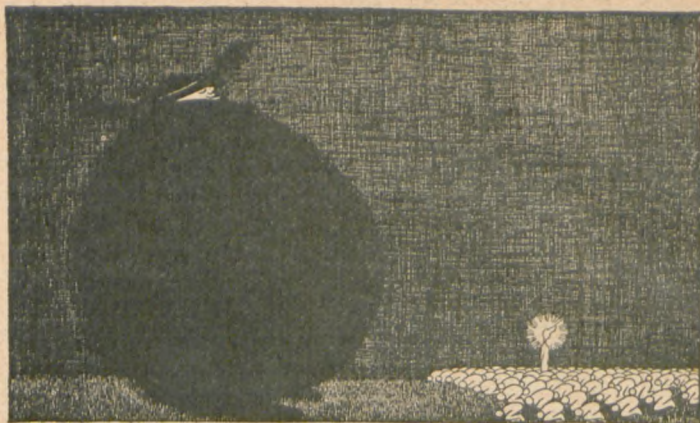
Taka sztuka życia jest dla proletaryusza wprost koniecznością życiową. Jest mu ona potrzebniejszą, niż burżujowi jego sztuka życia. Bez niej znalazłby się proletaryusz w niebezpieczeństwie spadnięcia z tego szczybla kultury, na który się wraz ze swą klasą po ciężkich walkach wzniósł. A w każdym razie, bez tej sztuki życiowej znacznie prędzej utraciłby odporność wobec niewyczerpanych trosk i trudności życia, niż z nią. A wtedy czeka go już tylko istnienie pełne zwątpienia i gorczy.

Na czemże więc polega proletaryacka sztuka życia? Co jest jej treścią i jej nauką?

Pierwszem, czego ona wymaga, jest, aby każdy zdrowy proletaryusz i proletaryuszka przyjmowali mężnie tę walkę życiową, jaka jest ich losem i udziałem. Celem burżuazyjnej umiejętności życia jest możliwe uniknięcie twardej walki życiowej — celem proletaryusza, przeciwnie, jest szukanie tej walki i przewalczenia życia, aż do końca. Sztuka życiowa jest więc dla proletaryusza przedewszystkiem walką życiową. Jeśli się od tej walki usunie, to popadnie natychmiast w zależność od swego przeciwnika klasowego, od przedsiębiorcy, przeciw któremu właśnie przeważnie skierowuje się ostrze tej walki, ze strony którego wypływają główne trudności i przeszkody w jego życiu. Jest więc wówczas zmuszony u tego przeciwnika szukać pomocy, ochrony, środków — zdając się na jego łaskę i niełaskę. W tym celu musi mu podchlebiać, musi wobec niego milczeć i zapierać się swego prawdziwego światopoglądu, jaki mu jego klasowe stanowisko dyktuje. Zamiast sprzedawać mu tylko swą siłę roboczą — co jest jedynie godnem proletaryusza — on musi mu zarazem i siebie całego sprzedać. W ten sposób traci on jedyne, co posiada, tj. samego siebie, i swą wewnętrzną, prawą, proletaryacką właściwość. Przestaje być proletaryuszem, ale wcale nie zostaje przez to burżujem. W klasie burżuazyi jest on w najlepszym razie tylko cierpiący, zostaje zawsze tylko przybłądą, znajdzie się więc tak, jak trzcina na wietrze, bez podpory, chwiejna, łatwa

do wyrwania. — I jeżeli w niektórych razach, wcale nie zawsze — będzie mu się materyalnie cokolwiek lepiej działo, niż innym, to jednak wewnętrznie będzie się czuł tembardziej nieszczęśliwym. Gdyż będzie on opuszczonym i pogardzanym na wszystkie strony, i dlatego, choć zabezpieczony od walki życiowej, będzie się czuł wykolejonym, niespokojnym, smutnym. Przeciwnie, walczący proletaryusz, pomimo ciężkiej walki, ba, przez tę walkę właśnie, czuje się wewnętrznie szczęśliwym. On nie łamie się, nie pochyla się, ani przed ludźmi, ani przed okolicznościami, ani wobec trosk, strat, braków. On wie, że to jest los proletaryusza. A zadaniem proletaryusza jest, ciągle nowe drogi wynajdywać dla dalszego wznoszenia się w rozwoju. On nigdy nie sprzedaje siebie, tylko towar, który posiada, tj. swą siłę roboczą. Nawet tę sprzedaż kształtuje on w walkę o nią samą. Przy każdym strejku i lokaucie występuje to wyraźnie. Toż samo odnosi się do choroby, bezrobocia, traktowania przez społeczeństwo. Chorobie przeciwstawia on nieustraszoną odporność, bezrobociu śmiały pogląd na ekonomiczną zależność wypadków, złemu traktowaniu z góry — dumę, która płynie z poznania wartości swej klasy. I tak, walcząc i przeciwstawiając się różnym trudnościom, hartuje on swe siły, wzmacnia swą świadomość, zostaje wiernym sobie samemu, zachowuje swą odrębność, i wywalcza sobie szacunek najlepszych ludzi swej epoki i wszystkich stanów. Staje się wyrazicielem obyczajowych ideałów ludzkości, i w tem poczuciu staje się świadomym swej wartości wewnętrznej. A takie poczucie stwarza najwyższą i najżywszą radość życia. I w ten sposób jego walka życiowa, którą mu narzuca jego proletaryacka sztuka życia, staje się prawdziwym szczęściem jego życia.

Drugim warunkiem tej umiejętności życiowej jest, aby proletaryusz utrzymywał jak najściślejszą łączność ze swymi towarzyszami klasowymi, tj. aby zachowywał klasową solidarność. Solidarność jest niezbędnym orężem w walce życiowej, o której poprzednio mówiliśmy, bez niej walka ta byłaby tylko bezcelowem dręczeniem się. Solidarność jest dla proletaryusza tem samem, czem dla kapitalisty jego kapitał — z jej pomocą może on zyskać potęgę, tak jak kapitalista ją zyskał przez swój kapitał. Stowarzyszenia zawodowe są tego dowodem: stają się one potężne i zwycięskie tylko i jedynie przez zasadę solidarności. Jednostka obecnie nie może absolutnie stawiać jakiegosż żądania co do płacy, co najwyżej prośbę. Walka cennikowa jednostki — sama ta myśl jest śmieszna. Dopiero walka wszystkich, masowo zorganizowanych, staje się groźną nawet dla potęg kapitalistycznych. Przytem każda zdobycz, każde powodzenie przypada każdej jednostce w całości i niepodzielnie — ofiary zaś i ryzyko, jakich takie walki wymagają, dzielą się równomiernie na wszystkich, zmniejszają się zatem tylekroć, ile głów liczy masa. Proletaryusz, walczący solidarnie z masą swych towarzyszy, ułatwia sobie życie w znacznym stopniu; a wcielając się przez solidarność w tę masę, traci poczucie swego osamotnienia, swej małości i słabości. On sam jest gromadą, gromada zaś — to on. Jej siłę odczuwa on jak swą własną, jej wolę — jak swoją, miliony jej rąk, jak swoje ręce, a jej zwycięski pochód jak potęgę, którą on sam posiada. Jestto więc wzmocnione poczucie swej wartości, a to daje szczęście w życiu.





Trzeciem wymaganiem sztuki życiowej proletaryusza jest staranne pielęgnowanie uczuć rodzinnych i miłego ogniska domowego. Przez tę wielką rodzinę, w jaką go wprowadza solidarność — znaczenie i wartość stosunków rodzinnych bynajmniej nie jest uszczuplone. Przeciwnie, stanowią one konieczne dopełnienie życia. Każdy człowiek jest przecie odrębną jednostką, a jako taki, maswój oryginalny

sposób życia, który wymaga pola dla swego rozwoju, pod groźbą zmarowania ducha jednostki. W masie panuje duch przeciętny, który mógłby przynieść indywidualność jednostek, i temu niebezpieczeństwu właśnie znakomicie przeciwdziała życie rodzinne. Gdyż rodzina, przynajmniej taka, która założoną została na podstawie wzajemnego przywiązania i duchowego pokrewieństwa obu stron — jest miejscem, gdzie nie różnie, jak w masie, lecz duchowo podobne do siebie jednostki, wspólnie żyją. Upodobania, przyzwyczajenia, skłonności i interesa w dobranej rodzinie idą w jednym zwykłym kierunku, przez co wzmacnia się odrębność członków danej rodziny. Następstwem tego jest znów wzmocnienie samopoczucia, które stanowi radość życiową. Rodzina jest przytem źródłem coraz to nowych radości z przybywania nowych towarzyszy walki i pracy. Rodzina jest miejscem nietykalmem, gdzie rodzice swe dzieci i wnuki cielesnie i duchowo sobie upodabniają, gdzie ich wychowują na świadomych proletaryuszy, towarzyszy, przyjaciół. Jestto pole dla agitacyi, pole codzien nowe, gdzie rodzice mogą swe doświadczenia życiowe i idee, jakim sami hołdują, wraz ze zdarzeniami z codziennego życia przelewać w serca i umysły młodych. I jakież może być wyższe szczęście życiowe ponad to, gdy ma się możność tych, którym się życie raz dało cielesne, płodzić powtórnie duchowo i kształtować według swych zasad życiowych?

Ale sztuka życiowa wymaga od proletaryusza więcej jeszcze. Ona żąda, aby także w mieszkaniu jego, w miejscu jego życia w rodzinie, było pielęgnowane piękno i harmonia. Wiemy dobrze, jak wyglądają domy, w których stłoczeni są proletaryusze. Wiemy także, że temu proletaryusze tylko w części są winni. Ale jednak są oni współwinnymi. Gdyż rzadko czynią oni wszystko, co mogą, aby to podstawowe wymaganie sztuki życiowej wypełnić. A mogą tu oni zrobić bardzo dużo. Nie obierajcie sobie pierwszej lepszej dzielnicy. Wyszukujcie mieszkania starannie, jak wyszukujecie swych przyjaciół, swe książki, swą pracę. Wprowadzajcie się tylko do domu, który wam się wyda najczystszy i najspokojniejszy; w którym zobaczycie proletaryuszy o czystym odzieniu, godnej zaufania twarzy i o spokojnym zachowaniu się. Niech słońce dom ten promieniami swemi oświecila. Zanim się wprowadzicie, wyrzućcie z mieszkania wszelakie tapety, a pomalujcie sobie ściany białą, wapienną farbą. Chrońcie wasze okna od tandety firankowej. Wieszajcie w nich proste, białe zasłony, bez frendzli i węzłów, na stary, skromny sposób. Odłamcie, jeśli tylko można, śmiało z mebli waszych wszelkie figurki, słupki, kulki, którą tandetny przemysł na nich bezmyślnie nakleił; kupcie, jeśli jeszcze czas po temu, całkiem proste sprzęty, z białego drzewa lub jednostajną farbą czerwoną, zieloną, niebieską lub białą pociągnięte. Wypędźcie precz wszelkie figurki, wazoniki, sztuczne kwiaty i bukiety, ramki do fotografii,

oleodruki, serwetki i pokrywy ze ścian, stołu i komody — postawcie za to jeden skromy, jednobarwny wazon z żywymi kwiatami, powieście na ścianach dwie lub trzy oryginalne litografie, i utrzymujcie jak największą w waszej izbie czystość. Zaprawdę, powiadam wam: takim jest mieszkanie, które, bez wydatków pieniężnych, jedynie godnem jest współczesnego, walczącego, prawego i świadomego proletaryusza! Ktokolwiek choć pół roku w tak urządzonem mieszkaniu żyć będzie, nigdy już nie będzie chciał powrócić do tego mdłego, banalnego naśladownictwa burżuazyjnej wystawności, które mu się dawniej pięknem zdawało. Bo tylko w takim mieszkaniu żyje duch porządku, prawdy i swobody. Codzień, co godzina przenika coś z tego otaczającego skromnego piękna do duszy proletaryusza, pobudza w nim do życia wszystkie szlachetne popędy i tworzy zeń pełnego człowieka. Uczucie szczęścia pozostaje mu zawsze bliskiem, mimo wszelkich trosk i walk życia, i zamienia przysgnębiające i niszczące ich wpływy na siły twórcze i uszlachetniające.

Tak działa i tworzy proletaryacka sztuka życiowa.

KAPITAŁ I PRACA.

Organizować się robotnicy mają nie tylko prawo, lecz jest to nawet ich obowiązkiem względem siebie samych, względem żony i dziecka, względem ich towarzyszy, względem całego społeczeństwa, aby tem zapobiedz, by ich w interesie pracodawcy, kapitału nie wyzyskiwano, zużywano; mają słuszość, jeżeli podnoszą pretensje na wykształcenie, wychowanie, na wszystkie legalne rozkosze życia.

Dr. CONTZEN („Kwestya socyalna“).

Przyłączenie się do organizacyi jest dla robotnika moralnym obowiązkiem, z pod którego nie śmie się on uchylić bez koniecznej potrzeby.

Profesor GIŻYCKI.

Praca jest dla człowieka obowiązkiem. Każdy człowiek winien pracować, a kto do pracy zdolny jest i nie pracuje, niema prawa do życia. W dzisiejszym świecie obowiązuje odwrotna zasada: Ciężko pracujący człowiek jest uciemniony, jest skazany na nędzę; a leń panuje i używa rozkoszy. Czy to tak nadal ma trwać? Czy lud pracujący wiecznie chce znosić jarzmo leniuchów? Czy chce? Bynajmniej! Czy wolno mu znosić jarzmo? Nie wolno! Nie wolno, jeżeli lud nie chce wyrzec się swych praw człowieczych, swej godności człowieczej i swego istnienia człowieczego. Ze szeregów robotniczych rozbrzmiewa już głos piorunny: „Śmierć nędzy i próżniactwu!“

WILHELM LIEBKNECHT („Sprawa ziemi i roli 1873“).

Założenie najmniejszego Kółka robotniczego będzie dla przyszłego historyka chwilą ważniejszą, niż dzień bitwy pod Sadową.

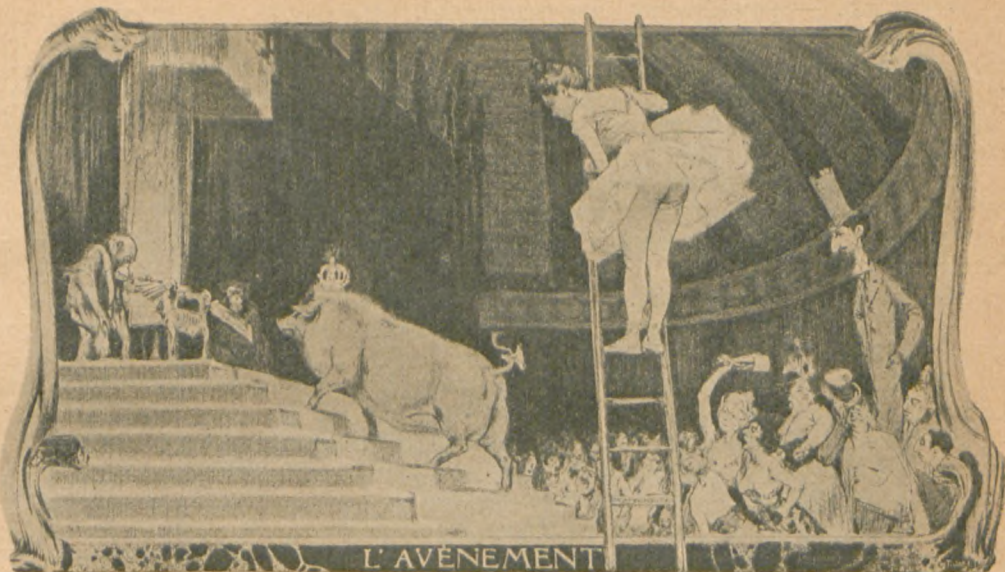
JACOBY.

Robotnik nie ma do stracenia nic prócz kajdan — do zdobycia ma cały świat.

MANIFEST KOMUNISTYCZNY.

Przypominam sobie doskonale, że gdym poraz pierwszy zajął się statystyką, książka wypadła mi z rąk ze zdziwienia na widok dowodów, jak nieznaczną garstkę stanowią w narodzie bogacze.

LASSALLE („Wypisy dla robotników“).



FRANCISZEK KUPKA.

KORONACJA.

ANDRIJ WERCHOWYNEC.

LIST MATKI.

— Matko! Feduniu! Iwanie! A chodźcież tu! Patrzcie ino, ile tu wojska idzie! Czy wojna jaka, czy co? Prędzejże! — krzyczało młode dziewczę, puszcza-
jąc konewkę do studni i biegnąc na ulicę. Matka z trzaskiem rzuciła tarlicę i sta-
nęła obok córki. Wybiegło też ze sadu dwoje dzieci z pełnemi pazuchami gruszek
i patrzyły, rozdziawiwszy gęby.

Przez wieś ciągnęła bateria artylerji polnej. Drży i tętni ziemia, huczą
ciężkie armaty, parskają konie, machając bujnymi ogonami i kiwając na wszystkie
strony łbami, jakby się kłaniały natrętnym owadom, które jak gęsty rój obsiadły
ich grzywy.

Jaki hardy marsz! Myślałby kto, że po sławnej bitwie. Patrz, jak poważnie
siedzi na koniu dowódca, jak pysznią się oficerzy! Jak zamasyżycie kołyszą się
na koniach „farkanonierzy“! Jakie surowe twarze tych żołnierzy, siedzących na
armatach!

Na drodze, w piasku, bawi się małe dziecko z takim zajęciem, że nie widzi
bliskiego pochodu. Już je od pierwszych koni zaledwie kilka kroków dzieli...
Chłopczyną rysuje ojcowskim cybuchem jakieś cudaczne figury na piasku... W porę
jeszcze wybiega z pobliskiej chaty przestraszona matka i chwytą dziecko na ręce.

Chłopczyk nadyma usta i wyrwa się z rąk matki, jak pstrąg z sieci. Wi-
docznie chciał mówić: „Nolite tangere circulos meos“, lecz zamiast tego szeplenił
ustawicznie: „Puście, puście, bo ukąsę!“ — i porywał się kasać matczyne palce.

— Bauern Mist! — krzyknął kapitan, mijając ich koniem.

— R-r-r-uh! — rozległa się komenda na przodzie.

Odezwała się trąbka.

— Ruht! — powtórzono dalej szeregami.

Znikła natychmiast powaga z ogorzałych twarzy. Zaczynają palić: jeden przez konia podaje zapalki swemu towarzyszowi, drugi dymi już „dramą“, trzeci wyciąga kapciuch i napycha fajkę, czwarty prosi o resztę cygara, inny łyka z „feldflaszy“ gorzałkę i częstuje swojego sąsiada. Niektórzy drzemia, ukołysani jazdą na armatach.

Brzmi wesoła, żołnierska piosenka. Zaludnia się wiejska ulica... Wszyscy zostawiają robotę i śpieszą na drogę; psy ujadają zawzięcie. Najliczniej cisną się dziewczęta i przysłaniając rękami oczy od słońca, przyglądają się żwawym żołnierzom.

A oni tego tylko pragną.

— Dziewczęta! — krzyczy wąsaty kanonier. — Czy nie macie wy kwoki na sprzedaż?

— Mamy, mamy, dla czegobyśmy nie mieli! — odpowiada mu wartko wiejska krasawica.

Nadjechała ostatnia armata. Jej „formajster“ Stefan Szerszeń smętnie jakoś rozgląda się dokoła, a nadkanonier Wencel Czapek wyśpiewuje czeskie piosnki i mruga na młodocy...

Minęli wieś. Bateria wyjechała na rozległe, pagórkowate pola. Którędy okiem rzucisz — żółcieje się ściernie, gdzieś tam tylko widać zielone badyle niewykopanych jeszcze ziemniaków.

Żołnierze rozśpiewali się na dobre:

„Turok pan, Turok pan, taj turecki pany

Wid zachodu sońcia, wid zachodu sońcia wijnu zaczynały“ — ciągną Rusini.

„W polu stać, w polu stać i w polu nocować

Choćby było mięso, choćby było mięso, niema w czym gotować“ — śpiewają Polacy.

„Das möchten unsere Kanonen beweisen,

Dass wir Artilleristen sein“ —

donosi wiatr słowa Niemców, hen od pierwszej armaty. Najbardziej drą się żołnierze z trzeciego roku, tak zwana „stara wojna“. Są to ich ostatnie manewry, ostatnie chwile wojkowego życia. Jutro rozejdą się na urlop.

— Panie formajster! — woła Czapek do Szerszenia. — Czegoś pan smutny? Czterdzieści ośm godzin do urlopu! Trza mieć kuraż, panie formajster!

Szerszeń uśmiechnął się z przymusem. Dobył z kieszeni list i począł z trudnością odczytywać:

„Najdroższy Szczepanie!

Dowiaduję się o twojem miłym zdrowiu i powrocie. Ja z łaski Pana Boga zdrowa i powodzi mi się, jak zazwyczaj koło gospodarstwa. Posyłam ci piątkę na drogę. Ach, gdybyś wiedział, jak cię oczekuję, jak liczę dni i godziny... Ta piątka, to za cielątko od łysej, bezrogiej. Boczystą, chwałabogu, odbiegała się. Stare świnię sprzedane, karmię ino dwoje prosiąt. Fedio Riantuchów, ten co mu w głowie popsuło się było, przysłał do Teśki Kryłatego; Hala Poriecznego wyszła za Hryćka Potocznego. Umarł stary Riabyna, ten co u nas na komornem mieszkał. Diak ciągle choruje i powiada, że jak do domu wrócisz, to ci diakostwo odda. Ciotczyna Marysia miała dziecko, Wasylka. Jewka Jazykatego, ta co cię raz okłamała, już także chwałabogu... Pozdrawia cię twoja Ofena. Już tak z tobą dziewczyna szaleje, że omal rozumu nie straci! Niema takiego dnia, aby się o ciebie nie dowiadywała. „Co tam — powiada — matko, słyhać o Szczepanie? Czy zdrowy? Ciężko mi żyć bez niego — powiada — ciężko, jak kamień gryźć. Dwa lata czekałam cierpliwie — powiada — ale teraz trudno! Matko! — powiada na

ostatku. — Ze soboty na niedzielę miałam brzydki sen. Idę ja niby z cerkwi — mówi — wtem patrzę: Szczepan! Ale taki wam smutny, że ażę strach! Wyciągnął do mnie rękę — mówi — a jego ręka krwawa! Chciałam krzyknąć i naraz obudziłam się. Na pierwszą Matkę dałam na mszę za jego zdrowie. Matko, czy nie do was nie pisał? — Nie, powiadam, i sama ledwie się od płaczu wstrzymuję. Tak żal mi dziewczki. Całkiem zmizerniała. Więcej nic nie mam do pisania, tylko cię pozdrawiam serdecznie i Panu Bogu oddaję. Powracaj w zdrowiu.

Twoja matka, *Nasta*.

Stefan schował list i zadumał się.

— Habt Acht! Batterie Tra-a-b! — zakomenderował kapitan.

Nie jeden senny zbudził się na armacie. Farkanonierzy „szpornują“ konie i wywijają butami. Konie wyciągają się. Ziemia dudni. Jedzie się ornem polem, pod górę. Ciężka droga. Ot-ot i góra. Konie dyszą, jak kowalskie miechy.

— Galo-o-p! — rozbrzmiewa komenda.

„Farkanonierzy“ tulą się do koni. Armatami podrzuca na brózdach tak, jak wózkiem dziecięcym. Lecą czapki po polu. Nie jeden rekrut zamknął w strachu oczy.

To się jedzie do linii bojowej.

Przyjechali.

Na dalekiem wzgórzu majaceją jakieś niewyraźne przedmioty. To „nieprzyjacielska“ artyleria.

Rozpoczął się obustronny ogień.

Huk armat wstrząsa powietrzem i ogłusza uszy.

Strzela się naturalnie prochem bez naboí.

Jak pszczoły koło swego ula, tak krzątają się żołnierze koło swoich armat. Huk dodaje im siły i ducha.

— Kuraż, chłopcy! — zachęca jeden drugiego. Armata Szerszenia ma dać wystrzał. Nabój już włożony, już Czapek naciągnął sznurek z „brandłą“, aby odpać.

Szerszeń poprawia patron, zatyka otwór i prędko, według przepisu, ma odskoczyć na bok, bo zawołano „Feuer“ — ale jakoś mu idzie niezręcznie. Wtem podochocony Czapek pociągnął za sznurek.

Rozległ się strzał, z otworu buchnął płomień, i Szerszeń runął na ziemię, jak podcięty dębecek. Powstało zamieszanie.

Wstrzymano ogień. Przypadł kapitan i rzucił się do Szerszenia. Ten leżał w brózdzie, z obliczem w niebo zwróconem, i jęczał. Całą twarz miał osmaloną. Brwi, rzęsy, wąsy dymiły się jeszcze. Prawą ręką wywijął młynka, ale to już nie była ludzka ręka. Wydarte żyły, kości, mięso — wyglądały raczej na korzeń młodego smreku, wyrwanego przez raptowną burzę. — Przybiegł na koniu i lekarz pułkowy. Oglądnął ranę i pokiwał głową.

— Życiu nic nie zagraża — uspakajał — oczy nie uszkodzone, brwi i rzęsy odrosną, ale rękę trzeba będzie koniecznie odciąć aż po łokieć.

Kazał zdjąć mundur i począł opatrywać rękę. Z poza koszuli Szerszenia wyleciał macezyn list i popędził za wiatrem światłami... To powiększyło jeszcze jego ból. Jęknął głucho i skreślił się nagle całem ciałem, jak robak, którego przypadkowo nadepce twardy but.



FRANCISZEK KUPKA.

ORDERY.

EDMUND LIBAŃSKI.

CZŁOWIEK I MASZYNA.

Jeśli uprzytomnimy sobie tryb życia i pracy, sposoby produkowania dóbr powszechnego zapotrzebowania współczesnych cywilizowanych społeczeństw — jeśli w umyśle naszym odtworzy się obraz potężnej pracy setek i tysięcy żelaznych organizmów — przedziwnie pomysłowych maszyn, oswabdzających żywą istotę ludzką od ciężkiej pracy fizycznej, to mimowoli zarysuje się w umyśle obraz o dziwnym rozdzwieku.

Oto przez wiek XIX i XX kroczy w wspaniałym tryumfie postęp techniki; gromadzą się dzieła geniuszów, badaczy i uczonych, szukających praw przyrody i mnożą usiłowania do ziszczenia najśmielszych marzeń, rozbrzmiewają hymny pochwalne i zachwyty dla cudów nowoczesnej techniki, nauczono się przesyłać słowa i myśli na setki i tysiąca mil w sposób dziwnie zagadkowy (telegraf bez drutu) — promienie Röntgena dają nam widzenie rzeczy niewidzialnych — mikroskop odsłania światy niedostrzegalne bakterii, rozszerzyło się poznanie świata i życia ludzkiego; mnożą się potrzeby i środki zaspakajania tych potrzeb tak materialnych jak i duchowych, a jednak idzie przez świat cały, głuchy, coraz bardziej rosnący pomruk niezadowolenia... szalona tęsknota do zmiany, do reformy... do innego lepszego bytowania.

Oto życie ludzkie, życie setek tysięcy, życie milionów wcisnął wiek XX w jęczmyk maszyn.

Maszyna, oswabdzająca od ciężkiej pracy, przykuła człowieka jak niewolnika, nie dla siebie wprawdzie, ale dla rozkwitu ustroju kapitalistycznego, pełni życia niewielu — a łączy miliony.

Maszyna — zysk z pracy maszyn i z armii niewolników maszyn — wziął górę nad wartością istoty ludzkiej.

I jeśli kilka wieków temu — przy wprowadzeniu maszyn na widownię produkcy — buntowały się tłumy robocze, nie rozróżniając, że to nie maszyna winna ich niedoli, lecz posiadacz tejże i uświęcony, chroniony przez państwo współczesne, system wyzysku pracy ludzkiej, to dziś możemy zauważyć ciekawe zjawisko, jak właśnie te „górne dziesięć tysięcy“, sfery estetyzujące, odwracające się od „nizin życia“, głoszą, iż maszyny zbrutalizowały życie ludzkie, niwecząc harmonię istnienia — zgodne patryarchalne pożycie wyzyskujących i wyzyskiwanych.

Bo maszyna w pełni znaczenia tego pojęcia — ten „zespół sztuczny“, wykonujący pracę, którą przedtem wykonywać musiała istota żyjąca — jest wcieleństwem rewolucyi ducha — znakiem buntu istoty myślącej i czującej...

Mówi wprost niejaki: Człowiecze, widzisz, czoło two zlewał pot rześisty od ranka do nocy, utrudziły się ramiona two i ległeś wieczorem jak kamień na posłaniu, a dzień każdy twój był dniem „woła roboczego“, pędzącego życie w zaprzęgu z krótkimi przerwami przy żłobie lub na barłogu... gdzież było twoje człowieczeństwo? Ja to spełniam bez znużenia — bez wypoczynku, bez myślenia, bez czucia — gdyś mi się jednak zaprzedał, nie jesteś człowiekiem, lecz bezmyślną maszyną...

I tę mowę słysząc, rozumieją „niewolnicy maszyn“ i dusza ludzka podnosi bunt! — nie tylko idzie tu o chleb, ale o światło, o człowieczeństwo.

Człowiek pragnie pracę swą kochać — jeśli każe mu być maszyną bezmyślną — nienawidzi jej i nienawidzi instynktownie siłę, która go zmusza do stłumienia swego człowieczeństwa.

I dlatego każdy czujący i widzący, jak ta siła, ten potworny bożek Mamona, „współczesny kapitalizm“ depce w człowieku to, co jest najczystsze i najświętsze w duszy, co rozwijać się winno i panować — pożądanie prawdy, dobra, piękna, sprawiedliwości; jak deprawuje i pana i niewolnika — z radością wita bunt duszy ludzkiej — każdy głos protestu, każdy objaw świadomości krzywdy i niesprawiedliwości — i bliską mu jest każda myśl i dążenie do „zaprowadzenia nowego ładu“.

Ten świat maszyn, przekształcający współczesne życie materialne, przekształca i życie duchowe ludzkości, ma on swoją potężną wartość materialną i siłę nieraz brutalną na usługach „kapitalizmu“, ma jednak i moc duchową, bo otwiera podwoje do nowych jaśniejszych dróg życia i wyprowadza na widownię dziejów olbrzymie zastępy dusz młodych, nieznudzonych, zapatrzonych w cudowne słońce promiennej przyszłości.

A ideały palą się na to w duszach ludzkich, by wcielały się w oporną rzeczywistość!

I oto wre bój!

A kto nie jest maszyną bezmyślną — i nie bezdusznym wołem roboczym — i nie zdeptały go brutalne szyderstwa życia, idzie z nami pogodnie na ten bój z szczęsną piosnką: „Będziemy razem pracowali i wspólnym będzie pracy plon“.

ZWIASTUN.

W kryształnej misie przestodką dań
Niosę wszechgodów zwiastunny duch,
Kraj mój: to dzika, samotna grań,
Gdzie wichry ciemne wołają: „wstań!
„Na wieczną radość, na życie — ruch“.

Ide, o moi, z zaświatów k'wam,
W przestworach mroźnych skąpany wid,
Sny czynów głodne drżą u mych bram,
Upojną życia pobudkę gram:
Że prawdą, szczęściem jest jeno: byt!

Cień, duszy męka — słodkie wśród Was,
Burz dzikich skowyt — czarowną grą,
Bo dusza szepce, jak nocą las:
„Już słońce wstaje — więc wstańcie wraz,
„Niech wściekle fale ku łądom prą!“

O! bierzcie misę. Milczycie?... strach?...
O! bierzcie misę — mnie dajcie krzyż!
Mękę swą dajcie: miałem ją w snach,
Gdy z Wami płakał, gdy m tęsknił w łzach,
Na krzyż mnie wnieście — nad gwiazdy
wzwyż!

DR. HENRYK KLUSZYŃSKI.

IDEAŁ SZKOŁY W NOWEJ GMINIE.

(ZE WSKAZAŃ SOCYALISTYCZNEJ POLITYKI GMINNEJ).

Socjalna demokracja ma do spełnienia na polu polityki gminnej ważne zadanie o wysokim znaczeniu kulturalnem. Ale może nigdzie tak jaskrawo nie występuje duch klasowości, jak w gospodarce gminnej. Burżuazyjna większość po miastach, a chłopska po wsiach o małym duchu i ciasnym instynkcie klasowym nie ma najmniejszego zrozumienia dla potrzeb czasu i nie czuje tętna społecznego życia.

Mimo reakcyjności ustawy wyborczej gminnej, mimo iście jezuickich sztuczek wyborczych, udało się poważnej liczbie reprezentantów socjalnej demokracji wejść do tych szalców mieszczańskiej i chłopskiej reakcji, by tworzyć podwaliny dla nowoczesnej polityki gminnej — polityki robotniczej — i torować drogę ideom socjalnym.

Błędne jest mniemanie, jakoby tylko w większych miastach można szerszą działalność rozwinąć na polu polityki gminnej. Łatwiej to wprowadzić przychodzi. Ale przecież i małe gminy mają przepełnione szkoły, głodne dzieci, biednych i chorych, oraz nędzę mieszkaniową. O rozwinieciu jakiejś działalności kulturalnej na wsi dotychczasowa gmina wcale nie myślała.

Najważniejszym zadaniem kulturalnem gminy, kraju i państwa, to szkoła ludowa. Tu tworzą się pierwsze podwaliny do przyszłego życia obywatelskiego, do przyszłej walki o byt. Wprowadzić szkoła życia jest najlepszą mistrzynią, ale będzie płodniejszą, im lepszą będzie szkoła. Ale dzisiejsza szkoła ludowa nie odpowiada zupełnie duchowi i potrzebom czasu. Wrażliwy mózg dziecięcy zapycha się przeżytemi formułami religijnymi i legendami historycznymi, aby tylko wytresować pobożnisiów, szowinistów i chwalców państwa klasowego.

Socjalna demokracja ma przeto przed sobą wielkie zadanie, aby dzisiejsze wychowanie szkolne do gruntu zmienić. Gmina tylko w ograniczonej mierze może wpłynąć na kierunek wychowania szkolnego, ale może istniejące zło powiększyć albo zmniejszyć. Zadaniem przeto socjalistycznych radców gminnych jest uzyskać znaczny wpływ w miejscowych komitetach szkolnych, nie dopuścić do większego sklerikalizowania szkół i starać się reakcyjne wpływy zmniejszać i usuwać. War-

stwy panujące nie chcą i nie życzą sobie wpływu socjalnej demokracji na szkołę, ale potrafimy i te wały zburzyć i uzyskać wpływ na wychowanie dzieci. Można zupełnie się zgodzić ze zdaniem prof. Mengera, że szkoła ludowa jest dziś instytucją policyjną, która ma bronić własności, uprzywilejowanych narodowości, partii politycznych rządzących w państwie, a nie ma młodzieży dostarczać wiedzy i prawdy. Środkiem, aby szkoła stała się instytucją policyjną, narzędziem klasy posiadającej jest obowiązkowa nauka religii i oddanie całego szkolnictwa pod wyłączny wpływ kleru.

Gminy wprowadzić nie mogą usunąć nauki religii ze szkół, gdyż państwo wprowadziło do nich obowiązek uczenia religii, ale reprezentanci socjalistyczni w wydziałach gminnych powinni zwrócić uwagę na zbędność nauki religii, na sprzeczność między tem, co uczy religia, a co żywe życie daje i żądać za pomocą uchwał jej zniesienia w szkołach ludowych, a wprowadzenia nauk przyrodniczych i higieny. Ale zaznaczyć należy, że religia z wolą rodziców może być udzielana przez kościół, ale nie przez szkołę i to w godzinie na ten cel wolnej od nauki szkolnej.

Nietylko jednak na wewnętrzną treść szkoły, na jej duchową i wychowawczą stronę winni zwrócić uwagę zastępcy socjalistyczni w gminach, ale również baczną winni zwracać uwagę na jej stronę higieniczną i zdrowotną. Przepelnienie w klasach szkolnych jest klęską fizyczną i wychowawczą dla dzieci i nauczycieli. O wydajnej nauce i to jeszcze z indywidualnem uwzględnieniem właściwości dziecka nie może być mowy. A są niestety klasy, które posiadają przeszło sto, a nawet 180 dzieci. A hygieniści zgodnie orzekli, że w klasie nie powinno przebywać więcej jak 30 a co najwyżej 40 dzieci. Jak daleko jeszcze do tego w naszych szkołach ludowych! W wielu gminach traktuje się często sprawę szkoły wyłącznie ze stanowiska finansowego i jak największych oszczędności. A na szkole nie wolno właśnie oszczędzać, a wydatek choćby największy stokrotnie się wraca, gdyż dobra szkoła przygotowuje nam młodzież dzielną, rozumną, krytyczną i zdolną do prowadzenia walki o wyzwolenie klasy pracującej.

Państwo wcale nie troszczy się o fizyczny rozwój dzieci szkolnych, opiekę nad ich zdrowiem zostawiło wyłącznie gminom. Gmina ma przeto wielki obowiązek wobec dzieci i rodziców. Dzieci są zmuszone kilka godzin dziennie przebywać w szkole, gmina jest przeto zobowiązana, by dzieci na zdrowiu nie poniosły żadnej szkody. Ale obok tego winna gmina zwrócić uwagę, czy dzieci fizycznie i umysłowo dorosły do wymagań nauki.

Przeto każda gmina powinna mieć lekarza szkolnego, który ma badać stan szkół, jakoteż fizyczny i umysłowy rozwój dzieci. Nauka lekarska stwierdziła bowiem, że choroby nosa, jak polipy, choroby migdałów, zębów, żołądka wpływać mogą bardzo ujemnie na zdolności dziecka, a z usunięciem choroby natychmiast się podnoszą. Powiększony migdał znajdujący się w przestrzeni nosowo-gardłowej przyczynia się z jednej strony do utrudnienia w oddychaniu, zmusza dziecko do oddychania otwartymi ustami, wpływa na pogorszenie słuchu, a z drugiej strony wpływa na zmniejszenie się inteligencji dziecka.

Po usunięciu tej choroby, z dziecka tępego i głupiego staje się rozumne i inteligentne i robi postępy w nauce. I wiele innych mamy chorób, które wpływają na ograniczenie zdolności dzieci szkolnych, co rozstrzygnąć może jedynie lekarz szkolny. Z ustanowieniem lekarzy szkolnych musi być równocześnie zaprowadzona bezpłatna opieka lekarska, by biedni rodzice mogli chore dziecko leczyć.

Ale polityka gminna w zakresie szkolnictwa przejęta duchem socjalistycznym nie powinna się ograniczać na stwierdzaniu chorób i na ich leczeniu, ale cała jej troska winna być zwrócona na to, by wychować zdrowiem tryskające pokolenie. Należy przeto urządzić kąpiele szkolne, stworzyć place do zabaw na otwartem polu i wybudować hale gimnastyczne.

Daremnie byśmy dziś szukali za temi bezsprzecznie ważnemi urządzeniami higienicznemi. Do takich „socyjalistycznych mrzonek“ nie zapalają się nasi domorośli politycy mieszczańscy lub chłopscy. Brak u nich dobrej woli i zrozumienia socjalno-politycznego nakłada tem większy obowiązek na zastępców socjalno-demokratycznych, aby te urządzenia w życie wprowadzić. Wydatki na ten cel stokrotnie się oprocentują. Co teraz gmina wyda, zaoszczędzi później na wsparciach dla ubogich.

Gmina powinna służyć zdrowiu dorastającej młodzieży. Urządzenia te higieniczne nie wystarczają jednak dla dzieci, obarczonych pewnemi chorobami, jak skrofulosa. Takie dzieci potrzebują pobytu w górach, wśród świerkowych lasów. Wakacje szkolne służą właśnie temu celowi, aby dzieci nauką szkolną zmęczone wypoczęły, a chore do zdrowia wróciły. W miastach staraniem prywatnej dobroczynności wysyła się takie chore dzieci w towarzystwie nauczyciela lub nauczycielki na kilkotygodniowy pobyt w górach i lasach. Są to tak zwane kolonie wakacyjne. Ale tylko bardzo ograniczona liczba dzieci korzysta z tej prywatnej dobroczynności, większość jest pozbawiona ożywczego działania górskiego powietrza. Gminy winny przeto zająć się losem takich chorych dzieci i własnym kosztem kolonie wakacyjne urządzić, musi sama uzupełnić to, czego prywatna dobroczynność spełnić nie może.

Dla dzieci chorych i słabowitych istnieją jeszcze specjalne szkoły w lasach. U nas w Austrii jeszcze ich nie zaprowadzono, ale w Niemczech istnieją już w kilku miejscowościach i okazały się nader praktyczne. W lesie ustawione są ławki szkolne, potrzebne przybory, dzieci wozami lub tramwajami przyjeżdżają i pod kierunkiem nauczyciela lub nauczycielki odbywa się nauka. Po każdej godzinie pauza, a po obiedzie dłuższy wypoczynek na leżakach. Resztę dnia spędzają dzieci na zabawie, zajmują się lekką pracą ogrodową i urządzają nie męczące spacer. Skutki takiej nauki okazały się wkrótce nader zbawienne. Dzieci chore, słabowite, blade, dostawały kolorów, przybierały na wadze, dzieci przedtem pozornie leniwe, mało pojętne, robiły prędkie i dobre postępy w nauce.

Do tego ideału u nas jeszcze daleko, zdrowie dziecka nie odgrywa u naszych nauczycieli żadnej roli, a rozkład nauki z niem wcale się nie liczy. Na Śląsku nauka szkolna rozpoczyna się o 9-tej rano a kończy się o 3-ciej lub czwartej, z przerwą godziną na obiad. Z powodu wielkiej odległości i krótkości czasu dzieci na obiad do domu nie idą, a suchy kawałek chleba jest zwykle lukullusową uczcią dla dziecka robotniczego. W porze letniej stosunki są jeszcze gorsze. Rozkład nauki w szkołach ludowych na wsi na Śląsku obliczony jest wyłącznie według pory potrzebnej do wypędzenia bydła na paszę. Bydło jest regulatorem nauki, a nie fizyczne warunki dziecka. To też w lecie odbywa się nauka wśród możliwie najgorszych warunków higienicznych, w porze zabijających upałów między 11-tą a 4-tą popołudniu. Sami nauczyciele zgodnie stwierdzają, że czas ten nauki jest zupełnie chybiony i że dziecko wskutek fizycznego zmęczenia żadnej korzyści z nauki nie odnosi. Oto jest pedagogia 20 wieku! Jakie wdzięczne pole dla naszych zastępców w gminie!

Nie pomogą jednak najlepsze urządzenia szkolne, higieniczne budynki, lekarze szkolni, szkoły w lasach, gdy dziecko jest biednych rodziców i nie ma środków, aby sobie kupić przybory szkolne, lub gdy głodne musi cały dzień w szkole przepędzić.

Wydatki na środki naukowe są wielkim ciężarem dla mniej zamożnych rodziców, którzy częstokroć kosztem odżywienia kupują potrzebne przybory. Rozumniej i sprawiedliwiej będzie, gdy gmina wszystkim dzieciom dostarczy potrzebnych środków naukowych, a wydatek ten w formie podatku rozłożony będzie na wszystkich. Zresztą bezpłatność środków naukowych jest uzupełnieniem i konsekwencją przymusu szkolnego. Jeżeli państwo zmusza rodziców do posyłania dzieci do szkoły, powinno się też starać, aby mogły należycie z tej szkoły korzystać. Ale od państwa tego prędko nie otrzymamy, przeto gminy winny się

tem zająć. Ale bezpłatność środków naukowych powinna się rozciągać nie tylko na biedne i niezamożne dzieci, ale na wszystkie bez różnicy majątkowej. Dawanie wyłącznie biednym dzieciom, byłby to czyn niespołeczny, gdyż od razu piętnuje się takie dzieci, niejako skazane na jałmużnę. Przez powszechność dostarczania środków naukowych charakter jałmużny znika, a staje się stałym, rozumem a pożytecznym urządzeniem szkolnym. Praktycznie przeprowadzono tę zasadę w Północnej Ameryce, w Norwegii, częściowo we Francji i Szwajcarii.

Wspomniałem już wyżej, że częstokroć dzieci o suchym kawałku chleba przebywają cały dzień w szkole. Żle odziane, z pustym żołądkiem przychodzą do szkoły, gryzący głód skręca im żołądek i nie pozwala im iść za wykładem nauczyciela. Nauka staje się dla dziecka i nauczyciela plagą. A jeżeli głodem dręczone dziecko przydzielone jest nerwowemu i niewyrozumiałemu nauczycielowi, wówczas do męk głodu przyłączają się udręczenia moralne i fizyczne, z powodu razów wymierzonych przez nauczyciela.

Dlatego żądanie nasze, aby dzieciom szkolnym dostarczano żywności podczas przerwy naukowej, jest zupełnie uzasadnione. W miastach spoczywa to w rękach prywatnej dobroczynności, zwłaszcza w porze zimowej pewna część dzieci szkolnych otrzymuje skromny posiłek. Miasta i gminy w tym kierunku nic nie robią. W Danii, Francji, Norwegii, utworzono kantyny szkolne i zapomocą płatnych lub bezpłatnych bonów wydaje się dzieciom pożywienie.

Błędne jest mniemanie, jakoby tylko w większych miastach można przyjść z pomocą dzieciom szkolnym. Przeciwnie, nawet najmniejsza gmina wiejska może taką kantynę szkolną urządzić. Dostarczanie żywności dla nędzą wygłodzonych dzieci, jest tak samo ważnym zadaniem, jak wystawienie budynku szkolnego dla umożliwienia nauki. Usuwanie przez to głód i ułatwiamy dzieciom naukę, ale usuwamy także przyczynę wielu chorób i charłactwa fizycznego i przyczyniamy się do rozwoju silnej i zdrowej generacji. Burżuazyjni i chłopscy politycy gminni nie chcą jeszcze o tem słyszeć, przeto socjalistyczni radcy gminni winni tę politykę samolubstwa złamać, a duchem nowoczesnym życie i pracę gminną ożywić.

Wspomniałem już wyżej, że są choroby wpływające upośledzająco na rozwój umysłowy dziecka, które z nauki szkolnej nie wiele korzysta i dla którego nauka staje się męczarnią. Jeśli nauczyciel nie uznaje odrębnych właściwości dziecka, a jednaką miarę do wszystkich przykładą, stara się wówczas zapomocą kija wpoić to, czego słaby umysł dziecka objąć nie może. Dziecko takie zostaje w końcu zupełnie zaniedbane, pozostaje kilka lat w jednej klasie aż nareszcie wyjdzie ze szkoły bez najmniejszych elementarnych wiadomości. A jednak i umysłowo słabsze dzieci można wychować i wykształcić. Należy tylko wyłączyć je z ogółu dzieci, utworzyć z nich oddzielną klasę, w której więcej jak 10—15 znajdować się nie winno, a dzielny i rozumny nauczyciel może piękne rezultaty naukowe osiągnąć.

Zastępcy socjalistyczni w gminie mają zatem do spełnienia wielorakie zadanie w zakresie polityki szkolnej. W walce o ideał nowej szkoły natrafia się na silny opór klasy posiadającej, która chce mieć szkołę ludową, zaprzagniętą w rydwan interesów kapitalistycznych, agrarnych i kościelnych. Nędza dzisiejszej szkoły ludowej stoi w najściślejszym związku z polityką klasową warstwy panującej w państwie, kraju i gminie. Dlatego walka o lepszą szkołę jest częścią wielkiej naszej walki politycznej o uzyskanie silnego wpływu na kierunek polityki państwowej, krajowej i gminnej.

Dzisiejsza gmina mieszczańska i chłopska nie zdolna jest do spełnienia wielkich zadań kulturalno-ekonomicznych. Musimy starą gminę usunąć i zaprowadzić gminę nową, gminę matkę, opiekunkę i przyjaciółkę najliczniejszej klasy pracującej. W miejsce gminy chłopsko-mieszczańskiej zbudujemy gminę ludową. Do niej zdążamy!

OSTATNI SPACER.

Ktoś chce wejść do celi — klucz w zamku — kroki kilku ludzi za drzwiami. Ciężko stukają kolby stawianych na podłodze karabinów. Zimne, przenikliwe uniesienie...

Długo nie wie, czego chce od niego żandarm, co mówi. Wreszcie odgadł. Spadł mu ciężar z mózgu i serce zaczęło znowu bić. Ale gdy szedł przez korytarz, zbudziło się w nim gorzkie uczucie zawodu.

— Jeszcze trzeba czekać, jeszcze długo, a przecie jakież to będzie szczęście iść tędy, tym korytarzem, temi schodami, przez ten ogródek — tam, tam na stoki, gdzie się wszystko urwie na zawsze. Ustanie myślenie, wyjaśnią się ostatecznie lub zagasną na wieki wszelkie tajemnice, ukoji się ten żal głupi, ludzki, nieprzewyciężony żal za życiem...

Jednak, gdy się znalazł w ogródku, ogarnęło go wzruszenie na widok drzew, krzewów, trawy, kwiatów. Zdawało mu się, że od długiej zimy dopiero teraz po raz pierwszy zobaczył młodą, bujną zieleń na drzewach i murawie. Wyprowadzano go tu codziennie, był tu i wczoraj — dlaczegoż tak cudny i niesłychany stał się ten zakątek? Kilka marnych drzew, śmieszny klombik z ordynarnymi kwiatami, strzępy murawy, na której więcej było gruzu i śmiecia, niż trawy — oto wszystko.

Stał pośrodku ścieżki i upajał się urokiem wiosny, który przyszedł i tutaj w to ponure miejsce, wiecznie młodzieńczy i nieodparty. Wyobrażał sobie wieś, szerokie łąki, żółte od kaczęca, świeże, jasne listowie lasów, przypominał sobie słyszany kiedyś śpiew wiejskiej, wykręconej z wierzby fujarki, przypłynęła doń słodka jak wiosna piosenka skowronka... Radował się tem szczerze, głęboko, bez goryczy, bez zawiści. Niechaj żyją ludzie, niechaj się cieszą, niech doczekają lata, jesieni — i długo, długo, co roku poją się pieśnią młodości i odrodzenia — tym szeptem liści wiosennych, wonią wilgotnej ziemi, pięknem, zdrowiem — życiem...

Urwał gałązkę z drzewa i z rozkoszą przytulił twarz do chłodnych, pachnących liści. Pochylił się nad klombem, zerwał kilka białych stokrotek i jakiś śmieszny, wzruszająco skromny żółty kwiateczek. Z głęboką uwagą wpatrywał się w białe gwiazdeczki stokrotek, jak gdyby je widział po raz pierwszy w życiu. Oderwał go od tego żandarm. — Nie wolno rwać kwiatów, co to, nie wiesz pan, czy co? — Wiem, ale urwałem dlatego, że mnie jutro powieszą — odpowiedział z prostotą. — W żadnym razie nie dozwolono.

Tu wzrok jego padł przypadkiem na małego żołnierzyka, który stał obok na warcie. Na pospolitej twarzy żołdata odbiło się tyle smutku, tyle na wpół dziecinnej zgrozy, że na widok tego nieoczekiwanego współczucia łyzy zakręciły mu się w oczach. Patrzył nań przez chwilę, jak na kogoś bliskiego, rodzzonego, a ilekroć go mijał, chodząc po krótkiej dróżce, spotykał jego wystraszone, zmartwione i współczujące spojrzenie.

Z jednego okna ktoś mu dawał znaki. Gdy się zbliżał, na mgnienie oka wychylała się głowa z górnego lufcika i znikwała natychmiast. To on — z nim razem jutro. Kiwał mu głową i jak mógł dawał mu do zrozumienia, że go poznał i że... Cóż tu można, co można wyrazić ukradkowym giestem w takiej chwili? Towarzyszowi walki, towarzyszowi śmierci? Myślał o tym, co przechodzi teraz w samotnej celi ten człowiek prosty, i myśl ta gnębiła go jak gryzący wyrzut nieomyślnego sumienia. Kto wyrwał tego chłopca, tego Jana Kuczmę z cichej jego dalekiej wsi? Kto go nauczył być „buntownikiem“, kto mu dał do ręki „maszynę“, kto mu kazał iść zdobywać „carskie monopole“? Bolała go ta krzywda i zapomniał o sobie, o jutrze.

— Wróciła, jeszcze raz wróciła gorzka, nierozumna, nie na te czasy myśl. — Czemużes przyszła teraz, kiedy i ja przecie własnem życiem płacę? Nie dość ci tego, jeszcze mało, cóż więcej dać może człowiek? Co jest w ludzkiej mocy? Odpowiedz, odpowiedz...

Przypomniiał sobie, że jutro razem z nim umierać będzie jeszcze ten trzeci, nieznajomy mu osobiście chłopak, ten, który w uroczystej chwili odczytywania wyroku ryknął na całą salę: precz z caratem! Ciężko mu było myśleć, że nie o nim nie wie, że nie zdążył się go o nie zapytać podczas sądu.

Poczuwał się do winy. Nie uczynił tego, co należało. Trzeba się było postarać, trzeba było przezwyciężyć trudności — zmusić się, poniżyć się i prosić o połączenie ich razem z nim w jednej celi. Byłoby im lżej. Sprawić im tę ulgę było jego ostatnim obowiązkiem, był przecie ich przewodnikiem, rozkazywał. Teraz nie uczynił tego nawet, co mógł — bo przecież było można. Już zapóźno, już im nie będzie przewodził, śmierć ich sama poprowadzi.

Coby zresztą mógł dla nich uczynić? Co im ma do powiedzenia? Dodawać im odwagi? Przeszkadzać temu dzielnemu, uczciwemu chłopu modlić się przed ostatnią godziną? Uczyć tego robociarza i uświadamiać go co do rzeczy ostatecznych, o których sam nie ma pojęcia? Opowiadać mu o materyalizmie życia i śmierci, w co sam nie wierzy, odpowiedzieć na jego zapytanie, co też Marx pisał o życiu przyszłem?

Potrafią, potrafią umrzeć mężnie, jeżeli o to chodzi. Bez metafizyki, bez kultury, bez całego balastu kunsztownego myślenia pójdą jutro. Z prostotą, bez giestów polegną. Nie będą potrzebowali żałować swojej wszystko ogarniającej inteligencji, nie będą wiedzieli, że ginie wraz z nimi cały świat, nie będą się dziwili, że nie przychodzi trzęsienie ziemi, potop lub zwycięska rewolucya, by przeszkodzić spełnieniu się wyroku. O — ci nie będą się zbyt szacowali. Jeszcze nie wiadomo, kto ma kogo uczyć, kto ma kogo w tej godzinie wspomagać. Co wiesz o tych ludziach? Nie wiele, a to, co wiesz, czyż nie wystarcza, aby się uspokoić i być skromniejszym? Przeto się nie wyrывaj — złóż, złóż oznaki swojej władzy, zachowaj na własny użytek tę niby twoją przewagę.

Przypomniiał sobie, o czym rozmawiał na sądzie z Kuczma — parę słów, nie więcej. — No co, towarzyszu? — Ano nic, to mi jest tylko ciężko, że jak Pan Bóg miłosierny zapyta: cóżes, Kuczma, zrobił dobrego w tej rewolucyi, to wstyd mi będzie wyznać, że jeno te monopole... — Snać śnił i Kuczma o wielkiej wojnie — i on, szeregowiec, pełen był tej samej tęsknoty, tej zazdrości i tego tajnego wstydu, które jak cierń tkwiły w duszach najlepszych, żadnych wzniosłości i wielkiej otwartej walki i złotej promiennej sławy... Potem, na zapytania sądu odpowiadał w słowach prostych, nieuczonych. Była w nich głęboka powaga i nie-naśladowane piękno otwartego, nieulekłego wyznania. Bez chlubienia się i chwalby, w spokojnej godności mocnym swym głosem odpowiadał krótko. I gotowe były te słowa, by je bez zmiany, bez żadnego upiększenia wyręć gdzieś na kamiennej tablicy i skrzętnie z miłością zachować do tej dziejowej chwili, gdy stanie wyniosły pomnik tych czasów, i tam tę cegłę wmurować...

Kuczmo, drogi bracie, trzęśta ci się ręka, gdyś już skazany podpisywał swe imię pod protokołem sprawy? Jakże cię prześlągam, jak odkupię tę myśl moją? Tyś ją odgadł i nauczyłeś mnie, inteligenta, że gruba i czarna od pługa ręka zawsze może trzęsie, gdy ujmie pióro w niewprawne palce. Tyś mi to powiedział tak zwyczajnie, tak prosto — o, ty potrafisz...

8-GODZINNY CZAS PRACY W GÓRNICTWIE.

Ośmiogodzinny dzień roboczy jest jednym z głównych żądań klasy pracującej. Zwłaszcza proletaryat górniczy od szeregu lat domaga się zaprowadzenia w górnictwie ośmiogodzinnej zmiany roboczej. Jeśli przeglądać będziemy protokoły międzynarodowych kongresów górniczych, lub zjazdów górników poszczególnych krajów, spotkamy się wszędzie z tem żądaniem.

A jednak mimo wieloletnich walk, buntów i ofiar zorganizowanego proletaryatu górniczego — ośmiogodzinny dzień pracy w górnictwie dotąd nie istnieje. Potężni i wpływowi baronowie węglowi umieli zawsze oprzeć się i udaremnić to żądanie. Dopiero po raz pierwszy angielska Izba gmin przyjęła obecnie w drugim czytaniu 390 głosami przeciw 120 ustawę o ośmiogodzinnym dniu roboczym w górnictwie.

Przyglądnijmy się po kolei walkom o ośmiogodzinną zmianę w krajach, posiadających przemysł górniczy.

W Anglii górnicy od dawna walczyli o ośmiogodzinny czas pracy w kopalni. Rząd wreszcie pod naciskiem potężnej organizacji górników (556.154 członków) musiał ustąpić i przedłożył Izbie gmin projekt prawa, przewidujący 8-godzinny dzień roboczy dla górników, który, jak wspomnieliśmy wyżej, Izba w drugim czytaniu przyjęła. Właściciele kopalń nie dali jednak za wygraną, rozwijają szaloną agitację, fabrykują rezolucye przeciw 8-godzinnnej zmianie, a nawet zmobilizowali rady gminne; w prasie sobie oddanej prorokują, iż przemysł górniczy zbankrutuje po zaprowadzeniu ośmiogodzinnej zmiany.

Kiedy w Austrii chodziło o wprowadzenie 8-godzinnego dnia pracy w górnictwie, baronowie węglowi tem samem proroctwem świat przemysłowy straszili. Straszaki te rozpatrzmy niżej.

We Francyi przyjęto przed trzema laty prawo, ograniczające czas pracy w kopalniach. Prawo zawiera wiele przepisów wyjątkowych, na mocy których właściciele kopalń mogą od robotników tyle nadgodzin żądać, ile tylko chcą, tak, że nadgodziny, będąc teraz na porządku dziennym, przeciążają górników.

Pod naciskiem organizacji górników Izba posłów przedłożyła senatowi nowy projekt, który po części uwzględnia żądania górników i dla pewnych kategorii czas pracy skraca. Projekt zwalczają izby handlowe, przedsiębiorcy kopalń, prasa kapitalistyczna i „żółte“ związki zawodowe. Górnicy francuscy mają przed sobą jeszcze potężny kawał walki, zanim zdobędą ośmiogodzinny czas pracy.

W Belgii przedsiębiorcy, ze względu na to, iż rząd czyni od pewnego czasu wywiady w kraju i za granicą w sprawie skrócenia czasu pracy, oświadczyli się już stanowczo przeciw skróceniu i dokładają starań, by żądanie górników udaremnić.

W Niemczech również nie istnieje ustawą zaprowadzony ośmiogodzinny czas pracy w kopalniach. W czasie wielkiego strejku górników w r. 1895 przedsiębiorcy dali ośmiogodzinny czas pracy „z wjazdem, a z wykluczeniem wyjazdu“. Górnicy natomiast domagają się wszędzie 8 godzin pracy „z wjazdem i wyjazdem“.

W Austrii pod naciskiem olbrzymiego strejku górników w r. 1900 parlament uchwalił ustawę o 9-godzinnym dniu roboczym w kopalni wbrew woli przedsiębiorców. Ustawa ta weszła w życie w lipcu roku 1902 i rozbiła odrazu w puch straszaki i narzekania przedsiębiorców, iż skrócenie czasu pracy pociągnie za sobą obniżenie produkcji i bankructwo przemysłu węglowego.

W ubiegłym roku wnieśli posłowie socjalno-demokratyczni wniosek w par-

lamencie. domagający się: zaprowadzenia ośmiogodzinnej zmiany dla wszystkich robotników pracujących w górnictwie, tak na powierzchni, jak i w kopalni, wliczając w to wjazd i wyjazd. Subkomitet socjalno-polityczny obradował nad nim — obecnie ministerstwo rolnictwa rozesłało pytania ankiety, która ma we wrześniu prowadzić obrady nad sprawą ośmiogodzinnego dnia pracy.

Najbardziej opierają się kapitaliści zaprowadzeniu krótszej zmiany dla robotników wierzchowych. Argumentują, iż później robotnicy z innej gałęzi przemysłu przyszliby z podobnym żądaniem, co pociągnęłoby za sobą podwyższenie zarobku. A i agrariusze, którzy już teraz nie mogą dostać taniego robotnika — musieliby również podnieść płacę robotnikom rolnym.

Przemysłowców straszą baronowie węglowi obniżeniem produkcji węgla, co wpłynąć musi na podniesienie cen węgla. Z tym argumentem chcemy się rozprawić, i wykazać całą jego obłudę i bezpodstawność.

Przypatrzmy się statystyce c. k. ministerstwa rolnictwa, obejmującej produkcję węgla w zagłębiu ostrawsko-karwińskim w ostatnich sześciu latach:

Rok	Na każdego robotnika wypadu zmian	Na jedną zmianę wyrobił górnik	Na rok wyrobił górnik metrycznych cetnarów węgla
1901	270	6.42	1742
1906	279	7.11	1984

Dziewięciogodzinna zmiana zaprowadzoną została w kopalniach w Austrii w r. 1902. Jak z powyższego zestawienia widać — skrócenie czasu pracy bynajmniej nie obniżyło wytwórczości pracy górnika, ale przeciwnie, podniosło znacznie produkcję węgla, powiększyło liczbę zmian w roku. W r. 1901 przed skróceniem czasu pracy wydobył górnik 1742 metrycznych cetnarów na rok, a po latach pięciu — po skróceniu czasu pracy — w roku 1906 o 242 metrycznych cetnarów więcej. Gdzież jest więc to obniżenie produkcji? Kłamstwo baronów węglowych leży jak długie. Nie przeszkadza to jednak przedsiębiorcom posługiwać się dalej tem kłamstwem i tumanić opinię publiczną, na szkodę górników.

Opór przedsiębiorców musi się wkońcu rozbić o stanowczą i zdecydowaną postawę zorganizowanych górników w Austrii. Żądanie 8-godzinnego dnia roboczego w górnictwie tak zakorzeniło się w umysłach proletariatu górniczego, że wyrwać go nikt nie zdoła. Dziś już zbyt czynnem jest tłómaczyć i udowadniać, iż długi dzień pracy zabija nie tylko zdrowotność całych pokoleń robotniczych, osłabia ich zdolność do pracy, czyni straszliwe spustoszenia w całym organizmie społecznym, lecz także szkodzi samej produkcji. Znanym przecie jest powszechnie fakt, iż przemysł o długim dniu pracy nie może wytrzymać konkurencji z przemysłem o krótszym dniu roboczym. Ale znanym z drugiej strony jest i fakt ten, że przedsiębiorcy, walcząc przeciw skróceniu czasu pracy, walczą tem samem przeciw szybszej emancypacji robotników, paraliżują rozwój organizacji robotniczej i trzymają w zależności od siebie dziesiątki tysięcy proletariatu przemysłowego, na czem przecie tak zależy klasie wyzyskiwaczy.

Praca w kopalniach, ze względu na swe specjalne stosunki, powinna i musi być jednak uregulowaną przez ustawowe wprowadzenie ośmiogodzinnej zmiany roboczej. Nie wyklucza to jednak, iż w miejscach o wysokiej temperaturze praca nie powinna trwać dłużej nad 6 godzin.

Ostatni, 19-ty międzynarodowy kongres górników w Paryżu dał wyraz tym zapatrywaniom przez jednogłośnie uchwalenie podobnych rezolucyj.

DZIESIĘĆ NAJWIĘKSZYCH PAŃSTW NA ŚWIECIE.

Które są największe państwa na świecie?

Aby na to pytanie trafić dać odpowiedź, trzeba pamiętać o tem, że jedno i to samo państwo może posiadać prowincye w różnych częściach świata. O wielkości i potędze Anglii naprzykład otrzymalibyśmy całkiem niedostateczne pojęcie, gdybyśmy uwzględnili tylko Anglię właściwą i europejskie jej posiadłości, a zapomnieli o tem, że Anglia ma oprócz tego także zamorskie posiadłości, czyli tak zwane kolonie w Azji, Australii, Ameryce i Afryce. Coprawda, w posiadaniu kolonij przez jakiekolwiek państwo, zawsze tkwi pewna niesprawiedliwość, którą partya socjalistyczna zasadniczo potępia. Albowiem mieszkańcy kolonij zazwyczaj są innej narodowości, innym językiem mówią i inne mają zwyczaje, aniżeli mieszkańcy kraju panującego, a w każdym razie już ze względu na odległość siedzib swoich mają odrębne interesy; więc też zwierzchnictwo kraju panującego nad koloniami prawie zawsze staje się źródłem ucisku i wyzysku. Niemniej jednak, aby poznać dzisiejszy stan rzeczy, przy obliczeniu wielkości każdego państwa z osobna trzeba zawsze doliczać jego kolonie.

Poza tem odpowiedź na pytanie, które są największe państwa, rozmaicie wypadnie, zależnie od tego, czy za podstawę obliczenia weźmiemy przestrzeń, zajętą przez dane państwo na powierzchni ziemi, czy też liczbę ludności. Nie zawsze bowiem równe przestrzenie mają równą ilość mieszkańców. Kraj o bardzo rozległym obszarze może być bardzo słabo zaludnionym, a naodwrot kraj o niewielkim obszarze może mieć ludność bardzo gęstą.

Jeśli tedy zestawimy dziesięć państw o największym obszarze, to będą to następujące:

Państwo:		Przestrzeń:
1. Państwo angielskie	33	milionów kilometrów kwadratowych.
2. " rosyjskie	22	" " "
3. " chińskie	11	" " "
4. Stany Zjednoczone Ameryki Półn.	10	" " "
5. " " Brazylii	8 ^{1/2}	" " "
6. Państwo francuskie	6 ^{1/2}	" " "
7. " niemieckie przeszło	3	" " "
8. " tureckie	3	" " "
9. Stany Zjedn. Argentyny niespełna	3	" " "
10. Państwo kongolańskie	2 ^{1/2}	" " "

Z tych dziesięciu państw dwa: monarchia angielska i republika francuska, mają ośrodek rządów w Europie, ale posiadają kolonie we wszystkich czterech pozostałych częściach świata. Państwo rosyjskie leży częściowo w Europie, częściowo w Azji; niegdyś, pół wieku temu, Rosya posiadała także rozległe ziemie w Ameryce, ale sprzedała je Amerykanom z powodu kłopotów pieniężnych, w które popadła po powstaniu polskiem 1863 r. Cesarstwo chińskie leży całe w Azji. Z obszaru państwa niemieckiego trzy czwarte przypadają na kolonie niemieckie w Afryce, jedna szóstą na Niemcy właściwe wraz z polskimi dzielnicami pod zaborem pruskim, a reszta na posiadłości w Australii i Azji. Turcyja ma swoją stolicę na pograniczu Europy i Azji; największa część państwa leży w Azji, mniejsza w Afryce, najmniejsza w Europie. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej do niedawna leżały całe w Ameryce, obecnie jednak posiadają kolonie w Au-

stralii i Azji. Stany Zjednoczone Brazylii, a tak samo Stany Zjednoczone Argentyńskie całe leżą w Ameryce Południowej. Państwem kongolańskiem wreszcie nazywają się owe dzikie kraje murzyńskie w Afryce środkowej, gdzie jako samowładca panuje Leopold, król belgijski. Nie jest to jednak kolonia Belgii, bo Leopold rządzi tam nie jako konstytucyjny król belgijski, tylko całkiem na własną rękę, tak że belgijski parlament nie ma w sprawach kongolańskich nic do gadania. Tak przynajmniej dotąd było; dopiero teraz toczą się rokowania o przyłączenie państwa kongolańskiego do Belgii. Socjaliści belgijscy nie są jednak przychylni temu projektowi, po pierwsze dlatego, że dzieją się tam straszne okrucieństwa, za które towarzysze nasi nie chcą brać współodpowiedzialności na siebie; proponują tedy, żeby kraj kongolański oddać w opiekę międzynarodowej komisji, w którejby wszystkie mocarstwa miały swoich przedstawicieli.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, jeśli porządkujemy państwa nie według obszaru, tylko według ludności. Dziesięcioma najludniejszymi państwami na świecie są:

Państwo:	Ludność:
1. Państwo angielskie	400 milionów mieszkańców.
2. „ chińskie	330 „ „
3. „ rosyjskie	146 „ „
4. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej	90 „ „
5. Państwo francuskie	88 ¹ / ₂ „ „
6. „ niemieckie	73 „ „
7. „ japońskie	61 „ „
8. Austria wraz z Węgrami i Bośnią	49 „ „
9. Państwo holenderskie	43 „ „
10. „ włoskie	34 ¹ / ₂ „ „

Przy porównaniu tej tabliczki z poprzednią, ogromne różnice odrazu wpadają w oko. Przedewszystkiem Rosya i Chiny zamieniły miejsca; państwo chińskie, którego obszar wynosi tylko połowę obszaru Rosyi, ma przeszło dwa razy więcej mieszkańców. Tłómaczy się to po części nadzwyczajną skrzętnością włościan chińskich, którzy na małym skrawku ziemi potrafią wyhodować żywność dla całej rodziny, po części zaś tem, że Chiny mają błogosławiony klimat, podczas gdy wiele okolic Rosyi ma klimat tak mroźny i surowy, że ludzie tam tylko z największą trudnością istnieć potrafią, a i to tylko w bardzo niewielkiej liczbie, bo zboże tam nie rośnie, a z myśliwstwa i rybołówstwa tylko bardzo nieliczna ludność żyć może. Ba, na północy Syberyi są nawet dość rozległe kraje, gdzie wogóle ludzi niema, bo mróz jest zbyt zabójczy; kraje te na mapie przyczyniają się do wielkości państwa, ale w rzeczywistości prawie żadnego znaczenia nie mają. Dalej spostrzegamy, że państwo angielskie, mimo, że obszar jego jest tylko o połowę większy od obszaru Rosyi, mieszkańców ma nie o połowę więcej, tylko blisko trzy razy więcej; tłómaczy się to po części wysoką kulturą Anglików, przedewszystkiem zaś ciepłym klimatem i urodzajną glebą Indyi Wschodnich, oraz pracowitością mieszkańców tej największej kolonii angielskiej. Dalej czterech państw znanych nam z pierwszej tabliczki: Brazylii, Turcyi, Argentyny i państwa kongolańskiego na drugiej tabliczce wcale niema; są to państwa tylko obszarem wielkie, ale nie ludnością. Argentyna naprzykład ma tylko pięć milionów mieszkańców, czyli o trzecią część mniej niż Galicya. Ale też wewnątrz Argentyny zajmują suche stepy odludne, a wewnątrz Brazylii niemniej odludne puszcze; państwo kongolańskie jest całe jedną wielką puszcza, wśród której tu i ówdzie tylko murzyni wykarczowali kawał ziemi pod niewielką osadę. Turcyja zaś posiada kraje z natury nader bogate, które były siedzibą prastarej cywilizacyi; ale wsku-

tek haniebnej gospodarki rządu tureckiego kraje te są dzisiaj zaniedbane i spustoszone, tak, że mają bodaj mniej mieszkańców, niżli miały trzy tysiące lat temu.

Z drugiej strony, w spisie dziesięciu państw najludniejszych spotykamy cztery państwa, których wcale nie było w spisie dziesięciu państw najobszerniejszych. Są to więc państwa niezbyt rozległe, ale ludne. Są niemi: Japonia, Austria wraz z Węgrami i Bośnią, państwo holenderskie i Włochy. Z tych Japonia składa się głównie z długiego łańcucha wysp, sięgającego od strefy wiecznych śniegów aż do gorącej strefy podzwrotnikowej. Wnętrze tych wysp zajmują odludne puszcze górskie, ale za to w nizinach nadmorskich włością nie japońscy nadzwyczaj skrzętnie i umiejętnie uprawiają każdą piędź ziemi; w miastach są liczni a zręczni rzemieślnicy, a ostatnimi czasy mnożą się robotnicy fabryczni. Nadto Japończycy podczas ostatniej wojny zdobyli Koreę, która wprawdzie jest mniej kulturalną i słabiej zaludnioną od Japonii, ale zawsze liczy około dziesięć milionów mieszkańców. Co do monarchii austriacko-węgierskiej, to nie posiada ona żadnych kolonij zamorskich, ale za to jest przeciętnie jedenaście razy gęściej zaludnioną od państwa rosyjskiego. Co do Holandyi, to, gdyby chodziło tylko o europejskie jej prowincye, należałoby ją zaliczyć do małych państw, tak pod względem obszaru jak i ludności; obszar Holandyi europejskiej równa się bowiem dwóm piątym obszaru Galicyi, a ludność zaledwie przewyższa połowę ludności Królestwa Polskiego. Ale Holandya jest pierwszorzędnem państwem kolonialnem; a mianowicie, na drugim końcu świata, na południowo-wschodnich kresach Azyi, Holandya posiada szereg ogromnych wysp, z pośród których sama tylko wyspa Jawa, o niezwykle bujnej roślinności, ma blisko 30 milionów mieszkańców. Coprawda, wątpliwem jest, czy Holandya długo jeszcze zdoła utrzymać władzę swoją nad temi bogatemi wyspami, na które już dawno pożądliwem okiem spoglądają i Japonia i Anglia. Co się wreszcie tyczy Włoch, to posiadają one tylko dwie kolonie w Afryce wschodniej, niezbyt wielkie i dość odludne; ale za to Włochy właściwe są siedzibą wysokiej, odwiecznej cywilizacyi. Tam już od tysięcy lat stały grody warowne, pisano księgi i rzeźbiono posągi, kiedy jeszcze przodkowie dzisiejszych Niemców pół-dzieci koczowali po puszczach. To tłumaczy, dlaczego Włochy do dziś dnia są gęściej zaludnione od Niemiec, mimo że górzyste wnętrze Włoch nie bardzo się do gęstego zaludnienia nadaje.

Istotnie też Japonię, Austrię i Włochy, mimo ograniczonej wielkości obszaru, powszechnie zalicza się do mocarstw, podczas gdy Brazylia i Argentyna, Turcja i państwo kongolańskie mimo wielokroć większego obszaru żadnemi mocarstwami nie są.

Z tego wszystkiego widzimy, że o rzeczywistej wielkości i potędze państwa przestrzeń zgoła nie rozstrzyga. Istotnymi czynnikami potęgi państwowej są z jednej strony: klimat, gleba i położenie, z drugiej strony zaś: ludność, kultura i dobre urządzenia polityczne. Tak tylko zrozumieć można, że Japonia mogła zwyciężyć Rosyę, mimo że przed wojną obszar Rosyi był prawie pięćdziesiąt sześć razy większym od ówczesnego obszaru Japonii, a nawet i dzisiaj, kiedy Japończycy zmusili Rosyan do ustąpienia z Mandżuryi, a sami zagarnęli Koreę, obszar Rosyi wciąż jeszcze wynosi trzydzieści pięć razy tyle, co obszar państwa japońskiego.

To też prawdziwym patryotą nie jest ten, kto za wszelką cenę powiększyć chce obszar państwa, a raczej ten, kto dąży do tego, aby wewnątrz państwa zakwitła kultura i wolność, oraz żeby urządzenia państwowe były zgodne ze sprawiedliwością społeczną. A do tego dąży socjalizm.



REDAKCJA MIESIĘCNIKA „MIMPO“ („PRAWO LUDU“).

BRONISŁAW PIŁSUDSKI.

CHIŃSCY REWOLUCYONIŚCI.

Już od dwóch lat niema prawie miesiąca, żeby gazety nie przyniosły wieści o coraz to nowych przejawach ruchu rewolucyjnego w Chinach, a szczególnie w ich części południowej. Niejednokrotnie też były wzmianki, że ruchem kierują studenci chińscy, uczący się w Japonii. Będąc w początkach 1906 roku w Tokio, miałem sposobność zetknąć się z młodzieżą chińską, szukającą wyższego wykształcenia u pobratymczego narodu. Sądzę, że spostrzeżenia moje, jakkolwiek trochę powierzchowne, nie pozbawione są jednak pewnego interesu i aktualności. Spieszę się więc podzielić niemi z czytelnikami „Kalendarza“.

Pobyt mój w Tokio wypadł akurat w tym czasie, gdy zostało zażegnane nieporozumienie między władzą japońskich zakładów naukowych i uczęszczającą do nich młodzieżą chińską. Po krótkim bojkocie studenci chińscy znów zaczęli przyjeżdżać i wstępować do rozmaitych wyższych i średnich zakładów naukowych.

Każda przytem ze stron inaczej objaśniała przyczyny bojkotu. Władza japońska dowodziła, że młodzież chińska była daleko słabiej przygotowaną, niż japońska, dawano więc jej pewne ulgi, a ostatecznie nawet starano się uczyć oddzielnie. Powstały zakłady naukowe, które chcąc przyciągnąć do siebie większą ilość uczących się, obniżały poziom wymagań i zupełnie osłabiały wewnętrzną dyscyplinę. Młodzież chińska skorzystała z tego i zamiast uczyć się, prowadziła życie wesołe, hulaszce, albo też oddawała się wyłącznie polityce. Wówczas ministerium oświaty wydało specjalne rozporządzenie, ściśle określające warunki wychowania i nauczania kształcących się w Japonii Chińczyków. Dodać trzeba,

że przeważna większość uczących się, to dzieci ludzi bogatych; wielu też wysłanych było na koszt rządowy i otrzymywało duże, jak na japońskie, stosunki stypendya, bo po 500 yen rocznie. To umożliwiało niektórym robienie znacznych wydatków, a nawet dawało możność posiadania utrzymanek, o co w Japonii tak łatwo. Ci właśnie studenci, którym starczało na opłacanie kilku naraz kochanek, byli powodem złośliwych plotek, obiegających prasę rosyjską podczas ostatniej wojny. Pisano wtedy, że dla podniesienia i wzmocnienia rasy, Japończycy sprowadzili młodych Chińczyków, którym rozdali po 3—4 kobiet naraz.



Mr. SEN-IAT-SEN.

głębszego krytycyzmu jest ogólną cechą japońską, a o zachowanie jej rząd dba niezmiernie. Tymczasem przed obywatelom Państwa Niebieskiego stoją ważne do rozstrzygnięcia kwestye, mające stanowić o dalszej przyszłości najpotężniejszego w Azji i na całym świecie narodu. Przyszłym działaczom społecznym jest nad czem pomyśleć. Nim się zabiorą do pracy, muszą się zastanowić, w jakim kierunku zwrócić swe siły i fachowe wykształcenie. A więc czy uznać wszystko co europejskie za wyższe, czy też przejąć od Europejczyków te tylko strony ich kultury, które nie naruszając podstaw duchowych życia chińskiego, dadzą mu możność być silnym na zewnątrz i wolnym od nieproszonych opiekunów?

Współcześni patryoci chińscy różnią się wielce od swych poprzedników Tajpingów, którzy po roku 1850 w ciągu kilkunastu lat podtrzymywali rokosz ogłoszony w południowych Chinach przeciwko teraźniejszej mandżurskiej dynastyi.

Studenci jednak objaśniali nowo wydane rozporządzenia inaczej. Rząd japoński, pod naciskiem chińskiego, chciał pono ukrócić rozszerzający się wśród młodzieży prąd rewolucyjny i zajmowanie się polityką. Rozciągnąwszy większą kontrolę, zmuszano do intensywniejszej pracy naukowej, a tem samem miano nadzieję zaabsorbować umysły młodych zapaleńców, odwracając je od czytania książek treści społeczno-politycznej i od dyskusji na większych i mniejszych zebraniach koleżeńskich. Te ostatnie chciano nawet uniemożliwić zupełnie.

Cudzoziemcowi trudno do prawdy zorientować się w splocie tego rodzaju zjawisk. Sądzę, że obie strony miały po części rację.

Student chiński nie tylko swym materyalnym dobrobytem, lecz i ustrojem duchowym ogromnie różni się od swego kolegi japońskiego, który pogrążony w pracy nad zdobyciem dyplomu, mało zaprzęta swój umysł szerszą oceną tego kierunku, w którym płynie w chwili obecnej życie jego ojczyzny. Brak

Tajpingowie zamierzali zrzucić dynastję obcokrajowców, a ogłosić cesarzem swego rodaka, pewnego urzędnika Chung-siu-tsuen, który już nazywał siebie „Niebieskim królem“. Obecni kierownicy ruchu rewolucyjnego są nawskróś przeniknięci poglądami europejskimi i nie życzą sobie innej formy ustroju politycznego, jak li tylko republikański. Według mniemania po europejsku wychowanych polityków chińskich, taka forma zarządu krajem zupełnie odpowiada duchowi ludu chińskiego. Wszak i dotychczas stojący na czele jego despoci, musieli się często liczyć z życzeniami ludu. W czasie Wielkiej Rewolucyi francuskiej, w Chinach miał miejsce poważny spisek przeciw panującemu cesarzowi. Otoczony już wokół tłumem buntowniczym, dowiedział się w swym pałacu, od szpiegów, o żądaniach ludu i natychmiast je spełnił. W początkach XIX wieku inny cesarz, zawiadomiony o gotującym się zamachu na jego życie, w wydanej do ludu proklamacyi pisał: „Straszny mnie nie nóż złodziei, lecz brak uczuć dla mnie mojego narodu“. A oto odezwa cesarza z 1813 r., którejby chyba żaden władca europejski nie podpisał: „Ja się poprawię, niech mnie tylko ułaskawi słuszny gniew ludu“.

Dla patryotów chińskich chwila obecna jest nadzwyczaj ważną. Jeżeli nie teraz, to może nigdy nie uda się wywalczyć wolności i niezawisłości. Rząd staje się coraz silniejszym, organizacya państwa wzoruje się na przykładach europejskich, a armia, rosnąc z dniem każdym, wyćwiczona przez instruktorów japońskich i niemieckich, staje się ślepem narzędziem w rękach władzy centralnej. Wszystkie te czynniki wpływają niezmiernie ujemnie na możliwy wynik walki w razie nowego powstania. Dlatego też rewolucyoniści chińscy uważają za potrzebne skorzystać z obecnej chwili i rzucić zaw sze popularne w rdzennych Chinach hasło przepędzenia znienawidzonej dynastyi mandżurskiej. Dla ludu zaś, cierpiącego nieustannie głód w kraju bogatym, lecz ekonomicznie słabo rozwiniętym, mają rewolucyoniści ponętne hasło podziału ziemi pomiędzy wszystkich mieszkańców. A każdy Chińczyk, jako rzetelny rolnik, uczuwa instynktowe przywiązanie do ziemi-karmicielki i matki, „przyjmującej do łona swego zmarłych i szanowanych przodków“.

Poważną również komplikacyę swoich planów widzą patryoci chińscy w ustępstwach autokratycznego dworu pekińskiego, w jego rezygnacyi i chęci pójścia drogą stopniowych, ale poważnych reform polityczno-społecznych, które mając polor nowy, będą jednakże nosiły w sobie cechy rządów teraźniejszych — faworyzowanie Mandżurów, nadanie im większych praw niż Chińczykom, utrzymanie i nadal ostatnich w niewoli. Wzajemna niechęć i pogarda nie zanikną nawet przy konstytucyi, to prawda, jednakże ogromna ilość Chińczyków pójdzie na lep obiecanych reform. Z wielu przykładów historycznych wynieśli stronnicy powstania oziębnego przekonanie, że dążenia separatystyczne u narodu podobitego zmniejszają się tam, gdzie najezdcy obchodzą się łagodniej i sprawiedliwiej, gdzie różnice praw i przywilejów rozmaitych obywateli państwa są mniejsze. Sami rewolucyoniści nie wierzą w szczerość rządu mandżurskiego, ani w jego umiejętność prze-



Miss WOO-RO-NAN.

prowadzenia rzetelnych i poważnych reform. Jednak oszukać skłonne do oportunistu masy, usunąć jeden z powodów niezadowolenia i utrudnić agitację polityczną patryotów, na to nieudolny, ale przewrotny i podły rząd pekiński może się zdobyć, naśladowując swych sąsiadów z Zachodu. Dlatego patryotom chińskim bardzo zależało na tem, by wprowadzenie „despotycznej konstytucji” — jak ją nazywali — opóźnić. Jeden ze zdolnych i oddanych sprawie członków partii rewolucyjnej, Ju-jert, poświęcając życie, rzucił bombę w komisarzy rządowych, wysłanych zagranicę dla poznania systemów konstytucji państw europejskich. W liście przedśmiertnym wyjaśnia on pobudki, które go skłoniły do tego czynu, dowodząc, jak szkodliwą dla ludu chińskiego będzie fałszywa konstytucja, otrzymana z rąk zaborczej dynastji.

Rząd pekiński, zagrożony przez mocarstwa europejskie, a inspirowany przez Japończyków, spieszy z reformami, mającemi ochronić go i od okupacji i podziału między chciwych białolichych, i od rokoszu Chińczyków. Odwlekać więc powstania patryoci nie mogli. Rozpoczęto je w roku 1906 w południowych Chinach i w obecnej chwili cała prowincja Jun-nam jest już w rękach republikanów. W odezwach, rozrzucanych wszędzie, gdzie ich oddziały orężne pojawiają się, nazywają siebie „Chińską armią narodową”. Wzywają lud do powstania i wypędzenia Mandżurów, mianują swoich przedstawicieli do zbierania podatków i dbania o bezpieczeństwo publiczne. Jednocześnie ogłaszają odezwę do wszystkich ludów świata, zapewniając ich o swej życzliwości i chęci podtrzymania przyjaznych stosunków. Godzą się nawet na uznanie tych wszystkich koncesyj i traktatów, które były zawarte przez obecny rząd z państwami cudzoziemskimi. Lecz gdyby podczas okupacji przez armię narodową jakiej prowincji, były w niej nadane przez rząd nowe koncesye, to takowe nie będą już przez powstańców uznane. Gwarantując cudzoziemcom zupełne bezpieczeństwo i nietykalność ich majątności, armia narodowa uprzedza jednak, że wszelkie dostawy wojskom rządowym jakichkolwiek artykułów wojennych będą konfiskowane. Ci zaś z obcokrajowców, którzy przyjmą czynny udział w działaniach wojska rządowego, będą uznani za nieprzyjaciół.

Na czele walczących żółtolichych patryotów stoi młody jeszcze, ale obdarzony żelazną wolą i ogromnym zapałem Sen-Jat-Sen. Urodzony w r. 1866, kształcił się w kilku zakładach naukowych w Honolulu, Hong-Kongu i wreszcie ukończył jako lekarz szkołę medyczną w Kantonie. Prześladowany przez rząd, uciekł do Japonii, a stąd udał się do Ameryki, Londynu. Po powrocie do kraju objął kierownictwo walki zbrojnej. Gorący zwolennik republiki, przysiągł, że Chiny będą państwem niezależnem, swobodnem, szczęśliwem.

Główny sztab powstańczy mają w Japonii. Władze japońskie nie popierają powstańców, lecz i nie prześladują. Największymi przyjaciółmi ich są członkowie stosunkowo nielicznej jeszcze grupy indywidualistów japońskich. Zarówno, jak rewolucyoniści chińscy, wyznają oni, że poprawa obecnych stosunków społecznych jest możliwa tylko przez podzielenie całego obszaru ziemi między pojedyncze jednostki. Od końca 1905 r. grupa młodzieży chińskiej wydaje w Tokio miesięcznik „Mimpo” („Prawo ludu”), w którym obok artykułów społeczno-ekonomicznych pomieszczane są prace, omawiające sprawy programowe i polityczne doby bieżącej.

Co mnie zdziwiło w ruchu powstańczym, to uczestnictwo kobiet. Prawda, historia rokoszów chińskich wspomina, że do zaciętej walki orężnej o wolność, przystępowały i niewiasty, ale tyle się nasłuchiłem i nazytałem o kobiecie wschodniej, o jej zupełnem odsunięciu się od życia społecznego, że byłem przyjemnie zdziwiony, gdy spotkałem się z młodą Chinką, która postanowiła życie swoje złożyć na ołtarzu walki o wolność ojczyzny. Jest nią panna U-ro-nau, która po siedmiu latach nauki w Szanghaju u misjonarzy angielskich, przyjechała do Tokio, aby kształcić się dalej po europejsku, jednocześnie zapoznać się z japońską kulturą. Skarżyła się na ciężkie położenie kobiety chińskiej, nazywając ją lalką,

która od 5-go roku życia zajmuje się jedynie sukniami i upiększeniem ciała, siedzi stale, jak w więzieniu, w specjalnych pokojach, z których wychodzi tylko wtedy, gdy się chce pokazać mężowi lub braciom. Jednak nie sprawie emancypacji kobiet chce poświęcić swoje zdolności panna U-ro-nau. Kochając gorąco kraj rodzinny, widzi ona główne zło, bez usunięcia którego jej ojczyzna nie może być szczęśliwą, w okrutnym najeździe Mandżurów. Dla wyswobodzenia się z tych pęt jedynym środkiem jest powstanie zbrojne ludu chińskiego. Do tej otwartej walki wzywa panna U-ro-nau swych rodaków, kształcących się w Japonii. Dla nich wydała ona zbiorek artykułów, zarówno swoich własnych, jak i innych szczerych patriotów i nazwała go „Dzwonem swobody XX wieku“. Od Europejczyków zaś chciała otrzymać pomoc materyjalną. Pod tym względem musiałem ją rozczarować. Upewniłem za to, że miliony ludu pracującego w Europie współczują ich sprawie, a my, Polacy, całym sercem życzymy im wyzwolenia, do którego rwie się i nasz rozszarpany i stęskniony za wolnością naród.



K. KAZIMIEROWSKI.

„CO MNIE TO OBCHODZI?“

GENERAL WALERY WRÓBLEWSKI.

Dnia 5 sierpnia b. r. we Francyi, w departamencie Eure et Loir, w Ouarville'u, w domu obywatelstwa Gierszyńskich, umarł generał Walery Wróblewski, jeden z najdzielniejszych dowódców w powstaniu polskim 1863 r. i wślawiony znakomitą obroną Paryża podczas Komuny 1871 r.

Urodzony w dawnym województwie wileńskim, w Żołudku, z zamożnej rodziny szlacheckiej, chodził do szkół średnich w Grodnie, a następnie udał się do Petersburga, gdzie się dalej kształcił w instytucie leśnym, szkole zorganizowanej po wojskowemu i naukę leśnictwa z wojskowością łączącej. Było to w drugiej połowie szóstego dziesiątka lat w zeszłym stuleciu. W tym instytucie leśnym podówczas liczba Polaków dochodziła niemal do połowy całego w nim ogółu uczniów, i pomiędzy nimi panował silny nastrój patryotyczny polski.



GENERAL WALERY WRÓBLEWSKI.

Wróblewski miał co najwięcej 20 lat, kiedy ukończył instytut leśny, i w randze oficera otrzymał posadę inspektora szkółki leśnej w Sokółce, położonej na pół drogi z Białegostoku do Grodna. W tym czasie — a było to w 1861 r. — młode pokolenie wrzało pragnieniem zrzucenia jarzma niewolnictwa i podjęcia na nowo walki o wolność. Przed młodzieżą rewolucyjną stał wyraźnie nakreślony program, w słynnym Manifeście krakowskim 1846 r. ogłoszony. „Będzie nam wolność, jakiej dotąd nie było na ziemi; wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy — podług zasług i zdolności — z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca”. Przedewszystkiem, jarzmo poddańcze miało być zniesione, i chłopci jako pełnoprawni obywatele Rzeczypospolitej mieli być ogło-

szeni. Jeden z najgorliwszych apostołów tej wiary ludowej, Konstanty Kalinowski, ukochaniec uniwersyteckiej młodzieży litewsko-polskiej, po przybyciu swem do Grodna w tymże roku, zawiązał tam kółko konspiracyjne, i do tego kółka wraz z wielu innymi dzielnymi ludźmi wszedł także i młody inspektor Sokółki. Drugie ważne kółko konspiracyjne utworzyło się w Białymstoku, kierowane głównie przez przybyłego z Francyi młodego inżyniera, Bronisława Szwarczego, syna emigranta z powstania 1831 r. i wychowanka demokracji polskiej. Głównem zadaniem obu kół była propaganda pomiędzy ludem. Sprowadzono więc czcionki, urządzono drukarnię i zaczęto wydawać potajemnie pisemka w języku białoruskim, ponieważ pomiędzy włościanami w tych okolicach przeważała ludność białoruska. Feliks Różański, poeta białoruski, wspólnie z Kalinowskim wydawał pisemko p. t. „Mużyckaja prauda” (Chłopska prawda), a Szwarcze ogłaszał także piosnki i hutorki (gawędy) białoruskie w duchu rewolucyjnym. Wróblewski nie tylko pieniądze popierał te wydawnictwa, lecz przez podkomendnych sobie strzelców, których braterskiem postępowaniem

zjednał sobie, i przez kolegów swych, oficerów leśnych w innych miejscowościach Litwy, rozpowszechniał to pismo pomiędzy ludem wiejskim.

Powstanie zbrojne nie miało wybuchnąć w 1863 r., lecz zostało spowodowane przez Wielopolskiego, który stał u steru rządu w Królestwie Polskim. „Trzeba — powiedział — ażeby wrzód wezbrany pękął. Powstanie w tydzień uśmierzą wojska carskie, i ja będę mógł rządzić bez przeszkody“. Omylił się, i grubo omylił. Sam zapewne później żałował tego, co zrobił. Powstanie, które wywołał barbarzyńską branką, nie było na tyle silne, ażeby mogło zwyciężyć, lecz także i nie było na tyle słabe, ażeby się dało łatwo pokonać. W Królestwie Polskim była silna organizacja rewolucyjna, lecz był zupełny brak broni, nie było dostatecznej liczby wojskowo wykształconych dowódców; w Litwie było o wiele gorzej, tam organizacja była jeszcze słaba, a w wielu miejscach jej wcale nie było.

Na dane hasło z Warszawy, młodzież litewska niecierpliwie rwała się do broni. Tu i ówdzie rozpoczęła się była partyzantka. Zasłynął Ludwik Narbutt, który niestety wkrótce zginął. Lecz niecierpliwość młodzieży wstrzymywał komitet wileński, który zaklinał na wszystko, ażeby czekali, ażeby pozwolono przynajmniej przeprowadzić w całym kraju organizację powstańczą. W Komitecie zaczęła przewodzić szlachta folwarczna, a ona nie wierzyła we własne siły, lękała się chłopów, oglądała się na obcą pomoc, zwlekała ile mogła i dopiero, kiedy z Francji zawołała Czartoryszczyzna: „Dajcie przecież znak życia, bo martwym narodom się nie pomaga“, ogłosiła powstanie na dzień 15 kwietnia.

Naczelnikiem wojennym województwa grodzieńskiego został mianowany Onufry Duchiński. Powstańcy gromadzili się w puszczy Białowieżskiej. Zebrało się do 400 ludzi. Brak broni był ogromny. Jeden z ówczesnych powstańców pisze w swoim pamiętniku: „Nie tylko strzelb myśliwskich, bo sztucerów nie było, ale nawet kos nie stało dla 48“. Duchiński na szefa swego sztabu wyznaczył Wróblewskiego, który zapobiegliwością i przytomnością umysłu stawał się coraz bardziej istotnym dowódcą. Po pierwszej niepomyślnej potyczce z Moskalami, unikano z nimi spotkania się, aż powstaniec nie oswoił się z bronią i nie wprawił się dostatecznie do boju. Tymczasem odbywano nieustanne ćwiczenia i marsze, a przechodząc przez liczne wsie i miasteczka, zwoływano włościan i odczytywano im Manifest Rządu Narodowego, który znosił wszystkie powinności poddańcze, uwłaszczał włościan i ogłaszał powszechną równość obywatelską.

Pierwsza bitwa, w której dowodził Wróblewski, odbyła się 8 czerwca nad rzeczką Ściercieżą w puszczy Rożańskiej. Rosjanie byli w większej liczbie, mieli lepszą broń i strzelali celnie. Pomimo to, nie udało się im wyprzeć powstańców i, straciwszy dużo w zabitych i rannych, wstrzymali się od dalszego boju i całkiem poszli z lasu. Bitwa ta dodała wiele ducha powstańcom. Niepokoili odtąd wciąż Moskale. Dnia 16 czerwca zaszła już znaczna bitwa pod Wielkim Węgłem, trwała trzy godziny i skończyła się zupełnym zwycięstwem. Wróblewski okazał w tej bitwie bystrość w objęciu całej sytuacji i szybkość w działaniu.

Komitet wileński — jak już powiedziałem — nie liczył na własne siły, lecz na interwencję zagraniczną. Chodziło mu tylko o to, ażeby powstanie istniało, utrzymywało się. Taka polityka, sprowadzająca powstanie do biernej odporności, zgubną była. Siły bowiem powstania prawie nic się nie powiększały, a tymczasem Moskwa coraz więcej wojska gromadziła. Przysłany z Petersburga na wielkorządcę Litwy, Murawiew, znany ze swego okrucieństwa i niekczemności moralnej, dzikim terorem siał postrach w całym kraju. Wioski, które powstańcom żywność dawały, palono. Woleli więc nasi bojowcy często znosić głód, aniżeli narażać na ruinę całe rodziny. W tych ciężkich warunkach Rząd Narodowy 15 sierpnia oddał naczelne dowództwo nad oddziałami grodzieńskimi Wróblewskiemu, który faktycznie już od pewnego czasu był głównym w nich kierownikiem. Ale położenie powstańców, ścisanych coraz bardziej obręczą żelazną wojska moskiewskiego, stawało się tak

trudne, że dowódcy, nie mogąc wyżywić swoich żołnierzy, rozpuszczali swe oddziały i sami wymykali się za Niemen do Królestwa Polskiego. Sprzeciwiał się temu Wróblewski, lecz daremnie. Pozostał wreszcie sam z 40 towarzyszami, żywiąc się po całych tygodniach suchym chlebem i śpiając wśród bagien na mchu leśnym. Deszcze i przymrozki październikowe gnębiły ich strasznie. Widząc to, Rząd Narodowy polecił Wróblewskiemu przebrać się ze swoim oddziałem na Podlasie i tam przebyć zimę.

W Królestwie Polskiem położenie powstańców było znośniejsze, aniżeli na Litwie, ale i tam o spokojnych leżach zimowych i mowy nie było. Trzeba było mieć się wciąż na baczności i opędzać Moskalom. Już dnia 17 listopada pułkownik Wróblewski, który znacznie powiększył swój oddział, ucierał się zwycięsko z Moskalami pod Rossochą; a połączywszy się z pułkownikiem Krysińskim, następnego dnia, 18 listopada, odparł pod Kolanem ścigające go oddziały. Wspólnie też z Krysińskim przeszedł w Lubelskie. Zima była ostra, mrozy dokuczały, Moskwa pozajmowała wioski i wydostawać żywność nie było łatwo. I tu jak w Grodzieńskim dowódcy jeden po drugim wymykali się za granicę. Ażeby powstrzymać zupełną dezorganizację sił wojskowych i podtrzymać upadające powstanie, Rząd Narodowy oddał Wróblewskiemu naczelne dowództwo w województwach podlaskim i lubelskim.

Wróblewskiemu przypadło nader ciężkie zadanie. Czynił jednak co mógł, nieczem nie zrażając się. Wciąż na koniu, wciąż w marszach, gromadził rozproszonych powstańców, rozpędzał zorganizowane przez Moskali stráže włościańskie, podchwytował dowozy moskiewskie z amunicją i z żywnością, trzymał wroga w ustawicznym niepokoju. Tak minął grudzień, minęła połowa stycznia 1864 r. Dnia 19 stycznia Wróblewski z małym oddziałkiem przybył do Jedlinki pod Uścinowem. Wtem nadleciała cała chmara Kubańców. Celnie strzelali i ginęli nasi powstańcy. Wróblewski, by powstrzymać rozpęd Kubańców i dać możność wejść oddziałowi do lasu, stanął z garstką odważnych na drodze; oskoczyli go Kubańcy. Pułkownik otrzymał dwa cięcia na krzyż w głowę, jedno w ramię, i zalany krwią, spadł z konia.

Przy pomocy chłopów, Wróblewskiego na pół martwego zaniecono do wioski, tam go ukrywano przez czas pewny, a następnie wywieziono do Galicji, gdzie pozostawał w Dzikowie u Władysława hr. Tarnowskiego. Wygoiwszy nieco swoje rany, Wróblewski wyruszył do Paryża, gdzie brał czynny udział w życiu emigracyjnem. W Grodzieńskim był on ludowcem, w Paryżu został socyalistą.

W 1870 r. rozpoczęła się nieszczęśliwa dla Francji wojna z Niemcami. Oficerowie polscy, których wówczas znajdowało się sporo we Francji, ofiarowali swoje usługi Rządowi obrony narodowej z warunkiem, że zostanie zorganizowany legion polski. Lecz Rząd ten nie miał ducha rewolucyjnego i obawiał się narazić sobie Rosyę. A tylko wojna rewolucyjna mogła zwycięsko odeprzeć najeźdźców. Nie skorzystano nawet z tego, że w Paryżu było 300.000 uzbrojonej gwardji narodowej, która rwała się do boju. Generałowie armii regularnej lekceważyli ją, jakby sami mieli się czem chlubić. Wojska niemieckie zbliżyły się do stolicy francuskiej i osaczyły ją. Ludność paryska zaczęła się burzyć; ażeby ją uspokoić, gubernator Paryża przysięgał, że kapitulować nie będzie. Tymczasem kapitulacja nastąpiła. Dnia 1 marca wojsko niemieckie, na znak swego zwycięstwa, wkroczyło na 48 godzin do Paryża, zajmując jeden tylko jego kwartał — i trzeba było wówczas wielkich usiłowań, ażeby powstrzymać gwardję narodową od zbrojnego starcia się z Niemcami. Następnie rząd Thiers'a, wybranego przez Zgromadzenie Narodowe w Bordeaux na naczelnika władzy wykonawczej, oburzył do wysokiego stopnia gwardję narodową przez usiłowanie odebrania od niej podstępem dział, które ona ze składek kazała ulać dla obrony Paryża.

Stosunki więc pomiędzy paryską gwardją narodową i rządem Thiers'a były nader naprężone. Wszakże dzisiaj, kiedy zostały ogłoszone najważniejsze doku-

menty z owych czasów, wiemy, że gwardya narodowa gotowa była do wielkich ustępstw, i że do wojny domowej nie przyszloby, gdyby nie wyzywające i drażniące postępowanie Thiers'a. Nienawidził on Paryża, jako ogniska socjalistów i komunistów; dążył więc do tego, ażeby sprowokować wybuch, a stłumiwszy go, wytepić wszystkie podejrzanе jednostki i ująć całe miasto w żelazne kluby. Tak samo, jak Wielopolski, omylił się tylko co do siły sprowokowanego ruchu.

Thiers z całym rządem opuścił Paryż i udał się do Wersalu, odległego o kilka godzin drogi od Paryża. Gwardya narodowa została samowładną panią w stolicy, i jej Komitet Centralny powołał ludność całą, ażeby wybrała Radę miejską, gminną, z francuska Komunę (Comunne). Gdyby ze strony Thiers'a była dobra wola, to porozumienie jeszcze łatwo nastąpić mogło. Paryska ludność żądała tylko, ażeby jej przyznano prawo samorządu. Lecz Thiers właśnie tego nie chciał i pierwszy rozpoczął kroki wojenne przeciwko Paryżowi.

Komuna paryska składała się w ogromnej liczbie z robotników, z socjalistów, i chciała zorganizować gminę tak, ażeby ona najlepiej odpowiadała potrzebom ludu pracującego. Broniła zatem wobec rządu wersalskiego sprawy wolności i postępu. Kiedy więc okazała się potrzeba wykształconych wojskowo dowódców, i Komuna powołała znanych z powstania 1863 r. oficerów, jak Jarosława Dąbrowskiego, Walerego Wróblewskiego i innych, to ci z całą gotowością stanęli w szeregach jej obrony. Widzieli oni, że walka będzie ciężka, trudna, może nawet skończy się klęską, lecz walka ta w ich przekonaniu nie tylko była walką w interesie ludu paryskiego i ludu całej Francji, lecz także walką w interesie wszystkich pragnących wolności ludów, bo zapowiadała nowe bratnie uporządkowanie się społeczeństw.

Wróblewskiemu powierzono obronę miasta na lewym brzegu Sekwany. Bystrem okiem dojrzał, gdzie były najsłabsze miejsca obrony, polecił więc je obwarować; w bardziej zagrożonych punktach skupił większą siłę obronną. W batalionach, oddanych mu pod komendę jako generałowi dowódcy, zaprowadził karność militarną i bojowy porządek. Chociaż cudzoziemiec, rychło pozyskał zaufanie i miłość w szeregach, bo sam szedł pierwszy w ogień i troskliwie doglądał, by potrzeby walczących były zaspokojone.

Pod względem wojskowym Komuna najsłabszą przedstawiała stronę. Nieposłuszeństwo, samowola, krzyżowanie się rozkazów, niezdolność militarna dowódców, wprowadzały nieporządek i zamieszanie, psuły najlepiej obmyślane plany i sprowadzały klęskę pomimo niezaprzeczanej waleczności żołnierza. Taką klęską było opanowanie fortu Issy przez Wersalczyków w dniu 9 maja. Posunęli się oni dalej ku fortowi Vanver i strasznym ogniem działowym razili komunalistów, ci więc ustąpili z fortu, lecz Wersalczycy, bojąc się zasadzki, wstrzymywali się z wkroczeniem. Był to bardzo ważny punkt strategiczny. Wróblewski więc, na czele dwóch batalionów, nadbiegł w nocy z 10 na 11 maja, wstrzymał cofające się szeregi i, pomimo piekielnego ognia artylerji wersalskiej, o godzinie 4 rano zajął ponownie fort i zmusił Wersalczyków do cofnięcia się. W bitwie tej omal nie zginął od pocisku, który tuż obok niego zburzył część bramy. Sprzeciwił się on wtedy rozstrzelaniu wziętych do niewoli Wersalczyków, które już zostało było zarządzone, i to mu później u rządu francuskiego zjednywało świadectwo korzystne.

Na wiadomość, że pozycja Dąbrowskiego została mocno zagrożona, pośpieszył Wróblewski mu na pomoc 23 maja ze swymi batalionami. Dąbrowski bronił się po bohatersku, lecz kiedy śmiertelnie ranionego wyniesiono go z barykady, wojsko komunalne nie mogło wytrzymać strasznego ognia artylerji wersalskiej i zaczęło się cofać. Wersalczycy posuwali się naprzód. Na Polach Elizejskich Wróblewski stawiał im opór; zmuszony do cofania się, ponownie usiłował utrzymać się na Placu Zgody. Wyparty, przeszedł na drugą stronę Sekwany i, dźwigając po drodze barykady, bronił każdej piędzi ziemi. W ten sposób wycofał się ku dworcowi kolei żelaznej Montparnasse i następnie ku obronnej pozycji Butte-aux-

cm 4579/1909.
Cailles, położonej pomiędzy Panteonem i fortami. Przedstawił on wówczas Delescluze'owi, który był pewnego rodzaju ministrem wojny, plan, podług którego należało ześrodkować całą obronę w tej pozycji. Można będzie — powiedział — w takim razie przetrzymać dość długo, i może się uda wytargować u Wersalczyków pewne warunki, a w najgorszym razie ułatwić powstańcom ucieczkę z Paryża. Delescluze popierał tę propozycję, lecz Komuna straciła już głowę i na nie zdecydować się nie mogła. Najznakomitszy historyk Komuny, Lissagaray, powiada, że obrona Butte-aux-Cailles w dniu 24 maja należy do najświetniejszych czynów militarnych. Po kilka razy wojsko komunalne z biernej obrony przechodziło w atak czynny i zmuszało Wersalczyków do cofnięcia się. Wróblewski widział, że obronić pozycji nie zdoła, chodziło więc mu o to, ażeby ułatwić walczącym wycofanie się na drugą stronę miasta, jeszcze nie zajętą, i sam w liczbie ostatnich opuścił bronioną barykadę. Lissagaray i Engels bardzo chlubnie mówią o działaniach militarnych Wróblewskiego, a nawet dziejopisowie z obozu wersalskiego pochwalnie się wyrażają o obronie Butte-aux-Cailles.

Szczęśliwie udało się Wróblewskiemu dostać się do Londynu. Tam został powołany do Głównej Rady Stowarzyszenia Międzynarodowego jako przedstawiciel narodu polskiego. Na kongresie w Hadze w 1872 r. był on delegatem polskich socjalistów. W następnych latach przeniósł się do Genewy i wszedł w stosunki z przewodcami rosyjskich socjalistów rewolucyjnych, zwłaszcza z Tkaczewym. W 1878 r., kiedy pojawili się w Genewie wygnani z Galicji socjaliści polscy, przyjmował on ich z otwartymi ramionami i wspierał hojnie pożyczką pieniężną.

W późniejszych latach, kiedy rząd francuski ogłosił amnestję w sprawie Komuny, Wróblewski przebywał najczęściej w Nicei. Straciwszy całkowicie zasób pieniężny, który była mu przywozła matka do Genewy, doszedł do wielkiej nędzy. W Paryżu, dokąd ostatecznie przesiedlił się, dostał pr———nistracyi pewnej gazety zajęcie, które było uciążliwe, bo wymagało ciągłego chodzenia po mieście, a licho płatne, zaledwie dające możliwość jakiego takiego życia. Wiek podeszły, boleśnie odzywające się dawne rany, zmęczenie, liche odżywianie się, złe warunki higieniczne sprowadzały nań często choroby i przykuwały do łóża osamotnionego w nieopalanym i ciasnym pokoiku jednego z najtańszych hotelów. Dr Henryk Gierszyński, widząc taką smutną niedolę chorego generała, prowadził go do swojego domu w Ouarville'u. Tam Wróblewski znalazł potrzebne wygody i troskliwą opiekę.

W lipcu roku zeszłego, będąc w Ouarville'u, widziałem się z generałem. Mocno już był zestarzał, zdrowie miał zrujnowane, rzadko wychodził ze swego pokoju. Skoro nadchodziły dzienniki polskie, prenumerowane przez dr Gierszyńskiego, zabierał je i ciekawie czytał. Sprawy krajowe żywo go zajmowały. Ponieważ w Paryżu należał do Zagranicznego Związku Socjalistów polskich, więc się uważał moralnie związany z Polską Partią Socjalistyczną. Ze szczególną ciekawością wypytywał mnie o bojówkę i frakę rewolucyjną.

— Do licha — zawołał i zaklął po swojemu — już kiedy bić się, to trzeba było urządzić powstanie jak się należy!

— Cierpliwości, generale — uspakajałem — i do tego przyjdzie.

Niedoczekał się jednak. Frakę rewolucyjną, która uważała go także za swojego, zajęła się jego pogrzebem. Zwłoki przewieziono do Paryża i w dniu 16 sierpnia pochowano na cmentarzu Père-Lachaise. Ogromny tłum ludu towarzyszył konduktowi pogrzebowemu. Za trumną szły liczne stowarzyszenia robotnicze i socjalistyczne, polskie, francuskie, niemieckie, rosyjskie. Nad otwartą mogiłą przemawiano po polsku, po francusku, po rosyjsku. Proletaryat czci zmarłego generała jako swego bohatera. A gdy rozległa się pieśń Czerwonego Sztandaru, zabłysły wszystkim oczy i drgnęły silnem uczuciem twarze.